

FEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA
Gdańsk
Waly Jagiellońskie 24

37996

OROWSKI

CZERWONY MAJ









BOROWSKI
CZERWONY MAJ

T A D E U S Z B O R O W S K I

C Z E R W O N Y M A J

—
Opowiadania
—



P A Ń S T W O W Y
I N S T Y T U T W Y D A W N I C Z Y

ol. 1465/65



37996

Redaktor: Jerzy Piórkowski

Okładkę projektował: Marek Rudnicki

Państwowy Instytut Wydawniczy 1953, Warszawa

Wydanie pierwsze

Nakład 10 000 + 178 egz. Ark. wyd. 10.8. Ark. druk. 15.5

Papier dziel. żeb. V kl. 70 g 82×104/32

Oddano do składania 10. III. 53 r.

Podpisano do druku 17. IV. 53 r.

Druk ukończono 24. IV. 53 r.

Nr zam. 99 — M-4-32917

Druk. Zakł. Graf. „Książka“ Kraków, ul. Kościuszki 3

Cena zł 10.—

WSTĘP

„Nasz pisarz widzi wielkie linie walki klasowej, bierze udział w usuwaniu starych przyzwyczajęń wygodnego, samolubnego stylu życia, nie brzydzi się codziennego trudu. Walcząc o pokój jest również przeciwnikiem biurokracji, nienawidząc imperializmu zwalcza oderwanie się od mas, podskakiwanie na ziemi, na której trzeba nogami mocno się opierać, walczy o podniesienie swej świadomości klasowej, uczy się sam i innym pomaga się uczyć. Pisarz naszego świata nie ukrywa się za maską niefrasobliwego dostawcy modnej literatury. On również realizuje socjalizm. Z jego doświadczeń, goryczy klęsk i radości zwycięstwa czerpać będą inni; on sam będzie się przeobrażał i stawał nowym człowiekiem, obywatelem świata, który go otacza i odbija się w jego dziełach.“

Autorem tych zdań — brzmiących jak wyznanie osobiste — był Tadeusz Borowski. Znalazły się one w artykule zatytułowanym „Na przedpolu“. Był to kwiecień 1950 roku i literatura polska w istocie znajdowała się na przedpolu literatury socjalistycznej. Na pierwszej stronie pierwszego numeru „Nowej Kultury“ dwudziestoosmioletni pisarz — autor dopiero co opublikowanych *Opowiadań z książek i gazet*, którego nowele i reportaże w trzy miesiące później zostały wyróżnione nagrodą państwową — zacytowanym artykułem jakby zainaugurował nowy etap polskiej publicystyki literackiej. W tym samym numerze „Nowej Kultury“ na stronie ostatniej wydrukowano felieton *Mała Kronika*, którym odtąd już w każdym numerze tygodnika, aż po dzień śmierci, miał Tadeusz Borowski z drobnej, ale szybkostrzelnej artylerii felietonisty wytrwale okładać ogniem wszelaką reakcję, szkodnictwo, wstecznictwo, zacofanie, obskurantyzm, dewocję, klerykalizm; mierzył w jawne i tajne agentury wroga — wspierając regularnie ten

swój lekki karabin maszynowy felietonu ciężką artylerią wielkiej publicystyki i piękną sztuką opowiadań. Nie brzydził się codziennego trudu żadnej pisarskiej roboty, obce mu było mistyczne pojęcie rangi gatunków literackich, ważną — skuteczną ich społecznego oddziaływania. Swym ogromnym talentem pisarskim chciał służyć rzeczywistym humanistycznym potrzebom naszych codziennych dni rewolucyjnych. Nie wahał się być równocześnie i publicystą, i felietonistą, i kronikarzem, i reporterem — „nie uważam za zmarnowane wieczory i noce, które spędziłem układając podpisy pod fotografiami“ — choć przecież niejedną raz marzył i planował, by swój trud pisarski ukoronować kiedyś powieścią.

Po kilku latach minionych od tamtych pierwszych dni polskiego realizmu socjalistycznego wiemy już zupełnie dokładnie, że nazwisko Tadeusza Borowskiego niczym klamra otwierające i zamykające pierwszą „Nową Kulturę“ nie było wcale przypadkiem redaktorskiej fantazji. Borowski był jednym z młodych pisarzy, z tego pokolenia dwudziesto- i trzydziestolatków, którzy pierwsi, o wiele przed innymi, porwali się pisać współcześnie o współczesnych czasach. Już wtedy całą swą postawą twórczą, stylem każdej przeżytej w ciągu dnia godziny, swą akcją partyjną, zetempowską, redakcyjną i organizacyjną, całym swym temperamentem, sercem, mózgiem, całą gorącą pasją był on twórcą naszej nowej kultury. Nie tylko nowej literatury — ale właśnie nowej kultury. Całego nowego życia! Umiał działać społecznie w najszerszym pojęciu tego słowa. Chciał budować socjalistyczne społeczeństwo, służyć mu i torować mu drogi rozwoju. I jeżeli w naszych czasach tylu ludzi jeszcze żyjących już przeszło w niepamięć i znalazło się poza wartkim prądem dni, a on — od lat dwóch przecież nieobecny ciałem — ciągle jeszcze wydaje się być między nami, to nie dlatego innego, tylko dlatego właśnie, że czyny jego, słowa i dzieła coraz to doskonalej pasują do naszych chwil. Pasują, gdyż Tadeusz Borowski znajdował się w pierwszym szeregu bojowników walczących o lepsze, sprawiedliwsze, szczęśliwsze jutro. Oddając wszystkie swe bogate talenty sprawom w dniach jego życia najważniejszym wiedział, że w ten sposób — i tylko w ten sposób — buduje to „jutro“, że w ten sposób — i tylko w ten sposób — kładzie fundamenty socjalizmu. Miał on stale na uwa-

dze te same perspektywy, które i dziś są naszymi perspektywami. Dostrzegał z oddali światła komunizmu, które i nam dziś drogę oświetlają. I dlatego — choć szybko rozwijające się życie narodu budującego socjalizm łatwo postarza słowa twórców — kartki jego artykułów i opowiadań zachowały dla nas taką świeżość i siłę, jakby je dziś układał z przeznaczeniem do jutrzejszych numerów pism.

Pasja, rzutkość, niecierpliwość, namiętność, miłość i nienawiść cechujące każdą jego czynność coraz dokładniej odpowiadają temu ideałowi pisarza i obywatela epoki budownictwa socjalistycznego, do którego każdy z nas rad by się najprędzej zbliżyć. Ciągłe jeszcze za mało mamy takich, którzy byliby nie umiarkowanie tłącym się piómykiem, ale — jak on — gorącym płomieniem. Nigdy nie zważał na to, że mógł poparzyć innych — tych letnich lub wręcz chłodnych, zimnych właśnie!

Wśród rękopisów pozostałych po jego okrutnie przedwczesnej śmierci znalazły się dwie większe prace. Jedna to *Czerwony Maj* — opowiadanie o młodym Feliksie Dzierżyńskim organizującym w Warszawie i Łodzi proletariat polski do walki o pełną wolność socjalną i narodową. I drugie opowiadanie, pod tytułem *Dysputy księdza dobrodzieja*, osnute na tle znanej a potwornej sprawy wolbromskiej, kiedy to nienawiścią do Rzeczypospolitej Ludowej powodowany ksiądz proboszcz i jego wikary skłonili matkę do zamordowania własnego syna. W niewielkim pokoiku krakowskiego hotelu, któryśmy razem z Borowskim zajmowali podczas tego procesu zbrodniarzy w sutannach, Tadeusz co dzień wieczorem do późnej nocy wertował teczkę z biograficznymi dokumentami z życia Feliksa Dzierżyńskiego. W dzień oglądał naszych wrogów siedzących na ławie oskarżonych, demaskowanych i demaskujących się w całej ohydzie swego postępowania. Dyskutowaliśmy wtedy, ilu jeszcze nie wykrytych, nie unieszkodliwionych agentów Watykanu i Waszyngtonu krąży wokół młodzieży polskiej ucząc ją nienawiści do własnego szczęścia. Dyskutowaliśmy nad sposobami i nad obowiązkiem walki z jadem demoralizacji, jaką chcą zatruć naszą młodzież, obowiązkiem, któremu przede wszystkim pisarze — inżynierowie dusz ludzkich — muszą zadośćuczynić. Wieczorami Tadeusz uczył się od Wielkiego Rewolucjonisty i Wielkiego Polaka, jak być samemu tak silnym, by pod żadnym ciosem nie ulec, by zwyciężyć i rozgromić wrogów. *Czerwony Maj*

był pierwszym szkicem większej pracy, w której Tadeusz Borowski pragnął oddać hołd Feliksowi Dzierżyńskiemu. Takie dzieło było marzeniem Tadeusza, gdyż właśnie i w towarzystwie Borowskim gorzał ów płomień całkowitego i bezwzględnie oddania się sprawie robotniczej rewolucji.

Gardził on chłodnym, bezdusznym obiektywizmem, który z równą obojętnością potrafi wywahać szale krzywdzonych i krzywdzicieli, uciskających i uciskanych. Nie pragnął być i nie był nigdy w sądach swych dla wszystkich równie sprawiedliwy — gdyż całą furią swego młodego serca chciał rzetelnej sprawiedliwości dla w i ę k s z o ś c i, dla ludzi pracujących, nie dla garstki wyzyskujących. Niejeden raz szokował swym bezkompromisowym sądem tych wszystkich, którzy w szczególnie ostrożnym kwalifikowaniu upatrywali najwyższą mądrość życia. Borowski rozbijał ich taranem swej logiki rewolucyjnej, nie cofając się przed nazwaniem spraw i ludzi po ich społecznym i historycznym imieniu.

Borowski był w swych ocenach i czynach pisarskich bezwzględny. Bezwzględny w nienawiści i bezwzględny w miłości. Nie było bodaj wśród naszych pisarzy drugiego, który by bardziej surowym i bardziej namiętnym słowem potrafił kląć i chłostać przeciwnika. Czytajcie jego *Opowiadania z książek i gazet!* Jego *List do młodych agitatorów pokoju*. Wiódł on swą literacką parantelę od najwybitniejszych pamflicistów literatury pięknej i świadomie mierzył we wzór — ileż razy szczerze przyznawał się do tego! — nie byle jaki: równać chciał kiedyś do Erenburga.

Nie cierpiał dwulicowego mazgajstwa. Gdy w jego obecności narzekano na uciążliwości trudnej służby społecznej w dzisiejszej Polsce — skargę tę powtarzał tonem takiej ironii, że rozmówca, dojrawszy raptem samego siebie w krzywym zwierciadle dosłownego nonsensu, mieszał się niepomiernie, niepewny zresztą przez chwilę, czy Tadeusz kpi, szydzi czy potakuje. Gdy utyskiwano przy nim na nadmiar zebrań i porad, wołał: A jak inaczej chcecie realnie współgospodarzyć krajem, organizacją zawodową, warsztatem pracy... No jak?

Nie uchylał się od żadnej akcji czy pracy społecznej. Jeździł na reportaż, na zebrania i na wiece. Wygłaszał agitacyjne mowy, organizował grupy młodzieżowe, redagował pisma. Wiedział dobrze, że [pisarz socjalistyczny musi brać czynny udział w ży-

ciu swego kraju — jeżeli chce naprawdę pojąć dziejące się wokół niego przemiany, jeżeli chce do głębi poznać los ludzi kształtowanych nową epoką i nowymi warunkami, jeżeli chce być rzetelnym pisarzem spraw narodowych, a nie tylko autorem jakichś tam powieści! Wreszcie, jakby dla wysnucia ostatecznych konsekwencji i sprawdzenia siły własnej idei, pojechał — on, więzień hitlerowskich obozów koncentracyjnych, który co dzień na swej lewej ręce widział wytatuowaną oświęcimską cyfrę 119 198 — do Berlina, między Niemców, by udowodnić sobie i móc udowodniać innym, że hitleryzm był sprawą klasową, nie narodową, że socjalizm potrafi łączyć narody w przyjaźni konstruktywnej, podczas gdy imperializm szczuł je na siebie w destrukcyjnej nienawiści. Jednoroczny pobyt w Berlinie — właśnie powstawała wtedy Niemiecka Republika Demokratyczna — pokazał mu, do jakich wspaniałych rezultatów może doprowadzić świadome, polityczne wychowywanie społeczeństwa dla pokoju i dla przyjaźni między narodami. Te niemieckie przeżycia stały się natchnieniem wielu kart jego późniejszej prozy i publicystyki. Przekazał swym czytelnikom prawdę o internacjonalistycznej, komunistycznej przyjaźni i współpracy. Będąc wojenną ofiarą niemieckiego faszystwu — potrafił zawrzeć przyjaźń z najlepszymi synami tego narodu. W warszawskiej siedzibie Związku Literatów Polskich wisi wielka fotografia Tadeusza Borowskiego — dolną jej część pokrywa setka podpisów pisarzy niemieckich, wśród których są autografy Arnolda Zweiga, Anny Seghers, Bertolda Brechta, Johannesesa Bechera, Fryderyka Wolfa, Willi Bredla, Kuby, Bodo Uhse, Stefana Hermlina i wielu innych. Był to hołd pośmiertny złożony młodemu pisarzowi polskiemu przez najwybitniejszych żyjących twórców narodu niemieckiego. Bowiem poznali go oni jako tego, który słowem i czynem mógł i chciał pomóc im w walce o jedność narodu niemieckiego, w walce z odradzającym się — tym razem w skórze amerykańskiej — faszystwem, w walce o prawdziwy i rzetelny pokój, który raz na zawsze wszystkim matkom na kuli ziemskiej usunie z serca lęk przed wojną mogącą przecież skrócić życie ich synom, córkom i mężom.

W roku 1949 wyjechał z Warszawy do Berlina młody pisarz — po kilkunastu miesiącach wrócił stamtąd działacz polityczny, który jasno widział drogę swej przyszłości. Natychmiast i niecierpliwie chwycił za pióro, by co prędzej wziąć udział w pra-

cy przy budowie socjalizmu w Polsce i w walce o pokój na świecie. To były wspaniałe lata jego twórczości. Dwoił się i troił. Był wszędzie: w redakcjach „Nowej Kultury“, „Przeglądu Artystycznego“ i „Sztandaru Młodych“, w egzekutywie koła partyjnego, w Zarządzie Głównym Związku Literatów, w Komitecie Obrońców Pokoju, na setkach zebrań, narad, masówek. Czytał przy tym ogromnie wiele i uczył się bez przerwy. Drażył go głód nauki. Aż dziw, skąd brał na wszystko czas! Opowiadania wydrukowane w zbiorze niniejszym pochodzą właśnie z tego, najbujniejszego okresu jego twórczości. Nie żałował siebie nigdy i nigdzie, jeżeli tylko gdziekolwiek przydatne być mogło jego słowo celne i namiętne.

A może nigdzie bardziej nie było ono potrzebne jak w ruchu obrońców pokoju, który wtedy właśnie mobilizował świat cały do dwóch wielkich akcji politycznych: w roku 1950 zbieraliśmy podpisy pod Apelem Sztokholmskim, w 1951 — pod apelem wzywającym pięć mocarstw do podpisania paktu pokoju. Borowski, redaktor wielojęzycznego pisma wydawanego we Wrocławiu podczas Kongresu Intelktualistów, i tym razem oddał swe siły szlachetnej agitacji. Gdy wielu innych pisarzy nie umiało znaleźć w swym słowniku słów dostatecznie prostych, lecz gorących, by trafić nimi do szerokich, najszerszych mas, gdy inni demonstrowali prawdy, w które najszczerzej wierzyli, kameralnymi wierszami, zrozumiałymi dla grupki jedynie — Tadeusz Borowski, obojętny na zgryźliwe przycinki pięknoduchów, jakże bolejących nad „wielkim talentem, który rozmienia się...“ — opublikował swój pyszny list do młodych obrońców pokoju. Pragnął zetempowskich agitatorów uzbroić w słowo tak żywe i tak przejmujące, by powtarzając je za pisarzem niewiele starszym od siebie mógł każdy chłopiec i każda dziewczyna poruszyć każde serce. Uświadamiał im i pragnął, by oni z kolei uświadamiali wszystkim, których spotkają na swym gościńcu, najistotniejszą odpowiedzialność za losy naszego narodu i całej żyjącej ludzkości:

„Odpowiadamy za dorobek wszystkich przeszłych pokoleń, które pracowały, tworzyły, kochały ludzkość, wierzyły w nas. Odpowiadamy za wielką puściznę kulturalną naszego narodu. Odpowiadamy za domy, w których spędziliśmy dzieciństwo. Za kołyski naszych małych braci i siostr. Odpowiadamy także za naszych rówieśników, których za-

pędzono do imperialistycznych armii. Nie pozwolimy, aby cień amerykańskiego sępa zaległ nad naszą ziemią. Aby zaćmił nam słońce pokoju. Odpowiadamy za łzy matek: na całym świecie. Odpowiadamy za nasz naród. Odpowiadamy za przyszłość, za ludzkość, za świat.“]

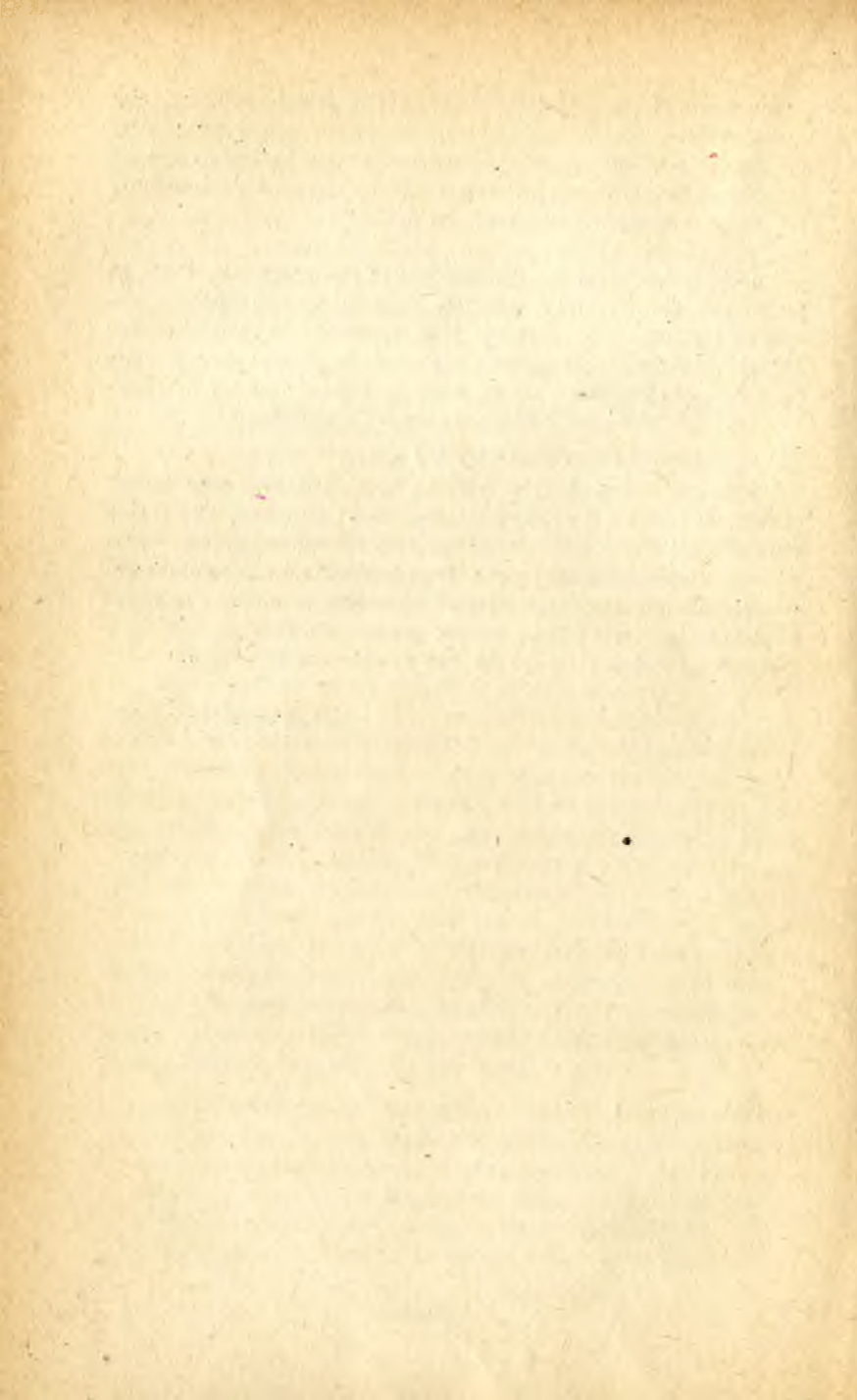
I dziś jeszcze te słowa wzruszają nas i wzmacniają. Gdyż są po ludzku sprawiedliwe i dobre, gdyż są komunistycznie namiętne i prawdziwe. Czytając jego opowiadania, artykuły, reportaże jeszcze ciągle wydaje się nam, że słyszymy, jak woła do nas — do Polaków, do pisarzy, do zetempowskiej młodzieży — swym pięknym hasłem, bojowym i ambitnym:

[— Transparent wyżej! Koledzy!]

I jeżeli szukać dziś, gdy dobiega druga rocznica jego śmierci, słowa, które by najlepiej, najpełniej, najściślej, bez reszty określiło nie tylko jego wielki talent pisarski, ale przede wszystkim jego postawę społeczną, jego bezwzględne oddanie sprawie socjalizmu, jego żarliwość przejawianą w walce o pokój — to znajdujemy tylko takie słowo: pisarz walczący...

Bowiem Tadeusz Borowski był z walczących właśnie!

Kazimierz Koźniewski



KŁOPOTY PANI DOROTY

CZTERNAŚCIE KONI

Pani Dorota weszła prędko do pokoju, starannie zamknęła za sobą drzwi, aby nie wiało z korytarza, odgięła poły obfitego futra, aby się nie wytarło, usiadła na taborecie, nakładając na taboret suknię jak kłosz, aby się nie pogniotła, położyła na kolanach kwiaty i odsunąwszy niecierpliwym ruchem woalkę z twarzy rozplakała się bardzo żałośnie.

— Ależ, droga pani Doroto, na miłość najlepszego Pana Boga, nie trzeba tak zaraz rozpaczać! — powiedziałem uprzejmie i pocieszywszy ją przymknąłem służbowe radio, które w niedzielny jesienny poranek nadało z Katowic pieśni rewolucyjne, śpiewane przez górników:

Nadejdzie jednak dzień zapłaty,
Sędziami wówczas będziem my!

— Oczywiście, nie zaprzeczam, sprawa pana Stasinka jest mocno zawiła, to każde dziecko wie — ciągnąłem słodko, siadając na tapczanie naprzeciw pani Doroty — i wiele czynników przypadkowych, a nawet koniecznych, złożyło się na to, że pan Stasinek wpadł w takie tarapaty, zresztą, przyzna pani, nie bez swojej winy, ale to przecież jeszcze nic straconego!

— Wszystko stracone — powiedziała bezradnie pani

Dorota podnosząc na mnie jasne, niebieskie, dziecięce oczy, pod którymi wisały obrzękłe, trupie torby, wilgotne od łez i sine od niewyspania, po czym krzyknęła z rozpaczą:

— Konie! Ach, te konie! Czy pan może to pojąć?! Czternaście koni!

— Takie dobre jak każde inne, tyle, że żywy inwentarz — odparłem obojętnie. Przyzwyczailem się, że przy panu Stasinku wylażyły coraz to inne przedmioty: a to kawa, a to spalony folwark, a to fuzja, a to buraki w chwastach, a to pieniądze. Mogło być auto ze szmatą na numerze, mogą być i konie. Spytałem dyplomatycznie: — Ciekawym, czy siostra pana Stasinka też będzie działała? Zadziała czy nie? Jak pani sądzi?

Siostra pana Stasinka, niejaka Ciepko — to osobny wybój na polskiej drodze do socjalizmu. Miała na Brackiej sklep z zabawkami i pasztecziarnię koło Dworca Głównego. Obie firmy prosperowały wyśmienicie. Jedna lechtała uczucie matki, druga — żołądki starszych panów.

Mąż pani Ciepko, były kupiec budowlany z Towarowej, dzierżył stanowisko prezesa spółdzielni mieszkaniowej w kamienicy, w której wydzierżawiłem jednopokojową kawalerkę. Kamienica, wzniesiona spółdzielczo przed wojną przez lokatorów, wypaliła się częściowo w powstaniu. Ale dawni lokatorzy (o ile, rozumie się, przeżyli) nie stracili praw do zniszczonych pomieszczeń. Nie mając kapitału na remont, wynajmowali gruzę za słoną cenę. Zapłaciwszy w na pół legalnej transakcji trzysta tysięcy złotych na łapę za pokój z łazienką w rogu, zdobyłem prawo dzierżawy legowiska na osiem lat od nie znanej mi bliżej Elżbiety Balskiej, zamieszkałej w Radomiu. Po tych ośmiu latach pani Balska obiecuje sobie sprowadzić się na gotowe mieszkanko. Zimno mi się robi, gdy o niej pomyślę.

Roboty remontowe prowadził w naszej spółdzielni oczywiście sam pan Ciepko. Własnoręcznie kreślił plany, zamawiał instalatorów, hydraulików i elektryków; dawał także stolarzy, jeśli bogatszy lokator życzył sobie szafy w ścianie lub dodatkowego kontaktu przy biurku.

Tak się dziwnie ułożyło, że w kawalerkach zamieszkali przeważnie inteligenci: inżynierowie, urzędnicy, lekarze z Ubezpieczalni, a w większych mieszkaniach (trzy- i czteropokojowych) rozłożyli się właściciele sklepów, bogaci mecenasi, i grubszy dyrektorzy grubszych „spółdzielczych“ przedsiębiorstw. Zarządzali spółdzielnią i statut wymyślili chytry. Płać od łebka, a nie od pokojów. Wszystko jedno: czy zajmujesz izbę, czy rozpierasz się w salonach. Więc podnajemcy podnieśli gwałt. Krzychałem najgłośniej, uważając, że trzysta tysięcy wystarczy. Zapożyczyłem się na mieszkanie w wydawnictwach i w Zaiksie i nie miałem ochoty dorzynać się do reszty.

Po zebraniu podeszła do mnie pani Ciepko, która dowiedziawszy się, że jestem dziennikarzem, a nawet, że piszę książki, postanowiła mi wytłumaczyć tajniki administracji. Od niej też dowiedziałem się o panu Stasinku: „Może by pan pomógł interweniować w takiej a takiej sprawie?“ — „W jaki sposób, szanowna pani?“ — „Napewno zna pan naczelnego prokuratora!“ — „Nie, niestety, nie znam.“ — „Pisze pan i pan nie zna? To co pan pisze?“ — „Takie prawdziwe historie.“ — „To może pan tę historię opisać? Dorotka panu wszystko opowie. Jak się ludzie dowiedzą, na pewno pomogą. To przecież taki porządny człowiek! Opisz pan?“ — „Dobrze, opiszę“ — odpowiedziałem i oto spełniam obietnicę.

— Więc jakże z tą Ciepko? Zadziała?

— Pani Ciepko obiecała, że wynajmie najlepszego

adwokata — powiedziała pani Dorota. — Będziemy obie na rozprawie w B.

— Byłem tam parę razy tego lata. Za parę dni znowu się tam wybiorę — powiedziałem. — Interesują mnie Państwowe Nieruchomości Ziemskie. Zagadnienie sabotażu. Powłóczę się trochę po okolicy, pogadam z ludźmi. Taki mały urlopik.

— Tak, tak, dziwny jest ten świat — westchnęła ciężko pani Dorota — jednemu urlop, a drugiemu... Wstąpi pan do nas? Będziemy w hotelu, mieszkanie opieczętowano.

— Naturalnie, że wstąpię! Postaram się wszystko zobaczyć!

— Niechże się pan rozejrzy. Na pewno zna pan prokuratora Zabiegę.

— Robiło się kiedyś reportaż z fabryki włókienniczej w B. i trochę znam miasto — odparłem wymijająco.

— A natknął się pan na niejaką Józefkową z Komitetu Wojewódzkiego PPR? To żmija! To ona z tymi Pokrzywkami...

— Byłem z nią raz na folwarku Pokrzywki jeszcze na wiosnę. Straszne rzeczy tam się działy. Maszyny na deszczu, pola nie zorane, a mieszkania ludzi! Ech, pani Doroto! Trzeba tam samemu pomieszkać!

— Ale po co oni mówią, że to вина pana Stasinka. Wszystko Stasinek i Stasinek.

— Ale konie z Pokrzywek sprzedał, prawda?

Pani Dorota milczała, zlekka urażona. Pomilczawszy chwilę rozwinęła z papieru białe goździki i wetknęła je we flakon na półce z książkami.

— Tu im będzie lepiej niż w kwaciarni. Zapomniałam panu powinszować, a przecież wczoraj były pana imieniny. Właściwie po to przyszłam, a zanudzam pana

swoimi sprawami. Ale nie wie pan, jak to człowiek w zmartwieniu? — uśmiechnęła się filuternie.

— No, tak, pani Doroto — powiedziałem przerywając krótkie milczenie, które zapadło znowu po podziękowaniach. — Ale, jak pani myśli, co to będzie z tymi końmi? Co właściwie pozostaje panu Stasinkowi?

— Śmierć — odpowiedziała pani Dorota i znów zapłakała bardzo żałośnie.

BIEDNA PANI DOROTA

Biedna pani Dorota! Świat zwałił się na nią z hukiem jak wodospad, nastąpiła martwa ciemność jak w zasypanym schronie. Można było jęczeć, błagać i rozpaczać — ludzie byli głusi jak więzienie.

Zanim się wydarzyło to nieszczęście z panem Stasinkiem, pani Dorota żyła w spokoju i zapomnieniu od ludzi. Czasu wojny pan Stasinek, naówczas skromny urzędniczek warszawski dorabiający handelkiem, daleki jej kuzyn zresztą, którego przed wojną omijała z daleka, uratował jej życie wyciągnawszy ją przez wiadome stosuneczki z warszawskiego Pawiaka, gdzie usiadła z łapanki ulicznej. Za to przywiązała się do niego bardzo serdecznie i odwzajemniła mu wieloletnią tajoną miłość.

W powstaniu pan Stasinek stracił mieszkanie i mebelki, ale ocalił trochę uhandlowanego złota, wykupił się wraz z panią Dorotą z Pruszkowa, przycupnął na wsi podstołecznej, a kiedy wojna się skończyła, zostawił pani Dorocie parę złotych na przeżycie, a sam kropnął się na Ziemię Odzyskaną, aby się rozfartować. Jakoż wrócił po dwu czy trzech miesiącach, dostojny, władczy, bogaty. Od razu stał się dygnitarzem: kupił jej na Mokotowie słoneczne i przytulne spółdzielcze mieszkanie,



pachnące świeżym tynkiem i bzem rozkwitłym w ogródku pod oknem. Mieszkanie to (dwa pokoje, łazienka wykładana kaflami, piękny korytarz, kuchnia, nisza dla służącej — wszystko służbowo zapisane na pana Stasinka) zaludnił pan Stasinek stylowymi meblami z pałacu junkra pruskiego, przyozdobił kryształami, porcelaną, obrazami, dywanami i obrusami, rozweselił gustownym radiem szafkowym, wymościł bielizną i pościelą zdartą z zasobnych domów mieszczańskich na zachodzie i ubierając panią Dorotę z serdeczną troską od majtek aż do pelisy, otulał ją przed mroźnym i nieżyczliwym światem czule, jak śnieg otula wąty kielek pszenicy.

Jakże smaczne, jakże lekkie, jakże usłużne, pogodne są te cudowne zakąski, płytkie zupki w ogrzanych talerzach, kotleciki, udka, skrzydełka zlatujące z wiotkich dłoni kelnera jak gołąbki! Ileż odcieni goryczki i słodyczy, cierpkiej siły i pieszczotliwej słabości mają te wszystkie wina, których pochodzenia, kolorów i smaku nawet pan Stasinek nie umiał wyliczyć! Ileż miłego uroku, obietnicy wstydlivej nocy wyziera z blasku matowych świateł kawiarni! Jakże piękne są falujące równiny przecinane samochodem jak łódką! Jakże miękkie asfalt rozgrzany w letnie południa, jakże zabawne niespodziewane zakręty, podjazdy i spady górskich szos. A nade wszystko — jakże mądry i mocny jest ten człowiek, mężczyzna na sto dwa, szanowany i wzbudzający przestach, który ją unosił jak anioła między niebem a ziemią i składał na łożo ostrożnie jak studolarówkę.

Nie mogłem się powstrzymać od chęci zapoetyzowania. My, dziennikarze, nie mamy czasu zawodowo uprawiać poezji: od tego są — jak wiadomo — poeci. Każdy z nas ma swój dział: jeden robi gospodarke, drugi redaguje depesze, trzeci zbiera wiadomości z miasta. Gazeta — to nie tomik Kubiaka: trzeba pisać rzeczowo

i zwięźle. Toteż poetyzujemy sobie poza redakcją, prywatnie. Zwłaszcza gdy piszemy o miłości. Tak się usprawiedliwiwszy, wracam do opowiadania.

Przez długie miesiące sumienie żony nie dawało pani Dorocie spokoju. Mąż pani Doroty, znany przed wojną adwokat, radca prawny wielkiego kartelu zagranicznego, zakochany w niej do szaleństwa, ale traktujący ją jak „kokotę“ — uciekł we wrześniu z Polski, zabierając papiery firmy i zostawiając żonę, która nie zdążyła na czas z letniska.

Przez Rumunię, zwykłym szlakiem przedostał się na Szwajcarię, gdzie miał znaczny kapitał w banku; powiększył majątek na mniej i bardziej legalnych dostawach, wojennych spekulacjach i machinacjach z agentami firm niemieckich, korzystając z kontaktów osobistych i powiązań politycznych. Z Genewy paczkami, pieniędzmi i dobrymi radami pomagał żonie spokojnie przesiedzieć okupację i mieć oko na jego podwarszawskie posiadłości, jakieś rozległe parcele i place, na których niegdyś miano stawiać fabrykę samochodów, doprowadzić do niej bocznice kolejową i zbudować szosę.

Kiedy się wojna skończyła i poczta (państwowa i ta inna) zaczęła jako tako działać, pan adwokat Umiaśtowski nie przestawał namawiać pani Doroty, aby się do niego przedostała. Wskazywał jej pewnych ludzi i bezpieczne szlaki. Zrezygnował z parceli i placów; przyjaciele szwajcarscy uświadomili go, że rewolucji nikt nie zdławi zbrojnie; co najwyżej można spróbować sabotażykiem i dywersyjką. Otrzymawszy pouczenia męża, pani Dorota wahała się kręcąc w palcach świstek papieru. Nie była już pierwszej młodości i znając dobrze wymagania swojego męża, obawiała się konkurencji szwajcarskiej. Pragnęła także troszkę się potargować i wymusić konkretniejsze zapewnienia niż miłość i przywiązanie. Żal jej było również pana Stasinka,

który z dnia na dzień rósł w znaczenie i coraz zapamiętalej ją kochał. Iście gordyjski węzeł uczuć! Odpisała tedy, że się boi ryzykować, że będzie „tęsknić za starą, ukochaną, bohaterską Warszawą, której losy do końca dzieliła“, że na razie nie ma na podróż pieniędzy i że zaklina go na ich miłość, aby powrócił i oddał siły krajowi na pożytek.

„Na pewien czas mam spokój — pomyślała, ucieszona, wysławszy list pocztą pantoflową. — Wilk syty, koza cała i kapusta nie ruszona.“

Ku przerażeniu kapusty koza nagle stanęła przed nią. Pan adwokat poradził się swoich przyjaciół i otrzymawszy pouczenia przeszmuglował do kraju trochę obcej waluty, dolarów, funtów i franków na założenie przyzwoitego, solidnego gabinetu adwokackiego. W ślad za gotówką sam pojawił się nagle w Warszawie. Zeszli się jego tutejsi przyjaciele i przy okazji zdali mu wyczerpujące relacje z poczynąń pani Doroty i pana Stasinka. Znawcy stosunków politycznych nie radzili mu jednak zadzierać z prezesem, który trzęsie ponoć całym województwem B. i ma nieliczne chody u władz centralnych; przeciwnie — należało nawiązać kontakt z panem Stasinkiem. Również nie ma co oburzać się na panią Dorotę. Któraż kobieta postąpiłaby inaczej? Poza tym taka kobieta każdemu wlezie do łóżka i chętnie da kontakt; potem odejdzie, a kontakt zostanie.

Pan adwokat niezupełnie był zadowolony z wytycznych, ale zagryzł ze złością wargi i wezwał żonę na rozmowę.

— Moja droga, nie biorę ci niczego za złe, bo kobiecie w twoich latach i z twoim charakterem trudno wytrzymać bez mężczyzny; zresztą ja także na emigracji nie tylko myślałem o ojczyźnie — powiedział jej prosto z mostu pan adwokat, zaprosiwszy panią Dorotę do

wyremontowanego, czteropokojowego mieszkania na Mokotowie.

Zajmował cały parter willi, okna kazał okratować, drzwi obić od wewnątrz żelazną blachą.

— Nie zamierzam ciebie prosić, abyś tu zachodziła pomieszkać na godzinkę, zbyt szanuję twoje nowe uczucia, sam żywię dla ciebie pewien sentyment. Mój Boże, tyle lat człowiek żył razem i na starość musi się rozłączyć!

— Wiesz, że mi też nie lekko — szepnęła pani Dorota.

Rozglądała się z zaciękawieniem po bogatym gabinecie.

„Gdzie on dostał takiego Podkowińskiego?“ — pomyślała z podziwem. Znała się trochę na obrazach; przed wojną adwokat to i owo miał w galeryjce. Mece-nas pochwycił jej spojrzenie.

— Urządzam się na razie, jak widzisz. Ze smakiem, powoli, mam czas. Więc do rzeczy. Daję ci, powiedzmy, pół roku do namysłu. Nie jestem już w tym wieku, kiedy bez kobiety nie można dnia wytrzymać. Jeżeli przekonasz się, że obowiązki żony są ważniejsze niż przygodny kochanek, to mieszkanie czeka na ciebie, a w przyszłości może i samochód. Ponadto dostaniesz sto tysięcy miesięcznie na własne rozrywki, ale już nie te, którym się teraz oddajesz. Tego nigdy nie znosiłem, to wiesz. Za parę lat zresztą zestarzejesz się i kochanek ciebie rzuci. Nie będzie mu wypadało obnosić się na wysokim stanowisku ze starą żoną, w dodatku tak podejrzanej konduity jak twoja. Zobaczysz, że będą mu patrzeć na palce i zmuszą, aby żył z pensyjki służbowej. A jak się nie ma pięknej kochanki, to po co stara żona? Wtedy znowu przyjdiesz do mnie, ale już będzie za późno. Nie potrzebujesz się od razu decydować, ale pomyśl. Kiedy przyjdzie wiać znowu — a na pewno trze-

ba będzie, dobry interes nie trwa wiecznie — zabiorę cię z sobą, zobaczysz.

Tu pani Dorota uśmiechnęła się niedowierzająco, ale adwokat Umiastowski zdusił ogarek w popielniczce i spokojnie ciągnął:

— Jeżeli zaś pragniesz prowadzić dalej żywot emancypantki, to pamiętaj, że ja ci rozwodu nie dam, a nie myślę, żeby przyszłemu dygnitarzowi było przyjemnie osławić się procesem rozwodowym i chwalić się, że zabrał żonę mnie, który musiałem przebywać na obczyźnie. Kobietę o zabazgranym pochodzeniu społecznym! Która podczas wojny spała z kim się dało!

— Nie zapominaj, że jestem twoją żoną — powiedziała sucho pani Dorota.

— Nie zapominam, najdroższa — rzekł pan adwokat Umiastowski. Pochylił się nad biurkiem i ująwszy jej rękę pocałował czule gładką, wypielegnowaną dłoń. — Więc namyśl się. Żeby zaś ci ułatwić rozmyślenia, wyznaczam ci tymczasem czterdzieści tysięcy pensji miesięcznie, które pobierać będziesz u mego aplikanta w pierwszy piątek każdego miesiąca. A teraz pozwól — rzekł dźwigając się ciężko z fotela — że ci ucałuję obie rączki na pożegnanie.

Odprowadził ją na korytarz, podał jej futro i zamknął za nią okute żelazem drzwi. Założywszy łańcuch kazał służącej wygrać łóżko, wykapać się i przynieść wino do sypialni. Stary pan krew miał gorącą, wcale a wcale nie adwokacką.

Wsunąwszy się tego wieczoru pod świeże prześcierało, wciągając z rozkoszą wilgotny i ciężki zapach lipcowej nocy, szumiącej za otwartym oknem jak dojrzałe zboże, pani Dorota podłożyła dłonie pod głowę, zanurzyła leniwie palce w bujne, sypkie sploty włosów i zaczęła swoje rozmyślenia. Ważyła swoje szanse ostrożnie jak aptekarz. Kiedy uczuła, że jej jeszcze młode i po-

wabne ciało powinno należeć do zdolnego, energicznego prezesa, przyszłego posła, wojewody, a może (kto wie?!) wiceministra lub nawet więcej, a nie do starego adwokata, któremu prędzej czy później ograniczą praktykę i dobiorą się na siłę do pieniędzy jak do puszki konserw, i kiedy uśmiechając się mściwie na myśl o rozwodzie, pani Dorota zgasiła papierosa i podkurczyła nogi do snu — wtedy w wojewódzkim mieście B. pan Stasinek przeciągnął się na twardej ławce aresztu i poprosił pilnującego go milicjanta o połówkę papierosa.

ŚMIERĆ FRAJEROM

Początek

Poznoszono księgi, rachunki, asygnaty i protokoły; zamówiono na parę nocy buchalterów przysięgłych i ekspertów; przesłuchiowano cierpliwie administratorów, kierowników, zarządców i magazynierów, właścicieli barów i restauracyj, szoferów i robotników rolnych; wzywano członków zarządu i stronnictwa; dyskutowano sprawę w odpowiednim wydziale Komitetu Wojewódzkiego PPR i na komisji międzypartyjnej; wyjeżdżano komisyjnie w teren, udawano się do Warszawy i tam przeglądano sprawozdania zarządu, które układał i podpisywał prezes; wykrywano w nich sporą dozę fantazji, sprytu i polotu; gromadzono dzień po dniu coraz większy materiał dowodowy — i tak opukiwano sprawę jak zwietrzały mur przez parę najpiękniejszych tygodni lata.

Tymczasem zaś cała biedota w majątkach rolnych należących do związku i cały aktyw w B. odetchnęli po upadku pana Stasinka i śmieli się z tej ślicznej fuzji trzyłufowej, tak zwanego drylingera. Drylinger zresztą nie strzelał, był zepsuty na amen, ale stał się jedną z przyczyn nieszczęścia na równi z dziesięcioma funta-

mi czarnej niemielonej kawy. Były i inne powody, ale z tych się już nie śmiano. Drylinger świadczył, że związek idzie na udry z bandami. Stał w szafie w sekretariacie związku; szafa się nie domykała i interesanci wychodzili z lokalu pod wrażeniem ostrego pogotowia bojowego.

— Pilnuje się, bestia, ten pan Stasinek. Leży na formie państwowej jak pies — mówili z uznaniem.

Z kawą było nieco inaczej: myszkując po zameczkach pojunkrowskich pan Stasinek obok wielu pięknych mebli, które ciężaróweczką poszły do Warszawki, znalazł przypadkiem w spizarni dziesięć funtów tego towaru. Nie oddał jej do stołówki, gdzie by się na kawie i tak nie poznali, lecz do restauracji. Kierownikowi magazynu przy stołówce nie było to w smak. Wolałby kawę protokolarnie sprzedać, ale pomyślawszy zamknął szczelnie gębę. Niechno by spróbował zadrzeć z panem Stasinkiem!

Bo wreszcie trzeba wam wiedzieć, że pan Stasinek prezesował Związkowi Zawodowemu Pracowników Samorządowych i pełnił z jego ramienia ważne funkcje w B. Jak to się popularnie mówi, trząśł całym B. Choć nie był w PPR, ale u chłopów, był za pan brat z niejednym partyjnym, wszystko załatwiał na gębę, zaufanie za zaufanie. Należało mu się; ostatecznie — przyjechał jeden z pierwszych na ziemię zachodnie, organizował władzę w B. i kiedy podpisał, to zawsze mówił, że się najlepiej czuł jako pionier. Wystarał się dla związku o kilkanaście majątków rolnych, którymi zarządzał z niewyczerpaną energią. Rozprowadził hodowlę duńskich koni, w lasach urządził tereny łowieckie. Zwierzyny było w bród, a dostojników-myśliwych jeszcze więcej.

W mieście pan Stasinek założył stołówkę, projektował żłobek dla dzieci i dom dla pracowników. Niestety,

majątki nie odpalały dochodu, trzeba było dopłacać robotnikom i fernalom. Również politycznie pan Stasinek przeszedł, jak to się zwykle podkreślać, ewolucję. Jeszcze w referendum prowadził agitację dla PSL-u, ale tuż przed wyborami zerwał z reakcją i przeszedł do Nowego Wyzwolenia. Chciano, aby kandydował z listy tego stronnictwa, ale opozycja bloku była zbyt silna i pan Stasinek ustąpił zaszczytu innemu, sam zapewniając sobie eksponowany urząd prezesa. Liczył, że gdy kolega-poseł wyfrunie do Warszawy, on zajmie jego mieszkanie i odziedziczy godności w terenie, a udeptawszy grunt pod nogami podskoczy wyżej w następnych wyborach.

Przenosząc się do stolicy koleżka pożyczył z kasy związkowej okrągłych parę tysięcy na pokrycie swojej sprawy rozwodowej (porzuciwszy żonę żenił się z sekretarką), a na zastaw dał dwie fuzje, które mu niegdyś podarował tenże związek. Dwururkę oddano do majątku, drylingera powieszono w sekretariacie.

Krótko i węzłowato: pan Stasinek determinował poważnie życie społeczno-polityczne w B. Stąd stale był w rozjazdach. Auto służbowe, drogi asfaltowe, więc się nie przemęczał. Regularnie wizytował folwarki i majątki, aby zaś utrzymać kontakt osobisty z Warszawą, nie wołany jeździł na konferencje do stolicy i przywoził z niej najświeższe anegdoty antyrządowe. Rachunki pokrywał związek. Ponieważ jednak skarbnik był formalistą, do tego trochę chorowitym, więc pan Stasinek urządził go gdzie indziej. Sam objął jego funkcję i nie bawiąc się w biurokrację akceptował wystawione przez siebie asygnaty. Kasjer, niejaka Teresa S., honorowała wszelkie kwity pana prezesa. Niech no by spróbowała inaczej!

Tak minął roczek jeden i drugi. Państwo się umocniło, zwalczano bandy, zabrano się do Planu; rosły fa-

bryki, domy i — ludzie. Ale majątki pana Stasinka nadal nie przynosiły dochodu i za każdy wóz kapusty, który szedł do stołówki urzędniczej, trzeba było przesyłać administratorom pieniądze na wypłatę pensji. Z zameczków junkrowskich zginęły naczynia, meble, dywany, posadzka. Zostały gołe, odrapane, samotne ściany, w których hulał wiatr. Za to u niejednego gościa w Warszawie można było spotkać porcelanę, obrazy, a nawet trofea myśliwskie z B. Pan Stasinek miał stosunki.

Nie było go całą zimę w B. Przeżywał z panią Dorotą najpiękniejsze miesiące swego życia w Zakopanem, dokąd udał się salonką rządową i zamieszkał, nie wiadomo czemu, w pensjonacie dla pracowników filmowych. Pani Dorota pięknie jeździła na nartach; pan Stasinek czynił wysiłki, aby jej sprostać. Gdzie się poruszył, spotykał znajomych i przyjaciół, którzy głośno zazdrościli mu szykownej k o b i t y. Wreszcie, przynaglony depeszami i listami, zostawił panią Dorotę w „Wersalu“ i sypialką wrócił do B.

Tak się złożyło, że pod nieobecność pana Stasinka zmieniono nagle w B. Komisję Specjalną, na której czele stanął młody, przybyły z Łodzi prokurator Zabiega. Kawaler, mający na utrzymaniu starą matkę, rodem ze wsi góralskiej.

Od razu powiało w miasteczku nieprzyjemnym chłodem: prokurator nie pił, za dziewczynkami w stołówce związkowej się nie oglądał (a było za czym), do baru hotelowego nie chodził, nie pokazywał się prawie wcale w kolejowej restauracji pana Olejnika. Czasem tylko, gdy miał nagłe sesje wyjazdowe, wpadał po kilka kanapek na drogę. Lubił natomiast rozmawiać z „ludźmi“, łąził na wszelkie zebrania, budził zgorszenie swoimi przyjaźniami z załogą elektrowni i gazowni; włóczył się

zapamiętałe po okolicy. Mówiono, że to góralskie nawyczki ciągną faceta za miasto.

Roboty miał sporo i wsadzał aż się kurzyło. Przymknął jedną bimbrownię, znalazł mały składzik na stryżku u aptekarza, podkreślił — jak to się powiada — kilku hurtowników, przetrząsnął piwnicę restauratora Olejnika i odebrał mu chęć oszczędzania; zagnał paru spekulantów do obozu pracy i jakoś niechący zawadził o gospodarkę w związku samorządowców. O tej gospodarce głośno już było w miasteczku, chociaż otwarcie nie mówiono jeszcze nic. W dniu, kiedy spaliły się zabudowania folwarku Pokrzywki, przybyła stamtąd delegacja fornali, aby na zebraniu aktywu partyjnego elektrowni postawić sprawę lekarstw dla majątku.

Elektrownia opiekowała się majątkiem i brała udział w jego życiu społecznym. Pokrzywki należały do związku zawodowego samorządowców, ale związek rozłożył ręce. „Brak funduszków na lekarstwa“ — powiedział jesienią pan Stasinek i sprawę załatwił odmownie. „To jak to? Nic się nam nie należy? — mówili z goryczą delegaci fornali. — Tylko pracuj i haruj, a taki łajdak będzie się po Polsce rozbijał z babą? I nikt mu na palce nie patrzy? Dla niego pieniądze są? Wolno mu przyjeżdżać, z kim zechce, i każdemu mówić: «Śmierć frajerom»? Wylegiwać się w pałacu z kobitką? A potem rączki rozkładać, jak się do niego przyjdzie? Przyjeďte, towarzysze, zobaczcie te spalone budynki. Czort się w tym nie rozbierze.“

Po południu naczelnik wydziału sabotażu z urzędu wojewódzkiego UB, towarzyszka Józefkowa z Komitetu Wojewódzkiego Partii i prokurator Zabiega wsiedli w samochód i wraz z dziennikarzem, który przypadkowo bawił w B., udali się do Pokrzywek.

— Pechowe majątki — powiedział prokurator Zabiega, kiedy wyjechali za miasto. — Ziemia nie rodzi, by-

dło marnieje, a teraz jeszcze te dzieci. Brak przedszkola!

— Co się tyczy przedszkola, szanowny towarzysz, tośmy je założyli — odparła towarzyszka Józefkowa.

Pochodziła ze Śląska; rodzina od trzech pokoleń socjalistyczna. Dziad zginął w 1905; ojciec za sanacji wypłuł płuca na Świętym Krzyżu, ona za okupacji przejechała się przez kilka obozów. Teraz wysłała ją partia na drugi koniec Polski. Robota partyjna była dla niej zwykłą jak dom: pokój jej w Komitecie stale pełen był matek, nauczycieli, chłopów, robociarzy. Udzielała rad i miała dobry zwyczaj doprowadzać każdą sprawę do końca. Jak to mówiła pani Dorota? Że jest żmija? Jeżeli tak, to musiały jej się bać reakcyjne żaby, myszy i jaszczurki. Uśmiechnęła się młodo i dodała: — Jakoś, towarzysz, prokuratorze, że wszystkimi ludźmi gadacie, a do mnie drogi nie znaleźliście. Myślicie, że wychowanie to pies?

Ostatnie zabudowania miasta zostały za nami, wyjechaliśmy między wiosenne, surowe pola. Powiał ostry, kwietniowy wiatr, niosąc zapach butwiejących liści i rozgrzanej, wilgotnej, płodnej ziemi.

— I przedszkolanka jest, dziewczyna młoda, niedoświadczona, prosto z miasta. Boi się dziecka dotknąć — ciągnęła dalej Józefkowa. — Wiecie: co wychowamy człowieka, to go nam zabierają albo do Warszawy, albo na inną robotę. A czasem to i sam odchodzi. Wiecie, jak to z ludźmi. A jeśli idzie o majątki związku samorządowców, to trochę jeżdżę po terenie, przyglądam się gospodarce to tu, to tam i gdzie tylko co złego, zawsze natrafiam na ślad naszego pana Stasinka. Już się towarzysze ze mnie śmieją i radzą mi, żebym wyszła za niego za mąż. Pewnie się w nim kocham, powiadają.

— Za mało kontrolujemy pracę ludzi i wierzymy im na gębę — opowiadała towarzyszka Józefkowa. — Oto,

jak jest naprawdę. Więc kiedyś byłam w Duksztach. Majątek o jakie dwadzieścia kilometrów stąd. Jesienna orka. Traktory chodzą po polu. Ale choć jestem z Zagłębia i widziałam więcej kominów niż zagonów, coś mi się to oranie nie spodobało. Zatrzymuję wóz, wysiadam, przyglądam się skibom. Jedna od drugiej o dobry metr, stoją na sztorc, a traktor zagarnia ziemię aby szybciej, aby więcej. Pytam: „Obywatelu traktorzysto, czy tak was uczono orać?“ „Nie, odpowiada, ale tak kazał administrator.“ Idę do administratora. Nie chciał gadać, taki był ważny, ale zmiękł. Mówi: „To pan Stasinek kazał. Wypełnić plan, zaorać na oko, a potem, mówił, jeszcze się raz do tego weźmiemy.“ Administrator wyleciał, pan Stasinek został.

— To nie jest tylko sprawa pana Stasinka — mruknął naczelnik z UB. — Trzeba ruszyć całe kumoterskie gniazdo. A gniazdo wisi wysoko. Nie zawsze można się wdrapać do niego.

— Wdrapiemy się! — powiedział optymistycznie prokurator Zabiega. Rozwinął z papierka bułki z masłem i pasztetem i poczęstował współtowarzyszy. — Przyzwyczajenie. Nie mogę jechać na głodnego.

— Wiadomo, że się wdrapiemy! — odmruknął naczelnik. — Tylko trzeba popluć w łapy.

— Albo jestem w innym majątku — mówiła dalej towarzyszka Józefkowa. — Znowu na jesieni ubiegłego roku. Deszcz, plucha, psa nie wygoń. Widzę pole zarosnięte badylem do pasa. W badylach ludzi. Łażą po polu, zginają się, prostują, jakby coś zbierali. „Zwarowali widać“ — powiedział mój szofer i zatrzymał się na skraju drogi. Wysiadam, idę w pole. „Ludzie dobrzy, co wy robicie?“ „Buraki cukrowe zbieramy“ — odpowiadają chórem. „Gdzie? W badylu?“ „A czemu nie, jak płacą?“ „Pokażcie te buraki!“ Pokazują mi. Małe jak mysie ogonki. Rzodkiewka jest już większa. I tak

na całym polu, pięć hektarów. „Jak to, nie obrodziły?“ „E, to nie dlatego. Pola nikt nie oczyścił z chwastów, to i zarosło. Zagłuszyło.“ Pan Stasinek znowu zlekceważył. Miał przysłać pomoc z miasta. Nikogo nie przysłał, administratorowi powiedział: „Śmierć frajerom! Radź sobie sam!“

Administrator radził, jak mógł, sprzedał, co mógł, uciekł i teraz szukają go po Polsce. A pan Stasinek siedzi spokojnie w Zakopanem. Rozumiecie już, czemu majątki dochodu nie dają i zamiast mobilizować masy są zarazą?

— Rezerwat pana Stasinka — mruknął naczelnik z UB.

Samochód wszedł w głęboki las, ulubione tereny łowieckie prezesa. Droga schodziła w dół i okrążywszy puszcę wpadała do łagodnej doliny. W dolinie świeciły się białe zabudowania dworskie, czerniały czworaki za sadem. Czarna rzeczka wiła się w dolinie, wezbrana wiosennym przypiływem. Samochód przemknął się przez mostek, wyminął bramę sadu i zatrzymał się przed dworkiem. Przyjechali.

— Ależ, proszę państwa — mówił przywitawszy się zarządca, wąsaty bałagula o pocziwym, psim spojrzeniu — oczywiście, to brak dozoru z naszej strony. A czyż ty, mileńki, możesz wszystkiego upilnować? Sam, swoimi rękoma? Chłopi potępili to na swojej partii, lecz co z tego? Prózne gadanie!

— A budynki się spaliły, co? — zagadnął naczelnik z UB.

— Widzicie, panie, dzieci nie są pilnowane w domu. Fornal idzie do roboty, to wetknie dzieciakowi coniebądź do rąk, żeby się nie darło. Ot, i wetknął któryś zapałki. Dawniej, jak chłop, bywało, dzielił zapałkę na czworo, to ognia było mniej. Dobro swoje szanował. Ale

teraz, jak chłop się dorwał do kultury, to jak do wody sodowej. Wszystko się może zdarzyć.

— Tak, tak, wszystko może się zdarzyć, jak się chłop dorwie do kultury — powiedziała w zamyśleniu Józefkowa.

Obejrzeni zabudowania dworskie, spalone do fundamentów. Część bydła wyprowadzono, część się spaliła. Naczelnik UB chodził po zgliszczach i w zadumie grzebał końcem buta w popiołach. Nad ranem spadł deszcz i nawet głównie pachniały wiosną. Patrząc, a śniegułki polecą i przyłasczki wyjrzą na łąkach.

— A to ciekawe, towarzyszeko Józefkowa — powiedział spokojnie, otrzepawszy buty — że konie znikły jak kamfora. Spaliły się na popiół czy co?

— On mówi, że stały koło szopy z sianem. Tu najdłużej szalał pożar.

— Wszystko razem kupy się nie trzyma. Tylko w powieściach o dobrych panach spotyka się motyw podpalenia przez dzieci budynków. Ale żeby akurat w Polsce Ludowej, akurat na wsi, akurat w majątku związkowym, akurat w Pokrzywkach, gdzie jest taka zaśmiana gospodarka, gdzie toczy się taka zaciekła walka klasowa, żeby tu dzieci ni z tego, ni z owego bawiły się ogniem — nie, wybaczcie, nie nabierajmy się na stare konwencje literackie! Gdzież socjalistyczna konstrukcja losu ludzkiego?

— To wy czytacie „Kuźnicę“, towarzyszu? — zapytał przerażony dziennikarz.

— A co robić w takim miasteczku? — machnął dłonią naczelnik. — Jak byłem w I Armii, to nawet wiersze pisałem. Literat, można powiedzieć. — Polazł powoli przez podwórze i wszedł między zabudowania fernalskie.

— Nie przyjeżdżał tu kto? Jesienią? Może latem? Może w zimie?

— Pan Stasinek przyjeżdżał.

— A więcej nikt?

— Pan Stasinek przyjeżdżał samochodem z jakimiś panami.

— Swoim samochodem?

— E tam, swoim! Innym, wielkim, zielonym.

Naczelnik wyjął z portfelu zdjęcie Chevroleta i podsunął gospodarzowi pod oczy.

— Takim.

— A o czym gadali?

— A kto ich wyrozumie? Obcym językiem. Ludzie mówią, że to panowie z zagranicy.

— A co było napisane na samochodzie?

— E, a bo on taki głupi, myślicie? Numer był okręcony szmatą.

— Cholera! — powiedział naczelnik i podrapał się po głowie. — Dzieci, psiakrew!

Poczęstował gospodarza papierosem i sam zapalił. Pomilczeli chwilę, zaciągając się dymem. Potem podali sobie ręce i każdy wrócił do swojej roboty.

Tymczasem administrator zachwalał przed Józefkową akcję lekarską:

— Niech ludzie gadają, co chcą, a przecież związek zrobił dla nich naprawdę bardzo dużo. Sam pan Stasinek dał lekarstwa, przysłał lekarkę z powiatu; raz był u nas ambulans dentystyczny. Urządziliśmy wzorowe przedszkole. Niedawno, ale jest. No i mieszkania ludziom mieliśmy postawić. W planie było. Nawet kredyty dostaliśmy. Cóż, kiedy znowu to nieszczęście z pożarem.

— Chodźmy do przedszkola — przecięła krótko Józefkowa.

Poszli gromadą. Zgięli się w niskich drzwiach i weszli do brudnej izby. Dawniej — jadalni pańskiej. Na ich widok przedszkolanka, młoda, hoża dziewczyna, zer-

wała się z ławki. Dzieci stały w kole i urwały w pół słowa piosenkę *A jak przyjdzie słońce i pogoda*. Z sufitu zwieszały się kolorowe serpentyny, pozostałość z karnawału. Ze ściany spoglądał sowim okiem wymalowany kredkami orzeł. Józefkowa, przywitawszy się z dziewczyną, uklękła przy dziecku, które siedziało na ławce, i wzięła jego rączki w swoje dłonie. Przesunęła palcami po ramieniu dziecka i delikatnie rozpięła mu kubraczek, i zdjęła koszulkę. Nagle wstała, podniosła dziecko i powiedziała:

— Patrzcie, jak skutkują lekarstwa pana Stasinka.

I pokazała im plecy dziecka, pokryte strupami zastażalego świerzbu, zaklejonymi strzępami papieru.

— Kwalifikuje się? — zapytał prokurator Zabiega naczelnika z UB.

— Wasz resort — odparł tamten.

— No, to zabieraj się, kochaneńki, z nami — powiedział śpiewnie prokurator Zabiega do oniemiałego administratora i zatarł ręce. — Pomieścimy się w aucie wszyscy.

W milczeniu wsiedliśmy do samochodu i wyjechaliśmy za bramę.

— Jak to powiada pan Stasinek? — przypomniał sobie prokurator, gdy wyjechaliśmy na wzgórze i pożegnany spojrzeniem obejmowaliśmy folwark Pokrzywki. — „Śmierć frajerom“, mówi on? No to: śmierć frajerom!

ŚMIERĆ FRAJEROM

Ciąg dalszy

— Śmierć frajerom! — zawtórował pogodnie pan Stasinek powróciwszy sypialką do B. Odbył w filii filmowców ważne rozmowy polityczne, zabrał z Warszawy delegata na wizytację majątków i ugadywał go

przez drogę. Rano zostawił go w hotelu, przybiegł na ósmą do biura, pokręcił się po pokojach, roześmiany, opalony, tryskający zdrowiem i energią, zajrzał do personalnego i do osiedleńczego, wpadł do stołówki i pokręcił nosem, że zupa za cienka, przejrzał akty, sprawdził rachunki, podyktował sekretarce korespondencję, odbył kilka konferencji na mieście, powąchał sprawę Pokrzywek, wzdrygnął się trochę, niczego się nie dowiedział i musiał się zadowolić wyjaśnieniem, że dzieci spaliły zabudowania, a administratora posadzono, do wyjaśnienia. Po czym, zmęczony i rozgrzany kilku wódkami, poprosił panów członków komisji rewizyjnej na małe zebranko.

— Słuchajcie no, ludkowie — powiedział zacierając ręce wystające z przykrótkich rękawów cajgowej marynareczki i popijając cienką herbatkę, która parzyła mu wargi — do walnego zebrania zostało jeszcze trzy miesiące, więc po co krzeselka z przerażenia łamać? Ja muszę kupę spraw załatwić w Warszawie i naprawdę nie mam czasu zajmować się duperelami, tymi wszystkimi spisami, rachunkami, księgami, asygnatami i czort go wie, czym jeszcze... Wynająć buchaltera i niech się grzebie. I tylko mu pomóc, nie?

— Właściwie prezes jest odpowiedzialny za stan ksiąg i w ogóle — powiedział z wahaniem członek komisji.

Pan Stasinek spojrział ironicznie na członka.

— A zarząd rączki umyje i do domu lulu, nie? Pan wiceprezes chciałby szyszką w partii być, a tutaj, w związku, na mnie wszystko zwała, tak? Pan sekretarz swoje interesiki przez teściową załatwia i do roboty się nie bierze. I znowu ja winien, tak? A wyście gdzie byli przez te trzy kadencje zarządu? Spali, nie? I mleczko popijali. Trzeba sprawozdanie wyszykować na walne zebranie i gadania nie ma. Manka nie może być

ani w książkach, ani w magazynie. Wszystko trzeba wyrzucić na sto dwa!

— A co z tymi Pokrzywkami?

— Przecie wiecie lepiej ode mnie, co. Dzieciaki spały. Konie się spiekły, krowy. Nieszczęście.

— Ludzie różnie gadają.

— Ludzie zawsze gadają — przeciął pan Stasinek.

— Znaczy się, musicie, prezesie, wygotować sprawozdanie, kieszeń musi być czysta.

— Trzy lata robiłem i nikt mi ani w kieszenie, ani w zęby nie zaglądał. A teraz, jak odchodzę do Warszawy, to wszyscy huzia na Stasinka? — Pan Stasinek podniósł się z za stołu i stanął naburmuszony przy oknie. „Cholera go wie — pomyśleli członkowie komisji — co on ugadał w tej Warszawie. Taki to zawsze wylizie, ma znajomości, z każdym popije i pogwarzy, a potem człowieka utraci.“

— Niech inni popracują jak ja — ciągnął pan Stasinek — a dopiero zobaczą, jak to słodko. Niejednemu główka polecie. No, panowie, ja sprawozdanie wygotuję jak ta lala, ale nie wtykajcie nosa w nie swoje sprawy. I chodźcie na obiad, bom głodny.

Poszli hurmą do restauracji pana Olejnika, przywitali się z prokuratorem Zabiegą, który wyjeżdżał w teren, zamówili suty obiadek i dokończyli konferencji.

Po południu pan Stasinek wyjechał z delegatem warszawskim do majątków. Obejrzeni pałacyki, z których, jak wzdychając zapewniał pan Stasinek, meble zabrali szabrownicy i w ogóle rekwizycja; przeszli się po polach, oglądali orkę pod kartofle, odbyli zebranie związkowe, znowu wsiedli w samochód, ominęli z daleka nieszczęsne Pokrzywki i pojechali do pokazowego majątku, 80 km od B., na dziki. Zaparkowali wóz, wzięli od administratora po dubeltówce i poleżli wieczorkiem na stanowisko. Gadali o związku; pan Stasinek nalegał, aby go przeniesiono do Warszawy, do zarządu głównego. Ma

już dosyć gnicia w B. Trzy lata! Kawałek życia! Dla polityka to samobójstwo siedzieć na prowincji! Delegat, młody chłopak z I Armii, który pracował przy oczyszczeniu portu w Szczecinie, a potem przeszedł do roboty związkowej, nienawidził papierków i biurka, marzył o przejściu do produkcji i patrzył na pana Stasinka jak sowa patrzy na wychylającą się z nory mysz. Przecież, uświadamiał go cierpliwie, nadchodzą wielkie zmiany w życiu związków zawodowych. Dotychczas w związkach gdzieniegdzie panowały się tradycje przedwojenne, socjaldemokratyczne, bonzowskie, ba! nawet klerykalne. Inni działacze traktują związki jako instytucję równorzędną z partiami robotniczymi, niezależną od władzy ludowej, pełną nieufności do niej.

Szli miedzą pod cieniem sosen. Zapadał już zmierzch. Jeszcze godzinka, półtorej i dziki wyjdą na żer. Mieli dosyć czasu, przedzierał się więc spacerkiem do wyżki panującej nad polem.

— Brakowało, żeby jeszcze partie kierowały życiem związkowym! Nikt się w związkach na to nie zgodził! Komenda partyjna? Ho, ho, ho!

— Żadna komenda! — przerwał delegat. — Partia nigdy nie komenderuje związkami, ale może udzielać poleceń swym członkom, którzy pracują związkowo, i w ten sposób wpływać na ich politykę. A ci przekonają innych, że droga partii jest słuszna. Bo tę słuszność potwierdza życie, obywatelu prezesie.

— Pewnie, pewnie, pewnie — zgodził się pan Stasinek.

Wdrapali się na wyżkę, obejrzelili pole obstrzału, położyli strzelby na parapecie i zapalili papierosy, aby odegnać komary.

Delegat mówił dalej:

— Jeszcze w związkach dużo gnoju trzeba uprzątnąć. Reformizm, klerykalizm, zaślepienie. A przeróżne

kacyki! A całe gniazda dywersyjne! Oczy człowiekowi wyłażą ze zdumienia, jak się na to patrzy! I ręce świerbiają! A nieraz trzeba czekać. Ten ma wujka, ten ma stryjka, tamten przedwojenne zasługi. Bo przewrót majowy pomagał robić! Ej, żebyż prędzej zjednoczyć nasze partie robotnicze! Wtedy ruszy robota!

— Cóż my, działacze związkowi, będziemy mieli wtedy do roboty? — spytał nieco rozdrażniony pan Stasinek.

— A szkolić ludzi w codziennym realizowaniu zasad socjalizmu? Mobilizować masy do stałego podnoszenia produkcji i wydajności pracy? Planowo oszczędzać? Zaspokajać potrzeby mas? Poprawiać im byt i warunki pracy? Opiekować się poszczególnym człowiekiem, tym naszym największym kapitałem? Walczyć z wrogiem klasowym, z dywersją i sabotażem? Związki zawodowe, panie Stasinek, to wielka szkoła socjalizmu i tylko zahartowani działacze mogą się w niej ostać.

— Nam tu, na Ziemiach Odzyskanych, hartu nie brakło — rzekł półgębkiem pan Stasinek i ścisnął kurczowo ramię delegata. — Patrz pan, jak babcię Kocham, dziki! Strzelaj pan, strzelaj pan!

Delegat podniósł dubeltówkę, przycelował, nacisnął cyngiel. Echo strzału rozniosło się po lesie. Dziki zawróciły i pierzchnęły w las. I tyle ich było widać.

— Cholera jasna! — zaklął delegat. — Już go na muszce miałem. Fuzja do powietrza!

— Trzeba nam było wziąć drylingera — rzekł pan Stasinek. — Drylinger — dobra sztuka. Każdą zwierzyinę położy. I nie podrzuca jak koń nogą.

Zleźli z wyżki i ponuro poczłapali do folwarku. Pan Stasinek ciągnął uprzejmie konwersację:

— Ja myślę, że każdy działacz powinien po przejściu stażu na prowincji, w terenie, iść coraz wyżej, aż

do zarządu głównego. Przecież tu marnują się ludzie, którzy nie mogą rozwinąć się, bo gdzie? W B.? Czterech ludzi na krzyż, dwa folwarki w okolicy, poczta, dworzec i Urząd Bezpieczeństwa — i masz całe B.

Delegat zgodził się mrukliwie, że B. to dziura, ale nie konkretnego nie obiecał. Na oglądanie innych folwarków czasu im nie starczyło, gdyż samochód pana Stasinka się popsuł i szofer całą noc porał się z motorem. Powrócili do B. nad ranem, zmordowani i senni, prosto udali się do restauracji pana Olejnika, gdzie pan Stasinek zamówił gorące, dobrze zakrapiane śniadanko. Po czym zaszli jeszcze do sekretariatu i tam delegat zobaczył wreszcie tego wspaniałego drylingera, który filuternie wystawał z szafy.

— O, jaka ładna dubeltówka! — zawołał z zapalem i wziął strzelbę do ręki.

— To nie dubeltówka, szanowny towarzyszu, to dryling — odpowiedział fachowo pan Stasinek. — Dwie lufy na śrut, trzecia, ta w dole, na kulki. Nie tylko dzika, słońia tym ukatrupić można!

— Czemu nie oddacie tego do majątku? Administrator mówił, że dziki okropnie niszczą oziminy — spytał delegat.

— Administrator ma swoją fuzję, tylko, bestia, nie chce jej używać — zaśmiał się pan Stasinek.

— Ach, tak? To po co ten grat ma tu sterczeć?

— Chcecie, to go wam dam, niech stracę — i szczodrym gestem wsadził mu w łapę drylingera. — Ludzie mi znosili. Dobro za dobro.

— No, jeżeli tak — rzekł z wahaniem delegat.

— Jasne, że tak! — zawołał z pijacką wylewnością pan Stasinek.

Sekretarka podniosła na nich oczy znad maszyny i nic nie powiedziała. Niechby spróbowała. A szkoda, że nie spróbowała. Bo wtedy strzelba nie powędrowała-

by na biurko naczelnika Urzędu Bezpieczeństwa i delegat nie kiwałby głową: „Ależ wy aktyw związkowy macie, no, no. Czort w tym bałaganie się nie rozeznaj!“ „Przyjdzie czas, to się rozeznamy, nie martwcie się“ — odpowiedział naczelnik i wstawił drylingera do szafy. Pogadali, pogadali i rozeszli się, trochę zmartwieni.

Kiedy chcesz, żeby ciebie nie zauważyli, nie włącz na szczudła. Gdy pracujesz, ludzie patrzą ci na ręce. Ty też przecież patrzysz na ręce ludzi. Szpilki człowieku nie ukryjesz, a cóż dopiero swojego życia. Kontrola społeczna to tysiąc czujnych oczu. Najlepiej osądzą człowieka, byle tylko tysiąc ust chciało przemówić. Ale usta nie zawsze chcą mówić, czasem się boją, czasem się krzywią pogardliwie, czasem się lenią. Toteż w B. dziwiono się powszechnie, ale szeptem, skąd pan Stasinek bierze forszę na utrzymanie takiej drogiej kobiety jak Dorotka. Obliczano, że samo siedzenie u fryzjera pochłania miesięcznie kilkanaście tysięcy złotych, a pielęgnacja twarzy, a masaże, a prześliczne stroje, a mieszkanie, a wyjazdy do Krynicy i Zakopanego, nie mówiąc już o jedzeniu — toż to trzeba mieć porządny sklep, aby wydatki opędzić, a nie być płatnym urzędnikiem, choćby nawet i prezesem. Ale wiadomo, jak to inteligenci. Pogadają po kątach, poszepczą, pośmieją się, poplotkują, żony trochę pozazdroszczą, a w oczy się przymilają i na zebraniach nabierają wody w usta. Lubią mówić, ale przy wódce. Dawniej gadali przy brydzu. A zebrania związkowe czy partyjne — to zło konieczne, nudna, wyczerpująca nasiadówka. Zadymiona sala, półanalfabeci, którzy żadnego języka nie znają, a gadają o demokracji ludowej, jakby uniwersum skończyli. Mimo to jednak nienawiść do pani Doroty wzbierała wśród inteligentów w B. po kryjomu jak wrzód. Zaciskano zęby, kiedy wyniosła i „zimna jak lód“ pokazywała się w ma-

jątkach, zabierała pana Stasinka z biura na wycieczkę po województwie, bo była ciekawa rozmaitych rzeczy. Oglądała, wypytywała, uczyła się, przygotowywała do przyszłej roli protektorki i filantropki, która — jako żona posła — będzie kiedyś jeździła po biednych wsiach swego okręgu, rozmawiała z gospodyniami wiejskimi, ocierała brudne buziaki dzieciom, rozdawała dziewczynom cukierki i kiwała dłonią z odjeżdżającego auta zebranych na podwórzu chłopcom. Coś z tych plotek musiało docierać do pana Stasinka, gdyż nalegał, aby prędzej przeprowadziła rozwód.

Cóż, kiedy sama pani Dorota była jakby niezdecydowana. Lubiła, raz się sprzedawszy, jeszcze się trochę pocenić. „I diabeł tej kobiety nie zrozumie — myślał czasem zrozpaczony pan Stasinek. — A jednak śpi ze mną“ — pocieszał się i cierpliwie zarabiał na wyższe stanowisko.

Tak czy owak, wojewódzkie miasto B. pełne było plotek o panu Stasinku. Pan Stasinek troszkę się złościł, ale w gruncie rzeczy je lekceważył. Miał napięte rozmowy z Warszawą, przeprowadzał duże kombinacje handlowe dla związku, gadał i z sekretarzem partii, i z naczelnikiem, i z prokuratorem przy kieliszku. O przyszłość się nie troszczył, zebranie podszykował, klepał znajomych po ramieniu. No i na co mu się to przydało? Na nic. Bo na walnym zebraniu pan Stasinek dowiedział się ze zdumieniem, że w miasteczku o wiele więcej wiedzą o nim, niż mógł on przypuszczać. Tak, tak, jeżeli chcesz, żeby ciebie nie zauważyli, nie pchaj się na szczydła.

Z Ł A Ż Z E S Z C Z U D E Ł

Walne zebranie związku zawodowego samorządowców województwa B. odbyło się, jak wiemy, w lipcu. Od

wiosny pan Stasinek siedział w biurze, porządkował papiery, przeprowadzał transakcje, urabiał ludzi i coraz to wyskakiwał na kilka dni do Warszawy, gdzie chodził od zarządu głównego do Dorotki i z powrotem. Dorotka była mu chętna, zarząd o wiele mniej — i wyjazd do stolicy na wyższe stanowisko stanowczo się odwlekał. Wobec tego pan Stasinek zaczął przemyśliwać o ponownym wyborze swym na prezesa związku. Lepiej mieć związek w garści niż kanarka w Warszawie.

Stołówkę związku ozdobiono na ten dzień portretami dostojników państwowych, hasłami z wyciętych liter, powieszono na ścianie gazetkę Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, wymyto podłogę i ławki. Na scenie, która mogła służyć zespołowi artystycznemu, ale nie służyła, bo takowego nie było, ustawiono parę krzesełek i wielki, nakryty obrusem stół. Pod wieczór zaczęli zbierać się delegaci i zwolna rozsiadali się w ławach. Kiedy sala się zapełniła, zaświecono wszystkie lampy i pan Stasinek w otoczeniu zarządu wszedł na scenę.

Po zwykłych formalnościach odczytał krótkie sprawozdanie zarządu i skomentował je własnym, ognistym przemówieniem, mniej więcej takim:

— Związek nasz jest najlepiej zorganizowany w całym B. Jako pierwsza organizacja społeczna po wojnie, na tych odzyskanych dla macierzy polskiej ziemiach, była załączkiem władzy ludowej. Uczyniła z nas jedną wspólną rodzinę. W niej wszyscy są sobie braćmi i siostrami. W niej — jeden za wszystkich i wszyscy za jednego. Ona pomagała każdemu, kto się do niej zwrócił. Pewnie, nie zawsze może umiejętnie gospodarzyła, ale przecież człowiek wyrabia się w robocie, w konkretnej działalności, i nie ma się co wstydzić błędów. Ale nawiązaliśmy piękne współzycie z autochtonami i pozyskaliśmy wielu ludzi dla ojczyzny. Z Warszawy przyjeżdżali i podziwiali nas, mówili, że takiego związku

jak nasz nie ma w całej Polsce zachodniej. Nie byłoby to możliwe bez obywatelskiego stosunku do pracy związkowej całego zarządu, któremu na tym miejscu, jako jego prezes, wyrażam podziękowanie za pomoc i lojalność.

— Pewnie, że pomagał! — krzyknął młody robotnik z elektrowni, który przyszedł na zebranie, jak to się mówi, z ciekawości. Roześmiał się bezczelnie.

— A folwarki dawały dochód? — zapytał rzeczowo inspektor terenowy Rady Narodowej.

— Folwarki przejeśliśmy w stanie zdewastowanym — odrzekł godnie pan Stasinek. — Bez maszyn, bez ludzi, bez bydła. W dworach nie było mebli. Jak przyjechali ludzie, to nie mieli na czym spać.

— Boście meble pokradli! — krzyknięto z sali. Zrobił się gwar, padły jakieś pytania, ale na dzwonek wszyscy umilkli.

— Zabudowania gospodarcze były popalone — ciągnął pan Stasinek. — Mamy dopiero trzy lata po wojnie. Sprowadziliśmy trochę bydła i koni.

— Które sprzedaliście po kryjomu! — krzyknął fornal z Pokrzywek.

— Które spaliły się podczas pożaru, obywatelu, boście nie pilnowali majątku — powiedział spokojnie pan Stasinek, ale szczeka zaczynała mu latać. Opierał się o stół rękoma, które wyłaziły z przykrótkich rękawów cajkowej marynarki, poprawił sobie krawat i wyprostował się. — Wyremontowaliśmy jako tako pewną ilość maszyn i prowadziliśmy jak najoszczędniej gospodarkę. Czego jeszcze chcecie? — zapytał gburowato.

— Można było mniej jeździć po Krynicy, a więcej siedzieć na tyłku w B., to byłoby jeszcze oszczędniej — odpowiedział zapytany i sala wybuchnęła śmiechem. Pan Stasinek pobladł, zrozumiał, że stoi na oślizgłej kładce. Ale odparł mocnym głosem:

— Jak obywatel będzie na moim stanowisku, to będzie się rządził po swojemu; na razie ja odpowiadam za całość roboty. Nieraz trzeba i do Krynicy jechać na konferencję z kimś ważnym. Ot co.

Nastrój pozytywny wrócił na chwilę i zebrani uspokoiili się. Nie wszyscy rozumieli, o co gra się toczy, ale podniecenie sąsiadów im się nie udzielało. Pan Stasinek też jeszcze nie pojmował. „Jeżeli co mają przeciw mnie, to czemu wywlekają dopiero na zebraniu? — myślał siedząc z opartą na dłoni głową. — Przecie mogli o wiele wcześniej zadziałać. Ale widocznie nic nie mają i macają po ciemku. Tylko kto jest ten wróg? Do koni nawet UB się nie czepiało. Spaliły się razem z krowami, trudno, nasza strata. Trzeba było pilnować.“ — Tak głowił się pan Stasinek, a przewodniczący zebrania otworzył dyskusję nad sprawozdaniem zarządu. Pierwszy podniósł się sekretarz zarządu, pracownik Rady Miejskiej. Podszedł do stołu, zdjął rogowe okulary, machinalnie przetarł je palcami i powiedział:

— Ja, obywatele, będę mówił prosto. Przez dwa lata nasz zarząd nie wiem, czy odbył ze trzy zebrania. Raz się ukonstytuował, potem długo, długo nic, potem raz zatwierdził sprawozdanie prezesa (to było w tamtym roku), potem znowu ten zarząd wybrali, znowu się ukonstytuował, a potem — to już nie mieliśmy żadnych zebrań, aż do dzisiaj. Wszystko szło na gębę, bez protokołu i pieczętki. Faktycznie urzędowało się albo u Olejnika, albo na korytarzu. Prezes latał i mówił: „Wiecie co, podpiszcie ten papierek, bo trzeba wysłać do centrali“, albo: „Wyjeżdżam do Warszawy na trzy tygodnie, zastąpcie mnie w robocie“, a w czym zastąpić, jak nikt nie wie, co się robi, ile pieniędzy wychodzi i gdzie? Każdy z członków zajął się swoim odcinceczkiem pracy, a całość — niech pan prezes decyduje. Aby do wiosny. A od wiosny do jesieni. I żeby się tylko nikt

nas nie czepiał. No i doczekaliśmy się. Czegośmy się doczekali, obywatele? Niedbalstwa, obywatele, marnotrawstwa, obywatele. I jeszcze gorzej. Sabotażu doczekaliśmy się. Dopiero teraz wychodzi na jaw to i owo. Każdy z nas coś widział, każdy coś słyszał, ale ręką machał.

Mówiło się: gdzie drzewo rąbią, tam wióry lecą. Ale się nie patrzyło, do czyjej kieszeni te wióry lecą. A to jakiś tłuszcz, bagatelka, sto kilo; a to parę tysiączków dla przyjaciela, który się rozwodzi, a to rachunczki za wyjazd przez trzy lata nie sprawdzane, a to podpalenie zabudowań w Pokrzywkach, niby przypadek, ale jakiś dziwny.

A te konie? Ludzie tyle mówią, że mi się w głowie kręci. Mówią, że administrator część koni sprzedał, część się spaliła. Mówią jeszcze więcej, a co to znaczy, że mówią? Znaczy to, że nie działaliśmy dobrze, że wpuściliśmy między siebie wrogów i dywersantów. Albo to, że majątki nie przynoszą dochodu. I trzeba jeszcze dokładać z zasiłków państwowych. Przecie państwo ludowe dało nam tę ziemię, żeby nam było lżej, żebyśmy mogli przetrzymać te głodne lata, a nie, żebyśmy wciąż wyciągali rękę jak żebraki. Masz, a nie umiesz gospodarzyć.

Marnujesz dobro społeczne. Znaczy — szkodzisz narodowi. Bo kto ma nam dać? Ten polski górnik, co pod ziemią siedzi? Ten polski hutnik, co robi mosty dla Warszawy? A może nam mają dać buraków i kartofli ci, co lepiej gospodarują? Ja, obywatele, uważam jedno: nasz zarząd nie umiał pracować, nie dopatrył gospodarki i trzeba go wyrzucić won — albo i jeszcze gorzej. A ci, co chcą pracować, powinni pracować; na pewno potrafią. Ja nie zabieram głosu, obywatele, dlatego że jestem niewinny; tak samo nie umiałem robić jak inni. Ale mnie się wydaje, że już dosyć tego.

Pan Stasinek zerwał się z miejsca i zawołał:

— Tak nie można, panie kolego! Trzeba było składać zażalenia na zarządzie, a nie uprawiać demagogię na zebraniu. Pewno, żeście nic nie robili. To każdy wie. Pewno, że nie będziecie w nowym zarządzie.

Uderzył pięścią w stół i usiadł z trzaskiem.

Ludzie zaczęli głośno krzyczeć i wołać, zrobił się prawdziwy tumult. Przez gęsty dym papierosów nic nie można było zobaczyć, ludzie wstawali z miejsc, machali rękoma, wspinali się na ławki, przewodniczący dzwonił wytrwale dzwonkiem, a znad głów prezydium spoglądał na salę mądry, uśmiechnięty jakby z ironią — Wielki Lenin.

Wreszcie uciszono salę i głos zabrała urzędniczka z biura pana Stasinka.

— Ja mam tylko jedno zapytanie do zarządu: przepisując sprawozdanie inwentarzowe zauważyłam, że nie ma w nim mowy o drylingerze, który pan Stasinek dał jednemu panu z Warszawy, delegatowi, czy jak mu tam. Przecież drylinger był przeznaczony na dziki? Więc proszę zarząd o wyjaśnienie.

Kierownik stołówki:

— Czemu nigdy nie otrzymywałem rachunków z interesów, które zarząd związku prowadził w imieniu stołówki z restauratorem kolejowym? Zawsze dostawałem polecenie przez telefon, to dobra metoda, bo papierki nie zostają. Ileśmy wydali przez ten czas, to nikt nie zliczy. Ja myślę, że koło stu kilo tłuszczu, kilkadziesiąt kilo kawy i parę kilo herbaty, a mąki, a mięsa, a kartofli. A paczki. Niby na pokrycie wydatków reprezentacyjnych. Pan prezes mówił: „Człowieku, nie wtrącaj się do nie swoich spraw, pilnuj nosa, żeby ci nie odpadł.“

I gdzie miałem pójść, i komu powiedzieć? Bałem się

i tyle. Ale myślę, że teraz nie ma się co bać. Minęły czasy, kiedy każdy rządził, jak chciał.

Fornal z folwarku Pokrzywki, członek partii:

— Myśmy, obywatele, nieraz już mówili, że z tym zarządem trzeba raz zrobić porządek. Ale partia ma cierpliwość: a nuż człowiek raz pobłądził, zalazł jak krowa w szkodę, a potem oprzytomniał? Ale, widać, tuśmy za długo patrzyli. Wina największa towarzyszy, którzy siedzieli w zarządzie i dawali się trzymać za nos. Pan Stasinek założył im kółka w nos i wodził ich jak byków naokoło swoich spraw. Nie przeszkadzajcie, obywatelu Stasinek, teraz ja mówię. Wyście już dosyć gadałi. Więc: doprowadziliśmy majątki do użytku, uprawialiśmy, dawały przecie niektóre jakie takie pieniądze. Gdzie są one? Gdzie one są? Gdzie są kwity i rachunki? W kieszeni u pana Stasinka. Pan Stasinek chce, żebyśmy go znowu wybrali na prezesa, chce nam prezesować, reprezentować nas, zarządzać nami. Reprezentować w Zakopanem to on potrafi, ale czy był on kiedy na roli i wie, jak wygląda nasza robota? Bywało, przyjedzie samochodem z kobietą, połazi po pustym pałacu, zajdzie do stajni, konia pogłaszcze, papierosem stajennego poczęstuje, a potem obiadek i albo do łóżeczka, albo w samochód i dalej, na drugi koniec szosy, do drugiego majątku, na kolację. Kobicie to się musi podobać, ale nam mniej. Skończyłem.

Członkowie zarządu siedzieli z pochylonymi głowami, za stołem zasłanym czyściutkim obrusem, i bali się spojrzeć na salę. Pan Stasinek, okazuje się, rządził jak chciał, a oni nic nie mówili przez cały boży rok. Ładna historia.

Kiedy listę mówców wyczerpano (a było ich sporo), przewodniczący zebrania, były skarbnik pana Stasinka, zaproponował polubowne załatwienie sprawy: ponieważ wiadome było, że pan Stasinek odejdzie wkrótce na

wyższe stanowisko do Warszawy, proponuje się uchwalenie absolutorium ustępującemu zarządowi i przystąpienie do wyborów, przy czym na prezesa o n, przewodniczący, pozwoli sobie zaproponować... I podał nazwisko dotychczasowego wiceprezesa związku, który ponuro bębnił palcami po stole.

Może by i wniosek przeszedł, bo ludzie byli pomęczeni i nie mieli jeszcze wprawy w walce przeciw klice, ale ze szkodą dla pana Stasinka wniosкови przeciwstawiła się komisja rewizyjna, z którą jeszcze niedawno pan Stasinek popijał u Olejnika. Ale komisja komisją, i swoje chciała zrobić. Sekretarka nie mogła jej wydać ksiąg, ponieważ pan prezes był w Warszawie. Proponuje się więc ze względów formalnych zebranie w nowym terminie, mianowicie za miesiąc. Przez ten czas komisja rozpatrzy również zarzuty postawione prezesowi związku przez walne zgromadzenie. Wniosek po burzliwej dyskusji przyjęto i zebranie zamknięto. Było już po północy.

— Ciężki miesiąc czeka pana, panie prezesie — powiedział przewodniczący, kiedy schodzili nareszcie z estrady. — Dużo roboty buchalteryjnej. W samo najpiękniejsze lato. Ale niech pan choć wszystko doprowadzi do porządku. Bo skóra na człowieku cierpnie, jak się słucha, co ci ludzie wygadują.

Pan Stasinek ocierał pot z czoła i z trudem przepychał się przez milczący tłum.

— Śmierć frajerom! — zawołał wesoło. — Da się radę. Gorzej było przed laty, kiedy człowiek musiał sam wszystko robić. Pamiętacie, jak siedzieliśmy tu we dwóch i robiliśmy Polskę? Teraz niech się ludzie nauczą, że także trzeba głową pokręcić: skończyły się dobre czasy. — Pan Stasinek poszedł dalej, na państwową robotę.

W drzwiach stołówki zastąpił im drogę prokurator Zabiega.

— Przysłuchiwałem się dzisiejszej dyskusji — powiedział przyjaźnie, skubiąc wąsika, który mu się wysypywał nad wargą i dodawał wiele powagi. — Rusza się naród, wypowiada swoje zdanie, nie boi się. Dojrzewa do rządzenia.

— Zazdroszczą człowiekowi — odparł krótko pan Stasinek. — Do gadania to ich wielu, ale do roboty nikogo. Sam człowieku myśl za wszystkich, jakby to nie ludzie, a nieprzymierzając — krowy. Nic dziwnego, że czasem człowiekowi noga się powinie. Zapomni czegoś, nie wypisze asygnaty, zgubi kwit. I wtedy wszyscy nagle mądrzy. Huzia, bij, zabij. No nie?

— No tak — odpowiedział w zamyśleniu prokurator Zabiega i popatrzył na pana Stasinka zmrużonymi oczyma. — Wie pan co, panie Stasinek? Są tam jakieś niedokładności w związku? Zaniedbanie gospodarki, sabotażyk, wyjazdy i przyjazdy nie wiadomo z kim, handelki? I te brzydkie konie, aj, aj, aj! Cóż to znowu za historia?

— Żadna historia. Ludzie dużo lubią mówić — prychnął pan Stasinek. — Konie nie są najważniejsze. Były chore i tak. No, prokuratorze, czas nam iść spać, bo człowiek się narobił jak w tartaku. Tęsknię do swego łóżeczka.

— Boję się, że będzie pan dzisiaj niewygodnie spał — powiedział prokurator nie ruszając się spod drzwi. Pan Stasinek spojrział na niego i zrozumiał. Pokręcił niecierpliwie głową, jakby go uwierał przyciasny kolnierzyk, wsunął ręce do kieszeni cajgowej marynarki i zagryzł wargi. Chwilę się namyślał, wreszcie przełknął ślinę i uśmiechnął się swym serdecznym, szczerym, ujmującym uśmiechem: „śmierć frajerom“.

— Co to, to nie. Ja łóżko mam wygodne.

— E, panie Stasinek, po co te komedie? — spytał ubawiony prokurator. — Będę musiał zatrzymać pana.

Trzeba wszystko wyjaśnić, od Adama i Ewy. Wszyscyśmy strasznie ciekawi.

Pan Stasinek spoważniał, odstąpił krok w tył i wyjął rękę z kieszeni.

— Jestem aresztowany? — zapytał z pogroźką w głosie. — Czy pan wie, co pan robi?

— Nie pierwszy raz i nie ostatni — powiedział z westchnieniem prokurator i kiwnął dłonią na milicjanta.

SMIERĆ FRAJEROM

Jeszcze cięgdalszy

Kiedy przyjechałem do B. na proces pana Stasinka, miasto tonęło w śniegu. Rozłożone na łagodnych wzgórzach, mieniące się w słońcu czerwonymi dachami, jaśniejące strzelistymi topolami, na których skrzyły się białe czapy szronu, miasteczko było ciche i spokojne, jakby już zapomniało o sabotażyście. Któż by tam o nim pamiętał. Nawet miejscowy dziennik podawał tylko krótką wzmiankę z procesu. Koło dworca brodziły poważnie wrony między sankami dorożkarzy. Wsiadłem; dorożkarz trzasnął batem, koń parsknął, dzwoneczki zadźwięczały cieniutko, wrony uleciały z krzykiem — i pojechaliśmy do sądu.

Sąd okręgowy mieścił się przy rynku. Przejechać nie można było: odbywał się cotygodniowy jarmark, tym wrzaskliwszy, że przedświąteczny. Zapobiegliwe gospodynie robiły zapasy, choć dopiero połowa listopada; ładowały w koszyki cebulę, grzyby suszone, mak, mąkę. Popatrzyłem chwilę na tłuste króliki i zające, zwisające z drabiniastych wozów, na wielkie gary śmietany i bańki mleka, na kramiki z obuwiem, wstążkami, lampkami naftowymi i dewocjonaliami, zapłaciłem wą-

satemu doróżkarzowi i wbiegłem na pięterko, gdzie urzędował sąd. Przepchałem się energicznie przez tłumek, który wałęsał się po korytarzu, wpisałem się do księgi i stwierdziwszy, że nie świadczę w sprawie pana Stasinka, wsunąłem się na salę rozpraw i przykucnąłem na skrawku ławy. Rozejrzałem się: w sali było duszno i ciemnawo. Stłoczeni w ławach widzowie palili bez przerwy i dym snuł się po izbie. Byli to chłopci z majątków i pracownicy ze związku, którzy przyjechali specjalnie na rozprawę. Tak zdobywali uświadomienie klasowe i poznawali władzę ludu.

Pod przeciwległą ścianą ogromnej sali, urządzonej z dwu pokojów, między którymi wyjęto przegrodę, stał stół sędziowski, z boku przystawiono stolik prokuratora, pod oknem zaś znajdowała się ława oskarżonych. Pan Stasinek stał wyprostowany w ławce, był nieogolony i wychudły i nie miał już wyglądu „śmierć frajerom“, który mu przez tyle lat zdobywał zaufanie i sympatię. W wymiętej cajgowej marynarczynie, przestraszony i zmieszany, wyglądał na tuzinkowego urzędniczka, który ukradł z kasy pięćset złotych, aby się „zabawić“, i teraz bardzo tego żałuje. Przed ławą oskarżonego siedział siwy, jowialnie uśmiechnięty pan w złotych okularach, przeglądał mechanicznie papiery i z wielką wprawą operował ołówkiem.

Adwokat warszawski! Niejednemu już potrafił zmniejszyć wyrok, a nawet, jak mówiono, tego i owego umiał wyciągnąć sprzed kratki. Legenda wyolbrzymiała fakty na zgubę spekulantom i sabotażystom. Obok oskarżonego stał cierpliwie milicjant z rękoma założonymi na plecy i z paskiem służbowo wciśniętym pod brodę. Kolegium sędziowskie tworzyli: przewodniczący ozdobiony złotym łańcuchem, łysy starzec o dobrotliwym spojrzeniu człowieka, który już niejedno widział, działacz ze związku zawodowego, robotnik z gazowni

miejskiej, ponury i zacięty, oraz robotnica z tartaku, przodownica pracy.

Oskarżenie wnosił prokurator Zabiega, zapracowany i chudy jak głodna czapla.

Przewodniczący (przeciągając z wileńska): Więc oskarżony sprzedał te czternaście koni bez licytacji, po kryjomu?

Pan Stasinek: Proszę wysokiego sądu, bez.

Przewodniczący: To bardzo niedobrze, oskarżony, to bardzo niedobrze. A do kasy oskarżony żadnych pieniędzy nie włożył za te konie? Czy może włożył?

Pan Stasinek: Proszę wysokiego sądu, mnie związek zawodowy był winien pewne sumy. Warszawa obiecała mi pożyczkę na ożenek i ja dlatego... Za te konie.

Przewodniczący: Znaczy się, nie włożył. Czy oskarżony wie, jak to się nazywa, gdy ktoś nie ma prawa zabierać społecznej własności, a zabiera?

Pan Stasinek: Proszę wysokiego sądu, ja nie wiem.

Prokurator: W związku z tymi końmi. Oskarżony przyjmował w Pokrzywkach panów z poselstwa?

Pan Stasinek: Proszę wysokiego sądu, nie.

Prokurator: A kto to przyjechał w tym samochodzie, co miał numer owinięty szmatą?

Pan Stasinek: Proszę wysokiego sądu, ja nie wiem.

Prokurator: A jak się oskarżonemu zdaje? Skoro w dwa tygodnie później wybuchł w Pokrzywkach pożar?

Nagle uczułem, że dłoń moją chwyciła kurczowo kobieta ręka. To pani Dorota, która siedziała za mną, denerwowała się okropnie.

— Czemu on męczy tego człowieka? — szepnęła

z oburzeniem, gryząc nerwowo chusteczkę. — Przecież on naprawdę nie wie. Sam powiedział.

Za plecami pana Stasinka widać było przeczyste niebo, konary rozłożystego klonu, na którym wisały kłose śniegu, a dalej — na obszernym placu, stały chłopskie biedki. Z końskich pysków, zanurzonych w workach z owsem, buchała mleczna para.

— Sabotaż. Jasne jak na dłoni. Łotr — i jeszcze się wypiera — mruknął fornał z Pokrzywek. Siedział koło mnie, trzymając córeczkę na kolanach.

Pani Dorota żachnęła się, urażona.

— Pan Stasinek mówi prawdę. Nigdy nie kradł — zasyczała szeptem. — Zawsze robił tylko dobrze dla ludzi.

— Tak, szanowna pani dobrodziejko? — mruknął fornał. — A to, widzi pani, to też pan Stasinek.

Podetkał jej pod nos drobne rączyny dziecka, na których widniały świeże ślady zaleczonego świerzbu.

— Gdzie podział pieniądze za te lekarstwa?

Pani Dorota odwróciła się i przytknęła batystową chusteczkę do oczu. Wyszedłem z sali z bólem głowy i powlokłem się na miasto. W B. spotyka się znajomych na każdym kroku; każdy dorzucał swoje uwagi do sprawy w sądzie doraźnym. Jedni gadali o koniach, drudzy o mieszkaniu pana Stasinka, w którym, ku zdumieniu przybyłych, odkryto na parterze małą fontannę w salonie (podobno pierwszy wojewoda kazał sobie założyć — też siedzi); inni o kontaktach jego z podejrzanymi typami. Wszyscy udawali, że od lat o wszystkim wiedzieli, tylko nie chcieli mówić. Zwyczajnie, jak inteligenci. Zmęczyło mnie to gadanie, które raczej nadawało się do opowiadania niż do reportażu, i poszedłem do towarzyszkii Józefkowej, do KW. Przyjęła mnie od razu i jej prosta, młoda jeszcze twarz rozpromieniła

się serdecznym uśmiechem. Machnęła ręką na całą sprawę.

— Wybieramy sabotażystów jak gąsienice z kapusty — powiedziała. — Ale przecie nie o to chodzi, żeśmy jeszcze jednego złapali. Rozumiecie, ludzie uczą się rządzić. Słyszeliście o tym walnym zebraniu z lipca? Nie bardzo się udało. Mało aktywistów zabierało głos, nie umieli trafić w sedno sprawy, pokazać klasowego oblicza działalności pana Stasinka. Dopiero kiedy wkracza partia i państwo, ludzie się ośmielają. Ale jedźcie dziś po folwarkach, przyjrzyjcie się akcji oczyszczania szeregów partyjnych. Jak nasi partyjnicy zmańdrzeli. Jak stali się czujni. I robota, towarzyszu, idzie.

— Sąd nie wszystko wyjaśni — mówiła dalej Józefkova. — Są rzeczy, których trzeba dotykać delikatnie, jak pajęczyny, żeby pajaków nie spłoszyć. Ale i to, o czym się mówi na rozprawie, jest dobrą szkołą.

— Warto by o tym napisać jaki reportażyk — rzuciłem mimochodem.

— Poczekajcie jeszcze z pół roku, wtedy napiszecie o Pokrzywkach.

— Planujecie coś urządzić w tych ruinach?

— Stację maszynową. A we wsi — pierwszą spółdzielnię produkcyjną w województwie. Tak, tak zaczynamy.

Roześmiała się z triumfem i potrząsnęła mi rękę na pożegnanie:

— Tylko koniecznie przyjedźcie.

Robił się już zmierzch, kiedy powróciłem na salę. Była rześście oświetlona. Chłopi siedzieli w ławkach, przewodniczący uśmiechał się wyrozumiale, ale ze znużeniem, ławnicy mieli twarze ostre i zacięte. Przemawiał prokurator. Wyłożywszy prawniczy punkt widzenia naświetlił, jak to się mówi, sylwetkę oskarżonego. Nie potrafiłbym oddać żaru jego wymowy ani opisać

pasji gestu. Słowem — dobrze mówił, a treść jego wywodów była mniej więcej taka:

— Oskarżony był działaczem związkowym. Politykiem. Wiedział dobrze, jakie ciążą na nim obowiązki. Zaufał mu lud, zawierzyło państwo. Pan Stasinek tłumaczył się, że w okresie organizowania państwowości praca jego nie była uregulowana regulaminami i że musiał nieraz decydować sam. To słuszne i piękne, i odpowiedzialne. Ale kiedy inni zapracowywali się na śmierć, żeby ruszył transport i przemysł, żeby dać ludziom chleba i mięsa, maszyn i ubrań, pan Stasinek czerpał chciwą łapą z kasy związku zawodowego. Zasmakowało; założył gniazdko kumoterskie w miasteczku, groził ludziom, że powyrzuca, powsadza, nauczy. Bali się go, patrzyli w milczeniu, jak rozkrada mienie państwowe. I dopiero gdy ci ludzie dojrżeli, gdy przestały im imponować i przerażać światowe maniery pana prezesa i gdy trzeźwym, gospodarskim okiem spojrzeli na jego działalność, wtedy oskarżony wyciąga kumów w B. i w Warszawie, rzuca się jak szczupak na haczyku, wyciąga swoje stosunki, przedkłada dokumenty, z których wynika, że ułatwił temu czy innemu biurokracie polować na jego obszarach leśnych. Na jego! A gdzie podziały się pieniądze? Przejedzone, przehułane po Krynicach i miłych wycieczkach w samochodziku. Pieniądze zasmakowały; potrzeba było wciąż więcej i więcej. Więc konszachciki z agentami, diabli wiedzą jakimi i gdzie, mały sabotażyk i jeszcze mniejsza kradzież. I tak w kółko.

Kiedy pan prezes wyjeżdżał samochodami służbowymi na delegacje, kiedy obwoził kochanki i z dostojnikami sanacyjnymi po restauracjach bruderszafty wypijał za pieniądze związkowe, myśmy, prokuratorzy i sędziowie Polski Ludowej, także jeździli na sesje w teren i dostawaliśmy do szczęściu złotych dziennie diet we-

dług stawek przedwojennych, dopóki rozporządzenie nie uregulowało tej sprawy. Kajzerki nie mogliśmy za te sześć złotych kupić. Lecz czy wyciągaliśmy łapę po mienie państwowe? Po krwawicę naszego ludowego, robotniczego, chłopskiego państwa? Kiedy pan prezes rozjeżdżał się po uzdrowiskach, w jego majątkach nawet maści na świerzb nie było. Czy widział on kiedy dzieci robotników rolnych? Zagrożone gruźlicą, niedożywione, zarażone świerzbem? To nie on zorganizował ekipy lekarskie. To nie z jego inicjatywy młodzi studenci medycyny pojechali na wieś. Mówię o tym, gdyż pan Stasinek strugał z siebie bohatera. Samotnika, który organizował tu Polskę.

— Nie chcę się domyślać — mówił dalej prokurator — na co oskarżony wydawał takie ogromne sumy pieniędzy. Przyjdzie czas na wszystko. Ale wychowany w gospodarce kapitalistycznej, całe życie marzący o zrobieniu kariery, nienawidzący państwa ludowego pan Stasinek myślał, że już przyszedł czas grabieży i samowoli. Zadaniem sądu będzie pokazać jemu podobnym, że czas ten bezpowrotnie minął.

Prokurator przerwał i popatrzył chwilę na oskarżonego. Potem spokojnie zakończył:

— Podtrzymując w całej rozciągłości akt oskarżenia, wnoszę o karę śmierci dla oskarżonego. — I usiadł. Zaraz podniósł się adwokat, który bardzo cichutko i bardzo zręcznie zbijał tezy prokuratora, dowodząc, że pan Stasinek — to ofiara nieporozumienia i poświęcenia, po czym rozprawę przerwano do jutra. Widzowie tłocząc się wyszli na korytarz. Pan Stasinek, bardzo blady, ale opromieniony aureolą śmierci, przeszedł między nimi z męczeńskim uśmiechem. Flegmatyczny milicjant wprowadził go do pokoju aresztantów na kolację od pani Doroty. Cichcem wsunęła się za nimi pani Dorota.

— Kochany Stasinek! Chciałam ci podać zapałki, po-

szłam do prokuratora, pokazuję pudełko, ale mnie jak z nóg ścięło, słowa nie mogłam wykrztusić — szczebiotała beztrosko. — A on, wyobraź sobie, popatrzył na mnie takimi złymi oczyma i mówi: „A jeszcze pani tu brakowało. Pani kto?“ — Uciekłam i nawet pudełka z zapalnikami zapomniałam.

Pan Stasinek usiadł i nie ruszając jedzenia palił w milczeniu papierosa.

Nagle oczy pani Doroty zapełniły się łzami.

— Stasinek, Stasinek, co to będzie? — zapytała żałośnie.

— Kobieto, nie wygłupiaj się — odpowiedział ostro pan Stasinek. Odrzucił ogarek i z rozkoszą wyciągnął się na ławce. — Rozmasuj mi nogi, zanim mnie odprowadzą. Spuchły mi po tylu dniach stania na tej ławie oskarżonych.

PAN STASINEK WSTĄPI DO PARTII

Tego wieczoru, obszedłszy jeszcze kilku znajomych w miasteczku, którzy mi barwnie zdawali relację ze sprawy i wskazywali na szczegóły mogące się przydać w reportażu, odwiedziłem panią Dorotę w hotelu, gdzie zatrzymała się wraz z siostrą. Podczas gdy pani Dorota przesiadywała na rozprawie, pani Ciepko korzystając z jarmarku kupiła sobie do Warszawy zajęcia i tłustą kurę. Śmiechu było przy kolacji co nie miara, gdyż kupno się udało. Pani Ciepko umiała oszwabić autochtonkę. Poza tym rozmawialiśmy o procesie.

— Nic się, Umiastowska, nie przejmuj — mówiła pani Ciepko zjadając sałatkę z pomidorów. — Póki Ciepko i spółka mają swoje chody, krzywda się nie stanie ani tobie, ani twojemu Stasinkowi. Nie takie sprawy

się załatwiało u Niemców, a to przecie nie Niemcy, nie hitlerowcy, a swoi.

Pani Dorota jadła bez apetytu, niemrawo grzebała widelcem w talerzu, ledwo umoczyła wargi w kieliszku starowinu. Właściciel knajpy patrzył na nią ze współczuciem i coraz to podsylał kelnera, czy czego nie trzeba.

— Gorszi niż hitlerowcy — powiedziała z żalem. — Żeby takiego zmartwienia człowiekowi narobić. Tyle się tu naharował, parę lat na prowincji przesiedział, organizował, biegał, nie jadł, nie spał — i co ma z tego? Powiedzą, że człowiek niedobry, i zaraz wszyscy na niego. I ten prokurator. To jakiś nienormalny typ. Jakim prawem mówił on o panu Stasinku jak o zbrodniarzu? Przecie gdyby mu dali czas, wszystko by w kasie wyrównał. Warszawa obiecała.

— A te konie? — mruknąłem, nabrałem szynki na talerz i z uwagą nakładałem chrzanu.

— No to co, konie? Albo to on jeden sprzedawał? Nie należało mu się? Inni jak robią? Nie tak samo? Wszyscy mu taką przyszłość rokowali i tyle sobie obiecywali po nim.

— Ehe — sapnąłem beznadziejnie i znowu nabrałem szynki.

— Stasinek i tak daleko zajędzie, ja ci mówię, ja, Ciepkowa — powiedziała z przekonaniem siostra. — Grunt to forsa, moja droga Umiastowska, a forsy u Ciepków nie braknie. Nie brakło za Niemców, nie zbraknie i za demokracji. Wyłoży się. Będziecie mieli, to oddacie. A nie, to nie. Niewielkie zmartwienie. Zarobi się nową. Bo co może być najgorszego?

— Śmierć — powiedziała pani Dorota i zapłakała nad swoją szynką.

— Nie gadaj głupstw — przerwała ostro pani Ciepko. — Co on może dostać? No, powiedzmy, sześć, dzie-

sieć lat. To się po roku złoży podanie do kancelarii prezydenta. Posmaruje się, gdzie potrzeba, obniżą, powiedzmy, do trzech, czterech lat. Będzie się zachowywał przyzwoicie, wypiszą mu dobre świadectwo, posmaruje się u dyrektora więzienia, obetną wyrok za dobre sprawowanie do dwu, trzech lat — i wyjdzie. I co za zmarwienie? U Ciepków w interesie zawsze się miejsce znajdzie dla człowieka ze stosunkami i zdolnościami Stasinka. Zresztą sama niejedno jeszcze masz.

Pani Dorota potrząsnęła w zadumie głową.

— Stasinek nie zechce pracować w inicjatywie prywatnej. To człowiek pracy społecznej. On innego życia nie znał poza swoim związkiem. On tak kochał swój związek. Tak się z nim zrosł. Niech mi pan powie, pan jest naszym znajomym, pan pisze, pan zna stosunki: czy Stasinek może wstąpić do partii, jak wyjdzie z więzienia?

— Na pewno — potwierdziła gorąco pani Ciepko. — Forsa zawsze robi, że wszystko jest dobrze.

S M I E R Ć F R A J E R O M

Z a k o ń c z e n i e

Niestety, prawie wszystko nie poszło dobrze: sąd doraźny skazał pana Stasinka na karę śmierci; z prawa łaski nie skorzystano; wyrok został wykonany. Po kilku miesiącach żałoby pani Dorota, która początkowo pracowała w sklepie z zabawkami pani Ciepko, wróciła jednak do swego męża, pana adwokata Umiastowskiego, i tak przynajmniej skończyła się pomyślnie chociaż jedna jej sprawa.

O D A U T O R A

A teraz, towarzyszu prokuratorze, dawajcie następną sprawę.

DYSPUTY KSIĘDZA DOBRODZIEJA

Szkic opowiadania *Dysputy księdza dobrodzieja*, osnutego na wypadkach wolebromskich, został znaleziony w papierach pośmiertnych Tadeusza Borowskiego.

Kiedy umilkły pienia kościelnego chóru, kiedy ksiądz wikariusz, dyrygent niezmordowany, pożegnał muzycznych parafian i powoli powlókł się na wikarówkę, do domu stojącego w ogrodzie przy kościele, kiedy już zapadło pogodne, jesienne, złote popołudnie i nad stawami miasteczka zaśniło czerwone słońce zachodu, kiedy przebrzmiały w kościele głębokie, uroczyste, pobożne tony organów, kiedy rozeszli się już śpiewacy cmoknąwszy księdza wikarego w rękaw sutanny — Obłupek, młodzieniec pobożny, o czarnych kręconych włosach i czerstwej jak krew z mlekiem cerze, odziany w zieloną, nieco przykrótką marynareczkę, opięty pod szyją wzorzystym krawatem zawiązanym na modłę małomiasteczkową, szurgając uroczyście butami zbiegł po schodach z chóru, nucąc pod nosem ostatnie strofki pobożnej pieśni o cudownym obrazie z kościółka, zaginionym przed wielu laty. Wypadłszy na ocieniony topolą podwórzec kościoła machnął się przez furtkę dzielącą plac od ogrodu księdza dziekana, zanurzył się między młode krzewy malin i rozległe jabłonie, obwieszzone ciężkimi, czerwonymi jabłkami. Przez chwilę wsłuchiwał się w brzęczenie pszczół, z rozkoszą wdychał przepiękne zapaszki, którymi igrał sad boży, wreszcie ominąwszy pasiekę wyszedł na ścieżeczkę przy altanie, w której sie-

dział już ksiądz dziekan — niemłody ale mądry, energiczny ojciec, opięty, choć było ciepło, w czarny sweter na sutannie z odsuniętymi nieco powyżej łokci rękawami — i czytał brewiarz. Obłupek podszedł do księdza, cmoknął go w rękaw i przedstawiając kolegę, kaprawego blondyna, wysokiego, o sennych jak u śniętej ryby oczach i zmysłowych ustach, powiedział z zapalem:

— Jeszcze kilka prób i jasełka nasze będą gotowe. Wydaje mi się, proszę księdza, że trzeba by dać więcej pieśni maryjnych, sławiących nasz cudowny, zaginiony obraz. To nieładnie, że na naszym głównym ołtarzu tkwi jakaś tam kopia obrazu, który znajduje się w Rumunii. Można by się starać przez władze, aby go nam zwrócili. Toż to byłaby uroczystość!

Ksiądz dziekan, o twarzy nieco wzdętej i zaspanej, widocznie z nocnego czuwania, zacmokał wargami w zadumie:

— Ale, mój Obłupku, i ty, i ja wiemy, że nasz rząd nie kwapi się teraz ze sprowadzaniem cudownych obrazów. Zresztą nasz wikariusz generalny uważa, że nie trzeba podejmować starań. Nieraz tęsknota ludzi więcej daje Panu Bogu, niż samo jej zniszczenie. Pan Bóg wie, co robi, wystawiając nas na próbę wytrzymałości. Módlmy się, mój Obłupku, a na pewno będzie nam dane przeżyć wielkie i radosne dni.

Pomilczeli chwilę. Siedzieli na ławeczce w altanie zasłoniętej z trzech stron świata przez żywopłot i bluszcz. Po ścianach altanki pięły się przekwitłe już róże zasadzone na sposób niemiecki girlandami nad altanką, dalej ciągnęły się zagony kartofli, wśród których pięły się poważnie jabłonie i grusze, wreszcie okalał grunta plebanijne przy kościele wysoki żywopłot, w którym misternie przepleciono drut kolczasty, aby swawolne łobuzy z miasteczka nie wdzierały się do sadu, nie wybiebrały ukradkiem plebanowego dobra i bożego błogosła-

wieństwa nie uszczuplały sługom bożym. Kościół wzniósł się na wzgórzu, nie opodal miasteczka, które złościło się w dolince, iskrzyło się blaszanym dachem poczty i starostwa, rady narodowej i szkoły, budynków czerwonych, okazałych, wystających ponad gontowe, biedne, zapuszczone dachy zwyczajnych domów ukrytych w opłotkach i ocienionych wysokimi topolami i orzechami. Kwitły tam piwonie w ogrodach, słyhać było porykiwania krów. Przez rynek miasteczka z turkotem przejechały biedki chłopskie, skręciły w jedną z czterech ulic pryncypalnych, nazwaną Kościuszkowską, na pamiątkę wjazdu Kościuszki do miasteczka w czasie insurekcji. Zamyślił się spoglądając na miasteczko, nad którym przy przeciwległym stoku wzgórza rozsiadł się wielki węzeł kolejowy, budowany ze względu na Nową Hutę. Powstawała nowa parowozownia i chodziły bagry we mgle. Niedługo miały ruszyć na tej linii pierwsze parowozy.

— Proszę księdza dziekana, ja mam do księdza jedno zapytanie — rzekł nieśmiało Oblupek i pocałował księdza dziekana w mankiet.

— Mów, Oblupku — rzekł ksiądz i popatrzył z przyjemnością na otwartą szczerą, miłą, młodzieńczą twarz chłopca, studenta ekonomii, a przecież nie zarozumiałego jak to dzisiejsza młodzież, oddanego — myślał sobie — sprawie bożej, wytrwałego chórzysty Pana Boga, skromnego, ufego i przystępującego często do spowiedzi.

— Proszę księdza dziekana, jak ksiądz się zapatruje na konspirację? — zapytał prosto z mostu Oblupek.

— Praktycznie?

— Najpierw teoretycznie, proszę księdza dziekana. Czy konspiracja sprzeciwia się etyce katolickiej? Czy też jest z nią zgodna? Bo można sobie wyobrazić, że ktoś wstępuje do podziemia i chce być dobrym katoli-

kiem, ale musi wykonywać rozkazy. Ksiądz rozumie przecież, że to może być powodem rozdźwięków, sprzeczności etycznych.

Ksiądz dziekan milczał przez chwilę. Oblupek patrzył na niego krowimi oczyma, jak dziecko patrzy na matkę, która rozlewa do kubka i zaraz da się mu napić ciepłego, słodkiego mleka prosto od krowy, którą przed chwilą pasło. Kolega Oblupka milczał rysując kijkiem na piasku kręte linie. Prawą rękę trzymał z przyzwyczajenia w kieszeni i rzucał spod jasnych, krzaczastych brwi surowe spojrzenia na okolicę, na jabłonie, na niebo czyste i pogodne, na czerwony kościółek i na grupę chłopców, która przystanąwszy przy bramie kościelnej wiodła rozmowy. Z dołu, z drogi, która pięła się wzgórzem i przechodziła koło kościoła, słychać było skrzywienie kół. Po drugiej stronie, gdzie rozciągał się park porosły stuletnimi dębami, jaśniał pośród drzew pałacyk, w którym teraz znajdowała przytułek świetlica PGR-u. Był to pałac pohrabiowski — hrabia uciekł zaraz po ofensywie styczniowej; obok pałacyku znajdowały się zabudowania gospodarskie PGR-u, widniały ogromne dziedzińce przed magazynami, stajniami, oborami. Był to wzorowy PGR, który hodował nierogaciznę i uprawiał wysokokwalifikowane ziarna; kierownikiem jego był nie fachowiec, lecz facet z sąsiedniego miasteczka, chłop z Białostockiego, przysłany przez PZPR. Młody kolega Oblupka przysłuchując się uczonej rozmowie myślał o facecie z PGR-u: „o wiele łatwiej, gdyby tyle nie gadali, łupnąć i tyle...”

— Mój drogi Oblupku — rzekł uroczyście ksiądz dziekan — widzicie, moi najmilsi, istnieje przecież piąte przykazanie, które nakazuje — nie zabijaj!

— Ale wroga przecież można zabijać, proszę księdza dziekana — odezwał się milczący kolega Oblupka rzu-

cając na księdza badawcze spojrzenie. Miał rozpięty kołnierzyk, widać było, że latem bardzo się opalił.

— Istnieje wróg aktualny i wróg potencjalny. Ale nie każdy wróg, uczy teologia katolicka, może nam zagrazać. Na przykład rekin jest naszym wrogiem, ale żyje daleko w morzach i nam nie zagraża. Czy znaczy to, że powinniśmy żyć pragnieniem zabicia rekina? Oczywiście — nie. Ale dopiero wtedy, gdy wróg znajduje się blisko nas, gdy zagraża naszemu życiu czy naszemu bezpieczeństwu, gdy jest, jak mówi nauka katolicka, agresorem — aktualnym bądź potencjalnym. Są to, mój Obłupku, sprawy bardzo zawile i nie na nasze głowy, i nie na ludzkie rozумы. Ale pokrótce można tę naukę przedstawić tak: wrogiem człowieka jest ten, kto jest wrogiem Boga. A więc szatan przede wszystkim. To on pociągnął człowieka na pokuszenie i oddalił go od miłości bożej, nakłonił go do grzechu śmiertelnego, pozbawił raju i wygnał na ziemię, wprowadzając śmierć i zepsucie w los człowieka. Kościół, który zastępuje Chrystusa na ziemi, ma również swoich wrogów. Są to ci wszyscy, którzy nie wierzą w Boga, nie wierzą w ziemską i nadziemską funkcję kościoła, lekceważą jego posłannictwo, którym się wydaje, że mogą budować szczęście człowieka bez udziału kościoła.

— Komuniści?

— Komuniści — rzekł dziekan.

— A więc można walczyć z komunistami? A weźmy takiego sekretarza tutejszej organizacji partyjnej na parowozowni. Ma żonę, żona będzie niedługo rodzić. A przecież to nieprzejednany wróg kościoła. Jakże nie zabić go, proszę księdza?

— Każdy człowiek postępuje zgodnie z nakazami swego sumienia i nie można mu nakazać postępować inaczej. Kościół, matka nasza, czuwa nad swoimi synami, nagradza walczących o sprawę Chrystusa na ziemi,

ale nie nakazuje nikomu, aby szedł i walczył. Bronią kościoła jest słowo boże i boże przykazania, mój Obłupku.

— Proszę księdza, dokonaliśmy napadu na spółdzielnię spożywcza w Jezówce — rzekł kolega Obłupka.

Ksiądz dziekan drgnął.

— Zabraliście stamtąd pół miliona złotych?

Kolega Obłupka kiwnął w milczeniu głową. Nie spiesząc się wyjaśnił:

— Oni chcieli wysiudać stamtąd sklep prywatny, nałożyli podatki, a myśmy nie mieli pieniędzy na organizację. Mamy wielkie kontakty z województwami w centralnej Polsce i na zachodzie. Trzeba na zakup broni, na pensje, a zresztą — z czego będziemy żyć? Spółdzielcze, komunistyczne, nie żal. I ludzie muszą wiedzieć, że działamy.

— Zagraża nam niebezpieczeństwo, proszę księdza dziekana — rzekł Obłupek. — Dobierają się do nas. A nasi chłopcy nie wiedzą, czy dobrze robią siedząc w organizacji. Niektórzy, jak otwarto budowę, chcą iść pracować, wymigują się od rozkazów, rozprężenie wdziera się do naszych szeregów.

Ksiądz dziekan zerwał się gwałtownie z plecionej ławeczki w altanie i zatupał nogami z wściekłością:

— Rozprężenie! Dam ja wam rozprężenie! Banda dzieciaków! Jak się nie weźmiecie w kupe, to w ogóle do mnie nie przychodźcie. Czy wam się wydaje, że będę gadał ze smarkaczami. Wynoście się!

— Ale księżę dziekanie, grozi nam naprawdę niebezpieczeństwo — rzekł z wyrzutem Obłupek. — Ten mały smarkacz za bardzo przestaje ze studentami.

— Walduś? — spytał pośpiesznie dziekan i spojrzał z ukosa na Obłupka.

— Walduś — radośnie pokiwał głową Obłupek.

Po czym zapadło milczenie.

— A kapral Jesionek? — zapytał dziekan. — Kręci się tu koło plebanii, a moi parafianie mówią, że się odgraża i żyć nie daje. Już mu przeszkadza garbunek skóry i chciałby wszystkie zwierzęta domowe przekazać państwu. Przeszkadza mu, jak katolik kiełbasę zjada.

— On też koło nas myszkuje — rzekł z westchnieniem Obłupek.

Ksiądz dziekan wstał z wyplatanej ławeczki i przeciągnął się. Słońce świeciło wprost przez uchylone drzwi do altanki, na ścianach leżały wielkie, soczyste plamy winorośli, jabłka czerwieniły się na jabłonkach, dalekie brzęczenie owadów i świergot ptaków mówiły, że piękny świat pachnie jesienią.

— Idźcie już, moi kochani — rzekł miękko dziekan. — Nie trzeba zbyt długo przebywać na plebanii. Pomodliliście się już, pogadaliście z księdzem o cudownym obrazie, urządzicie na pewno składkę na ten obraz chodząc po mieszkaniach, nie trzeba, żeby ludzie wiedzieli za dużo o waszym oddaniu sprawie bożej.

Miękką, białą, pulchną dłonią uczynił znak krzyża nad pochylonymi głowami młodzieńców, uśmiechnął się, co nie licowało z jego chmurnym, zawziętym obliczem, odprawił ich i usiadł znowu na ławeczce sięgając po brewiarz. Obaj chłopcy zeszli ścieżką przed kościół, zabrali rowery oparte o płot i wyjechali na drogę wiejską prowadzącą do miasteczka. Jadąc minęli auto nalożone studentami, którzy ze śpiewem wracali z pracy na polach PGR-u, pokiwali im ręką i skierowali się do miasteczka. Na rozwidleniu minęli kaprala Jesionka, który szedł sobie na piechotę ścieżką i pogwizdywał. Kościół i plebania nikły coraz bardziej wśród zieleniących się, pysznych drzew, topól, klonów i grusz, błyszczały z daleka czerwienią cegieł i złotym dachem jak feudalny zamek.

*

Wprowadzili rowery do sieni, ciemnej, niskiej, cuchnącej kurami, które rozmnażały się w sąsiednim kurniku, a przez cały dzień łążyły po obejściu i ganku dziobiąc rozsypane ziarna. Zapukali i weszli. Barczak leżał na łóżku i czytał książkę. Zamknęli drzwi i spytali:

— Gdzie Podsiadło? Dawaj go tutaj!

Barczak wstał, otworzył klapę w podłodze, wlaź do piwnicy i zaraz wyprowadził mrugającego ślepiami Podsiadłę. Był on nieco blady, niewyspany, przepity; wczoraj przeszedł dwadzieścia kilometrów w ciemną deszczową noc, po dokonaniu napadu w Jeźówce; popijali tego i zdrowo.

— Jak Walduś? — zapytał Obłupek.

— Nie ma go — odrzekł Podsiadło. — Matka się niepokoi.

— Pewnie znowu poszedł do studentów — rzekł Barczak. — Zęby mu powybijam.

— Nic mu nie powybijasz, bo chłopaka trzeba szanować. Trza go zamykać w domu, żeby sam nie chodził, bo nieszczęścia napyta.

Zamyślił się. Barczak wyciągnął z szafki chleb, nakrajał kielbasy, zaczęli jeść.

— Gadajta, chłopaki — rzekł Podsiadło napychając się chlebem.

Wysłuchawszy sprawozdania z rozmowy z księdzem powiedział:

— Trza się uaktywnić. To, co my zrobili do tej pory, to zero jest. Gajdos uważa, że śpiemy, i ma rację. Przeszkolenie macie, kontakty my nawiązali, chłopaki siedzą w terenie i oczy mają otwarte, ale ręce to trzymają na jajach. Dokąd się będziemy patrzeć? Aż nam pod nosem spółdzielnie pozakładają i chłopów pospędzają? Że na murach piszemy? Że ulotki czasem przychodzą? To betka, jak psu mucha. Tu, na powiecie, to my pany i to trzeba pokazać. Nasi trójkowi za mało inicjatywy wy-

kazują. Ty, Obłupek, mi nie przecz: śpiewać w chórze umiesz, za cudownym obrazem się uganiasz, to dobrze, ale trzeba za naszą robotę się brać. Skąd forszę weźmiem na przeżycie? Za duzo, bracie, ich aktywistów kręci się w terenie. Ja dzisiaj pomyślałem: rąbiem PGR, rąbiem „Rolnika“, rąbiem PCH, a potem jak się zdarzy. Idzie zima, pójdzie po zbiorach znowu agitacja za spółdzielniami, wiecie, chłop, jak ziemi ma mało. to co mu szkodzi spróbować. Trza trochę dupy przetrzepać ludziom.

Skończył, gdy weszła gospodyni. Postawiła przed chłopakami tłusty bigos i powiedziała wybuchając płaczem:

— Ja już dłużej nie mogę. Ten chłopak mnie z nóg zwali.

Podsiadło zerwał się z krzesła, posadził ją na ławie, zasunął firanki w oknie i powiedział:

— Chłopaki, kikować na ulicę.

— On mnie doprowadzi do zguby! Futro mi ukradł, co mi mąż nieboszczyk przyniósł za okupacji! Biżuterię ukradł! Całe dnie go w domu nie ma! Ja się boję! Ja się za wszystkich boję! Jesionek mówi, że nas wszystkich, jak tylko złapie, to wykończy! W sklepie słyszałam, jak się przechwala!

— Niech się pani Grabińska uspokoi — rzekł miękko i czule Podsiadło.

Był to blondyn o przylizanych włosach, chłopskiej, chytrej twarzy. Patrzył szeroko i bystrze niebieskimi oczkami na otoczenie, chadzał w bryczesach i miał buty zawsze lśniące. Był nieco blady, gdyż całe dnie siedział w piwnicy; poszukiwała go bowiem MO. „Spalił“ się podczas jednego napadu i wychodził na akcje tylko nocą, w bliskie okolice. Znali go mieszkańcy, bali się, bo zaraz strzelał z rewolweru, a miał ich przy sobie dwa, zgodnie ze sztuką dywersji.

— Zajmiemy się chłopakiem, a inni nam nie uciekną.

— No, to jedzcie — powiedziała spokojniej Grabińska. Postawiła przed nimi bigos, rozdzieliła go na talerze, wyciągnęła z szafki wódkę, nalała chłopcom do kieliszków.

— Hup, siup! Zdrowie pań po raz pierwszy! Bawić się i weselić.

Za czym zaczęli pić. Była niedziela. Pana Boga z rana pochwalili, po południu, jak wiadomo, człowiek powinien odpocząć.

— Ech! Pójść by tak teraz na miasteczko! — rzekł podchmielony Podsiadło.

*

Miasteczko rozciągało się w dolinie, którą z południa okrężał tor kolejowy. Z budowy, która leżała w pewnej odległości od miasteczka, prowadziła droga rozwidlająca się tuż przed miasteczkiem. Na skrzyżowaniu stała figura Matki Boskiej, ufundowana przez mieszkańców za przeżycie okupacji. W miasteczku figur takich było co niemiara — najbardziej wystawna i okazała była figura św. Floriana, który chronił i patronował budynkom straży pożarnej. Przed wojną było to typowe miasteczko nędzy galicyjskiej: osiedlali się w nim Żydzi, rymarze, siodlarze, szewcy, było trochę zakładów pogrzebowych, akuszerki, kilka restauracji spod ciemnej gwiazdy, a w opłotkach wiejskich bawiły się w bagnistych podwórzach, wśród psów i kur, dzieciaki umorusane, rachityczne, z wzdętymi brzuchami. Co tydzień miasteczko przeżywało wielki jarmark, podczas którego rozkładano na płachtach i wprost na ziemi, na kamieniach kocich rynku — kartofle, buty, dewocjonalia, marchewkę, ziarno i co tylko chłopu i rzemieślnikowi potrzebne jest do życia. Z okolicznych wiosek zjeżdżały wtedy do miasteczka niekończące się sznury

furmanek, wyprzęgano konie na rynku, zajeżdżały biedki pod domy bogatszych ludzi w miasteczku — doktora, nauczyciela, starosty, policjantów, wyładowały towar i po skwarnym, targowym dniu wracały obładowane towarem miejskim do swoich wiosek. Tutaj odbywały się przed wojną wymarsze faszystowskie, tutaj w okolicy był słynny uniwersytet ludowy, gdzie nauczyciele doszukiwali się w bogatych synach chłopskich duszy indywidualnej i rozwijali w nich osobowość, pozwalając równocześnie bujać ich tęsknotom do abstrakcyjnego socjalizmu, który ich z czasem przemieniał w najzaciętszych zwolenników kułactwa, uczył nienawidzić rewolucji, organizował ich w całkiem realne bandy, nawiązywał ich łączność z „Racławicami“, z „Siewem“, z ugrupowaniami kułackimi. Zbierali więc broń po chałupach, kumali się z wywiadami, nawiązywali sieci wywiadowcze, dokonywali sabotażowych akcji po wsiach, dźgali widłami wysłanników PGR-u, wstępowali jako pracownicy do PNZ-etów, aby tam, udając fachowców, paraliżować produkcję zbóż i warzyw, hodowlę zwierząt i gospodarkę leśną, płać dostawy żywności. Słowem — jak wszędzie w miastach, wsiach, na każdym metrze kwadratowym rozparcelowanej ziemi polskiej, w każdym zakładzie pracy — tak też w Szpotawie, małym miasteczku niedaleko Krakowa, szalała zacięta walka klasowa.

Miasteczko przeżywało swe trzy krótkie, olśniewające okresy świetności. Kiedy we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku wycofywała się przez miasteczko polska kawaleria gnana przez czołgi niemieckie, kiedy Żydzi opuszczali sklepy, kiedy tysiące ludzi z miasteczka szły na wielką raję wrześniową, rozpoczął się w miasteczku wielki rabunek skóry, siodeł, zapasów w sklepach, dziki, nieprzytomny handel z cwańszymi Niemcami, którzy zagrabiwszy na jednej ulicy materiał czy

cement, buty czy meble, sprzedawali na następnej. Mi-
nęło to wraz z ostatnimi dniami września. Do miasta
zjechała administracja niemiecka, zaczęło urzędować
małe, ale energiczne Gestapo, poszły pierwsze wysyłki
ludzi do więzień i obozów, niedaleko Krakowa zaczął
działać Oświęcim. Wtedy miasteczko zarzuciwszy rabu-
nek, rozbój i pogrom zaczęło uprawiać inny proceder,
obmyślony na dłuższą metę. Proceder ten dawał ogro-
mne zyski nowej warstwie społecznej, która się w mia-
steczku wytwarzała: lumpen-mieszczactwu. Powsta-
wały swoiste, wojenne przemysły: bimbrarstwo, pota-
jemny garbunek, nielegalny ubój świń. Szeroko po oko-
licznych wsiach znani byli szewcy szpotawscy; rzeźnicy
byli cenieni na wagę słoniny, bimbrarze jeździli po
okolicznych wsiach jako instruktorzy, zakładając całe
gniazda wyrobu bimbru. przywożąc ze sobą kotlarzy,
pobielników, którzy klepali kotły, ciągnęli rurki do rek-
tyfikacji, a razem z nową wiedzą przywozili tajne ga-
zetki. czasem nawet broń, służyli jako łącznicy, nicali
konspirację, wysyłali do lasu chłopców. W okolicy za-
częły szaleć bandy kułackie, które opiekowały się wsia-
mi przyciskając biedotę, egzekwując podatki, wysyłając
ludzi do Prus na roboty, wymierzając sprawiedliwość
peperowcom, jeżeli tacy byli w okolicy. Szpotawa była
centrum tych wszystkich ruchów politycznych. Wyrab-
iała także trumny, malowała je melancholijną niebie-
ską farbą, kreśliła na nich szerokie, białe krzyże i pa-
sowała do nich kandydatów; wydawała wyroki, kumała
się z Niemcami, żyła, rozrastała się w tych swoich
śmierdzących opłotkach. Szczególnie gdy z miasteczka
wysiedlono do getta krakowskiego Żydów, gdy warszta-
ty żydowskie objęła polska biedota rzemieślnicza, gdy
do miasteczka zwały się gromady pośredników spod
ciemnej gwiazdy, którzy handlowali pożydowskimi ru-
pieciami, rozbierali całe krzywe domki na opał, sprze-

dawali bety i meble, dłubali w ścianach i podłogach poszukując ukrytego złota, kosztowności, amerykańskich obligacji i dolarów, brylantów i rodzinnego srebra, a zwykle znajdowali tylko rodzinne fotografie, albumy i zamurowane w ścianach poźółkłe listy miłosne rzemieślników do przyszłych żon. W tym czasie miasteczko tętniło szczególnie żywo; rozrósł się bar przy rynku, pękate fury chłopskie zajeżdżały na rynek i mimo łapanek i przymusowych rekwizycji wracały pełne wszelakiego dobra do chałupy. „Straszny to był, ale dobry czas“ — mawiali nie bez kozery chłopi, a i pokątnym garbarzom na złe okupacja nie wychodziła, i daj Boże Podsiadłe tyle lat więzienia, ile chromowych butów oficerskich przeróżnym panom oficerom z Gestapo, SS, Wehrmachtu wygarbowali ze skór zdobycznych; ile za to francuskich koniaków i perfum, greckich daktyłów i żółwi dostali; ile włoskich pomarańczy i dobrych rosyjskich kozuchów poszło w miasteczku na czarny rynek, ile transportów wojskowych konserw, koców, materaców i wszelkiego dobra, a nawet co lżejszego uzbrojenia przewinęło się przez ręce zapobiegliwych kupców szpotańskich. Miasteczko, słowem, nie znało bojaźni bożej i modliło się, aby takie czasy nie minęły, a tylko wróciła dobra, sanacyjna, prawomocna Polska, okupant poszedł precz i zamiast koguta czarnego ze swastyką przyszedł orzeł z zawadiacko i zuchowato zesuniętą na czub koroną. Trudno orzec właściwie, jakie były marzenia miasteczka; to pewne, że chodziło o Polskę wolną, którą by rządził jakiś król, najlepiej angielski. Żaden z rymarzy, siodlarzy, bimbrarzy nie sprzeciwiałby się, gdyby księciu Windsoru czy Gloucesteru przyszła ochota koronować się na króla Polski; owszem, witaliby go po staropolsku chlebem i solą, jak Ludwika Andegaweńskiego, Jagiełłę litewskiego czy Henryka Walezego. Niestety, żaden książę angielski nie chciał koro-

nować się na króla polskiego, toteż gdzieniegdzie przechowywano jeszcze portrety Franciszka Józefa, czasopisma legionowe...

Tak więc za czasu wojny rozrósł się handel miasteczkowy; zyskała również na znaczeniu plebania, a miejscowy ksiądz, uczony dziekan Obora, chłop z dziada pradziada — którego ojciec pochodził ze wsi sąsiedniej, miał gospodarstwo czterdziestohektarowe, gospodarzył jak pan udzielny i synów chował w wielkim poważaniu i oświacie — cieszył się wielkim szacunkiem w całym miasteczku i był niejako symbolem Polski, chodzącym w sutannie po miasteczku, i z każdym gadający łaskawie. Taki codzienny symbol strasznie kojąco działał na duszyczki wiernych. Ksiądz dziekan, który przed wojną i pierwszego roku po wrześniu wychowywał młodych alumnów w seminarium duchownym w Kielcach, otrzymał po aresztowaniu i rozstrzelaniu miejscowego proboszcza skierowanie do Szpotawy i w ciągu kilku miesięcy postawił nieco zaniedbaną parafię na nogi, pilnując zbierania składek przez miejscowe społeczeństwo i odwołując się do ofiarności bogatszych gospodarzy. Otrzymywał więc hojne upominki, ofiary na msze święte po zaginionych bojowcach, sute opłaty za śluby i pogrzeby — i dzięki temu mógł niebawem przystąpić do krycia kościoła nową blachą — zamówił dekarzy i ślusarzy, najął z Krakowa malarza-stalugistę, jednego z dwu tysięcy, którzy wytrwale malowali abstrakcyjne i kapistowskie impresjonistyczne kawałki płótna i czasami tylko wynajmowali się bogatszym gospodarzom malując portrety im i całym ich rodzinom, aby po powrocie zdobić kawiarnie i bary krakowskie stylizowanymi, sielankowymi obrazkami, zaczerpniętymi z mitologii greckiej, która nie wiadomo czemu wchodziła znowu w modę. Wynajął więc młodego, zdrowego malarza krakowskiego, który zrobił mu jak żywą kopię zaginio-

nego obrazu Matki Bolesciwej, zamalował boczne ściany kościoła ornamentami i wymyślnymi figurkami, dał wielki obraz na plafonie i posiedziawszy całe lato na plebanii wyjechał z pękiem „górali“ do Krakowa, do swoich ukochanych stalug i abstrakcyjnych kompozycji. Tymczasem ksiądz ogroził betonowym murem stary cmentarz, który rozciągał się daleko za kościołem, na zboczu wzgórza, porośnięty rzadkimi drzewami, topolami, brzoźami, i gdzie leżeli wszyscy dziedziczni hrabiowie majątku Szpotawa, odnowił plebanię i mieszkanie dla swego wikarego, którego wziął sobie z seminarium duchownego w Kielcach — mógł się z nim łatwiej porozumieć, bo każde słowo chlupało między nimi bez śladu jak w wodę — uszył nowe chorągwie kościelne, ozdobił je barwami papieskimi, zrobił nowe obrazy na procesje, dał nowe ławki w kościele i obił siedzenia konfesjonałów czerwonym, wygodnym pluszem, jako też wyłożył kamieniem podwórzec kościelny, czym podniósł szeroko szacunek parafian dla potęgi kościoła. Szanowali dziekana swoi i obcy, i nieraz na plebanię zachodził sam kapelan stacjonującej w okolicy jednostki niemieckiej — był to pułk bawarskich katolików. Ksiądz dziekan znany był w powiecie jako energiczny duszpa-sterz, ale w świecie katolickim wielkim poważaniem cieszyły się jego prace pisane po łacinie o tomizmie, gdzie dowodził zgodności tomizmu z nowymi czasami. Tak więc plebania opierała się o miasteczko, a miasteczko o plebanię i dopiero gdy nad miasteczkiem pokazały się samoloty radzieckie i z daleka zagrzmiały strzały ofensywy styczniowej, a po śniegu zaczęły przemykać figurki uciekających Niemców, kiedy pojawiły się pierwsze szeregi wywiadowców radzieckich — wtedy w miasteczku pozamykały się okiennice, na plebanii zamarło życie, zresztą tylko przez pierwszy dzień. Nazajutrz bowiem po wyzwoleniu ksiądz odprawił dzięk-

czynne nabożeństwo, pobłogosławił kościół pełen młodych ludzi w krótkich kurtkach, przemówił o chrześcijańskim obowiązku młodych Polaków ratowania kultury katolickiej, wspomniał o Polsce jako przedmurzu chrześcijaństwa, odwołał się do czasów, gdy w miasteczku rządili Tatarzy, którzy straszili kobiety skośnymi oczami i wystającymi skułami, strzelali z łuków do niewinnych dzieci, gwałcili dziewice, mówił o rycerstwie i husarzach, o szlaku Sobieskiego, o przywiązaniu do ziemi rodzinnej, o radości z powodu wyzwolenia Polski, pobłogosławił klęczących kornie chłopców w kożuszkach, zjadł pośpiesznie śniadanie i pojechał do Kielc, aby naradzić się z biskupem, co robić dalej.

Miasteczko zaś przeżywszy znowu krótki okres świętego szabru — kiedy zaczęło żerować na mieniu ponieemieckim, a chłopcy w kożuszkach wystrzelali resztkę Żydów, która wróciwszy z obozów pragnęła osiedlić się w dawnych swych domach — wróciło do dawnego, przedwojennego, a raczej wojennego życia. Ale niestety! Pojawili się w miasteczku pierwsi PPR-owcy, przyszło wojsko polskie, zaczął działać Urząd Bezpieczeństwa — i sielanka, dawno wymarzona sielanka wojenna przysła i nawet orzeł nie miał zuchowatej korony na głowie, ale za to czub zuchowato podczał do tyłu jak czujny, młody chłopak z UB, który oczu nie zmruży, a Polski ustrzeże.



Kapral Jesionek minął kościół, przeszedł w dół krętą ścieżką parku, rzucił okiem na pasące się pod dębami krowy pegerowskie i wszedł między zabudowania PGR-u. Obejrzał z przyjemnością nową, budującą się roszarnię lnu, założoną przez kierownika, i skierował się w stronę dyrekcji PGR-u. Podał rękę kierownikowi

urzędującemu pod wielkim portretem Stalina naprzeciwko tablicy z normami pracy w polu i zapytał:

— Idziemy?

Poszli w pole między roszarnią a oborą, którą również stawiał PGR. Kierownik PGR-u był to gruby, przysadzisty mężczyzna, który przyszedł na Podkrakowskie gdzieś z Białostockiego. Był małorolnym chłopem, z partyzantki przeszedł do roboty organizacyjnej w SL, wreszcie nie wytrzymałszy, jak powiadał, papierkowej roboty za biurkiem w powiatowym Komitecie Stronnictwa, poszedł na kierownika PGR-u; naprawdę zaś opiekował się całą wsią. Grubas pełen był nowych pomysłów. Podczas gdy hrabia, właściciel majątku, który uciekł razem z Niemcami na zachód i jak wieści niosły (ludzie wszystko wiedzą), osiedlił się w Paryżu, jeździł do Monte Carlo, aby przegrywać depozyty ulokowane przed wojną w bankach szwajcarskich — grubas organizował państwowy majątek ziemski, potem przekształcił go na PGR. Początkowo ci z centrali nie pozwalali mu zajmować się eksperymentowaniem, nie wiadomo co był ten PNZ, przychodziły rozporządzenia, które podnosiły chłopom włosy na głowie. Zarządzenia te dotyczyły terminów siewu i zbioru zbóż, rozkładały obszar zasianych zbóż i zasadzonych warzyw. Nie dochodziły natomiast nawozy sztuczne; otrzymywały je bogate gospodarstwa indywidualne, kułacy, szła agitacja PSL-owska, słowem — nie było łatwo w PGR-ze. Z czasem jednak kierownik zaprowadził ład, Urząd Bezpieczeństwa wyłapał po trochu biurokratów z zarządu okręgowego, który wiedział, ile koni chodzi w kieracie, ile ich można z PGR-u skierować gdzie indziej, ale który nie interesował się potrzebami gospodarstwa. Grubas zaprowadził w PGR-ze hodowlę wysokokwalifikowanych nasion buraka cukrowego i traw, rozprowadzał polską odmianę nasion lnu, eksperymentował z ko-

nopiami twierdząc, że można je przeszczepić również na wyżynną ziemię krakowską, poszukiwał najlepszych sadzonek kartofli, walczył o ich udoskonalenie, założył u siebie doświadczalną stację hodowli prosa przeczytawszy w prasie radzieckiej o wielkiej kampanii uprawy prosa na dotkniętych suszą stepach Ukrainy, i doczekał się ładnych plonów, 12 kwintali z hektara. Wreszcie, kiedy PGR zaczął słynać z nasion w powiecie i województwie, kiedy zarobki byłych fernali w samej gotówce dosięgały sześćdziesięciu tysięcy złotych, przystąpił do szeroko zakrojonych inwestycji w swoim zespole, przedstawiając się po trochu również na gospodarce hodowlaną, budując nie tylko roszarnię lnu i konopi, ale również wspaniałą oborę, gdzie znalazły się specjalne pomieszczenia dla warchlaków, macior i knurów. Osobno wybudował także izolatkę porodową i ku wielkiemu zadziwieniu fernali zaczął planować budowę przedszkola dla dzieci, przeznaczony na ten cel pewną część parku, w samym zaś pałacu założył bibliotekę i czytelnię, świetlicę i salę zebrań. Zawsze, kiedy w sali rycerskiej ozdobionej herbami zbierali się chłopci ze wsi, przypominał im, że teraz są gospodarzami tej ziemi i że żaden już pan do tej sali nie powróci.

Wyszli więc w pole; przeszli przez ściernisko zaorywane pod zasiewy jesienne i podeszli do stogu. Wiatr wiał im w oczy popiołem i strzępami niedopalonej słomy. Stóg śmierdział jak opalona skóra wieprza. Dobrze, że w nocy spadł niespodzianie deszcz; częściowo stłumił pożar i dolne snopy uratowały się, były tylko nadpalone. „Przydadzą się na podściółkę“ — pomyślał kapral Jesionek. Poszperał przy stogu, jakby czegoś szukając — kierownik PGR-u przyglądał mu się z napięciem — wreszcie znalazł: była to puszka po ogórkach konserwowych, wysoka, pozbawiona obu den, opalona i pogięta. Kapral podniósł ją do oczu, badał przez chwili-

lę, ale nic nie odkrył, przytknął do nosa — nie śmierdziała, ogień wypalił wszelkie ślady, nie wiadomo było, gdzie kupiona, co zawierała etykieta.

— Potrzebna wam? — zapytał kierownik.

— Potrzebna. A co robił stróż w nocy?

— Stróża nie można znaleźć od rana.

— Przeglądaliście stóg?

— Nie ruszaliśmy niczego, aż do waszego przybycia.

Kapral wziął widły i zaczął ostrożnie przerzucać warstwę nadpalonej słomy. Nagle wzdrygnął się: widły zatrzymały się na czymś miękkim. Odgarnął słomę i spod kupy zwichrzonej, stłamszonej, nadpalonej, śmierdzącej deszczem, ziemią i spalenizną wiechy ukazała się osmażona postać człowieka, patrząca na nich straszny mi, wypalonymi, zakrzepłymi oczyma. Miał związane ręce, ogień nie przepalił sznurów całkowicie. Usta miał rozwarłe, zapchane słomą i szmatą.

Kapral Jesionek wypuścił widły z rąk. Popatrzył na grubasa i powiedział:

— A ja ich i tak wyłapię. Skarz mię Bóg, jeśli nie wyłapię!

Wziął opaloną puszkę, wsadził ją na kierownicę, podrzucił automat na plecy i wsiadł na rower polecając kierownikowi, aby niczego nie ruszano aż do przybycia władz bezpieczeństwa, po czym odjechał do miasteczka, wzniesając wąską strużkę kurzu. Kierownik PGR-u długo stał w milczeniu nad zwęglonym trupem dozorca. Zwolna do stogu zaczęli podchodzić ludzie od zabudowań gospodarskich.

•

Kapral Jesionek przyjechał do Urzędu Bezpieczeństwa. Wbiegł na górę do kierownika, pokazał mu puszkę spod kopca. Kierownik wstawił ją do szafki, gdzie

stały już jej bliźniaczki z innych okręgów. Naznaczał na mapie powiatu punkty, w których spalono stogi spółdzielcze i biedniackie w ostatnich tygodniach. Było tych punktów kilka, wszystkie promieniście okalały miasteczko.

— Ot co! — westchnął ciężko kierownik. — To widzicie, Jesionek, nie tylko przypadki, to banda, której siedziba musi być w miasteczku. To spontaniczna akcja kułacka. Muszą mieć rowery; wsiądzie jeden z drugim, podjedzie, podpali stóg i odjeżdża.

Młody blondynek, który wyglądał oknem i nie wtrącał się do rozmowy, rzucił papierosa do popielniczki i także podszedł do mapy.

— Powiedzcie, obywatelu kapralu, wieczorami chodzicie po miasteczku?

— Chodzę, obywatelu.

— A nie widzieliście żadnych rowerzystów, którzy wracaliby do miasteczka tak po zapadnięciu zmroku?

— Czy upilnujesz? — rzekł Jesionek. — Ludzi dużo przyjeżdża do spółdzielni „Rolnik“ wieczorem po zakupy.

— A młodzież?

— Jeżdżą chłopaki od Grabińskiej, jeżdżą chłopaki z domu Oblupka, zresztą, kto ich tam wie. Ja bym inaczej robił, szukałbym po bimbrarzach i garbownikach. Paru już siedzi w obozach, to się mszczą — rzekł Jesionek.

Blondynek uśmiechnął się. Miał szeroką, chłopską twarz, był zupełnie młody.

— Myślicie? A czy wiecie, że w waszym województwie akcja ta jest zorganizowana na sto dwa? Spalili już dwieście stogów. A jak spojrzeć na mapę, linia ciągnie się aż do samych Kielc i podchodzi pod Łódź. Także we Wrocławskim zanotowaliśmy pewne wypadki. Wszędzie puste puszkę po konserwach, wypalone zupeł-

nie. To dla waszej informacji, żebyście nie lekceważyli niebezpieczeństwa i nie ograniczali go do jednego powiatu czy jednego miasteczka. Akcja dywersyjna trwa i znajduje coraz to nowe formy. Raz w niej bierze udział element biurokratyczny, raz jacyś dyrektorzy, raz jakieś całe instytucje są opanowane przez bandę dywersantów i szpiegów, a czasem bywa tak jak w waszym miasteczku: nie ma punktu zaczepienia, nie wiadomo, skąd wyłazi wróg, a jest, pisze na murach antypaństwowe hasła, rozumiecie? Podpala stogi, zabija człowieka, szerzy terror. Co mówią ludzie?

Kierownik powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa rozłożył ręce.

— Ludzie mówią, że to jakaś armia podziemna działa. Widzicie, w takim na przykład czterdziestym piątym roku. Do miasteczka powracali wtedy Żydzi, którzy przeżyli w jakichś tam obozach. Wymordowano ich, reszta uciekła do większych miast, wyemigrowała do Palestyny. Ich domy, które im wróciło państwo, zakupili za psie pieniądze handlarze i garbownicy.

Młody chłopak zwrócił się do Jesionka.

— Idziecie, słyszałem, do szkoły oficerskiej?

— Tak jest, obywatelu, od Nowego Roku zwalniam się ze służby, dostaję urlop na szkolenie.

— Jesteście, słyszałem, w miasteczku postrachem bimbrarzy.

— Wsadził już trzech do obozu pracy — uśmiechnął się kierownik.

— To się pilnujcie — rzekł młody chłopak. — Stoicie im kością w gardle.

— Uważam na siebie — rzekł Jesionek podrzucając na plecach automat.

— A teraz, uważajcie — powiedział młody chłopak, kiedy za Jesionkiem zamknęły się drzwi. — Trzeba pa-

trzeć, kto tutaj kupuje puszki od konserw, kto lubi zjadać ogórki.

— Pleban — rzekł kierownik. — On niesłychanie lubi korniszony. Wiem, że robił pewne zapasy.

Młody chłopak nie odpowiedział nic. Robił notatki słuchając sprawozdania kierownika, zapisywał w pogiętym, brudnym kajeciku swoje uwagi, przygryzając dolną wargę, wreszcie zamknął notesik i wstał.

— Jadę dalej — powiedział. — A wy uważajcie. I za spokój miasteczka odpowiadacie głową. Na jesieni tego roku przeprowadzamy wielką akcję ku czci towarzysza Stalina i nie chcemy, aby była ona zamacona przez wroga klasowego. Mam nadzieję, że do tego czasu zlikwidujemy jeszcze jedną bandę.

— Tak jest, towarzyszu kapitanie — odrzekł kierownik powiatowego UB.

Uścisnęli sobie mocno dłonie i rozstali się. Ale młody chłopak nie od razu wyjechał z miasteczka. Obszedł wszystkie bary, przyjrzał się na rynku sklepowi „Rolnik“, obszedł go od tyłu, z podwórza, na którym rosły słoneczniki i piwonie w małym, zaśmieconym ogródku. W sąsiednich oknach można było widzieć wielkie grona winogron, które sprzedawała ogrodniczka, szczęśliwa posiadaczka strony południowej. Wypiwszy dla odwagi dwa kieliszki śliwownicy w barze koło rynku, młody chłopak zagłębił się w park PGR-owski, obszedł od tyłu plebanię, wszedł na podwórze i śmiało otworzył drzwi. Stara gospodyni, która w sieni łupała drzewo na podpałkę, podniosła głowę i przegnawszy ciekawe kury zapytała:

— A pan do kogo?

— A do księdza dziekana.

— A księdza dziekana nie ma.

— A ja wiem, że jest.

— A właśnie, że nie ma.

— Kogóż to Bóg prowadzi, moja gosposiu Kondra-siu? — zapytał z góry ksiądz dziekan, który właśnie pojawił się na schodach.

— Chciałbym porozmawiać z księdzem dziekanem — rzekł młody chłopak i śmiało wszedł na schody.

— Czy w sprawie prywatnej?

— W sprawie sumienia.

Dopiero teraz ksiądz mu się przyjrzał. Chłopak był trochę jakby niewyspany, miał zaczerwienione oczy, miły uśmiech, ubrany był w krótką kurtkę, kurzowiec i długie lśniąco oficerki, miał na sobie eleganckie, trochę wsiowe bryczesy, załatywało od niego jakby wódką. Ręce miał, stwierdził ksiądz, grube, nawykłe do roboty przy pługu. Był bez krawata, koszulę miał po chłopsku zapiętą pod szyję.

— Niech pan pozwoli na górę — rzekł ksiądz dziekan. Młody chłopak również przyjrzał się księdzu. Spod czarnej zmierzwionej czupryny, od której odcinała się różowo-szara tonsura, patrzyły bystre, badawcze oczy. Brwi miał zrośnięte, energiczne, policzki różowe, dziecięce, na nich ślad ciemny zarostu starannie golonego. Wydawał się wysoki, kiedy tak stał na schodach, ale gdy stanęli na spoczniku razem przy sobie, okazało się, że jest niższy od gościa. Zaprosił go do środka, zamknął drzwi i spytał:

— Czym mogę służyć?

Młody chłopak na razie nie odpowiedział. Rozglądał się z ciekawością po gabinecie księdza, zastawionym półkami na książki, biurkiem bardzo eleganckim, starożytnym, antycznym. Przez otwarte okno wlewały się zapachy jesieni, widać było w dolinie park PGR-owski, zabudowania PGR-u, a dalej szerokie, równinne pola PGR-owskie, ścierniska, które właśnie zaorywano, kopce buraków, rzadkie rzędy przydrożnych topól i wierzb, błyszczące tafle stawów, które kiedyś staną się wzoro-

wymi stawami rybnymi na karpie i jesiotry, kominy fabryki cegieł szamotowych, która kiedyś się rozrośnie i zmieni oblicze miasteczka, wypłoszy wszelki bandytyzm, zlikwiduje mieszczaństwo, bimbrarzy i drobno-mieszczan. „Nie będzie w izbach pięcioro małych, łączących po glinianym klepisku dzieci“ — pomyślał i westchnął:

— Wracajmy do rzeczywistości. — W wolnych chwilach zajmował się pasjonującym problemem przebudowy małych miasteczek polskich, tych przeróżnych Przasnyszów, Wolbromiów, Sierpc, Dęblinów, zniszczonych przez wojnę, zmurszałych wielowiekowym bytowaniem sennego pośrednika między zacofaną wsią a kapitalistycznym, zaniedbanym miastem; chodził na kursy architektów, dowiadywał się od nich i od ich pracowników o postępach przebudowy, upajał się każdym planem — jak inni szachami, kobietami, wyścigami, kociakami, biblioteką czy dziećmi. Różne są na świecie zamięłowania ludzi.

— Proszę księdza dziekana — powiedział wreszcie — przyszedłem z ramienia AP.

— Słucham pana — rzekł dziekan udając, że nie dosłyszał.

— Muszę wziąć ślub.

— Śluby załatwia wikary.

— Ale ja, proszę księdza, chcę się poinformować. Musiałem wraz z narzeczoną uciekać z pewnego powiatu, pod Łodzią — dodał tonem konfidencyjnym. — Ksiądz tamtejszy za dużo o mnie wie. Teraz długo nie będziemy razem z narzeczoną, muszę udać się we Wrocławiu do Filipowicza. Ksiądz przecie zna Filipowicza?

— Niech pan mówi dalej — rzekł ksiądz dziekan.

— Nie mamy papierów, proszę księdza, i nie wiemy, jak to zrobić, żeby żyć po katolicku, po bożemu.

— Nie myślę, żebym tu mógł panu pomóc — rzekł

ksiądz dziekan. — Trzeba się zwrócić do właściwego proboszcza, wziąć od niego pisemne pozwolenie, że zna pana i pana narzeczoną, pannę młodą, i wtedy z tym pozwoleniem trzeba się zgłosić do mnie, może coś będę mógł zrobić bez zapowiedzi. Do widzenia panu. Niech pan pozdrowi wszystkich ludzi dobrej woli.

Podał mu miękka, wypieszczoną dłoń, odprowadził do drzwi, zamknął je i długo patrzył przez okno za odchodzącym chłopcem, który otuliwszy się od kurzu, co zawiewał ostro w oczy i kręcił bice na drodze, skierował się w dół, do miasteczka. „Nie wiem, czy dobrze zrobiłem — pomyślał ksiądz przytykając gorące czoło do chłodnej szyby. — Ostatecznie to zupełnie obcy człowiek, ale wygląda poczciwie“ — dodał sobie otuchy i wrócił do pracy o wychowaniu młodzieży.

*

Aktywista, sekretarz partyjny! Ileż on ma roboty w małym miasteczku. Jakaż pomocą są mu gazety partyjne, z jaką pasją pochłania kolejne rozdziały WKP(b). doszkała się po nocach, nieraz nie dojada, chodzi do odległych o dziesiątki kilometrów wiosek na zebrania gminne, wykorzystuje okazje furmankowe, które po pracy podrzucają go na wieś, podjeżdża PKS-em, jeżeli miasteczko leży na linii autobusowej. Przewiany na wskroś wiatrem, opalony słońcem, zachrypnięty od gądanania, nieraz naraża życie w ciężkiej walce klasowej. Często nie ma spokoju w domu, często użera się z biurokratami, bywa, że opada z sił, popełnia błędy, odrywa się od terenu, błądzi, a potem poddaje się samokrytyce, dokszałca na dorywczych kursach, podczas rozmów z towarzyszami, w dyskusjach z robotnikami, trzymając rękę na pulsie życia fabryki, gdzie zamiast upajać się osiągnięciami dostrzega tyle braków. Nieraz wraca do

domu nocą, zjada zimną kolację, mrukliwie odpowiada żonie i kładzie się spać do wspólnego łóżka pod wielkimi obrazami religijnymi, strasznymi bohomazami przedstawiającymi Matkę Bolesną czy Karmiącą albo Ukrzyżowanie, których żona nie chce zdjąć ze ściany, bo się przyzwyczaiła, bo wierzy, bo goni do księdza, bo się spowiada. Nieraz nie powiedz nic w domu, nieraz kryj się przed żoną, bo wszystko wygada, wyplotkuje, bo nie jest uświadomiona; och, małe miasteczko... Aktywista partyjny, który użera się z biurokratami, z dyrektorami tartaków, młynów, z urzędnikami na poczcie i w starostwie, którzy nie zawsze rozumieją pracę partyjną, nie są czujni, rozpuszczają po pijanemu plotki, wskazują wrogowi najsłabsze punkty oporu: kumotrów i krewnych. Ani się rozpatrzysz, kto z kim powiązany, ani się spodziewasz, jak spoza pocziwych pleców drobnego urzędniczka błysną oczy ojca kułaka, matki kułaczki, brata, który kiedyś był oficerem granatowej policji, a teraz pisze skromnie w jakimś młynie, ugaszcza młodych chłopców, prowadzi z nimi rozmowy. Małe miasteczko tętni życiem, szaleje w nim zacięta walka klasowa. Sekretarz partii wysunięty jest w nim na pierwszy posterunek, jest dowódcą uderzenia ofensywy klasowo-robotniczej. Jego mały telefon, kręcony korbką, na biurku — to stanowisko ogniowe i biada partyjnikowi, który by w porę nie wiedział, co się dzieje w gminie najbardziej odległej, który by nie miał w pamięci wszystkich zdarzeń w powiecie. Na przykład w spółdzielni produkcyjnej Kozłów zaczęto budować chlew dla tuczników, macior i knurów; wiatr nagle zrzucił położony świeżo i źle dach; powstały szkody na wiele tysięcy złotych. Jak tu dojść, kto winien, jak tu nie dostrzec braku czujności Podstawowej Organizacji Partyjnej w terenie. Ale nie wystarczy posłuchać sprawozdania przez telefon — trzeba tam pojechać, same-

mu sprawdzić, pogadać z przewodniczącym, z partyjniami, z młodzieżą, zachęcić do samorzutnej naprawy dachu, namówić towarzyszy z fabryki do pracy w niedziele, by nie zarywać planu budżetowego spółdzielni i nie pozwolić na łatwy triumf kułaków. Wrócił właśnie z tej wyprawy partyjną Skodą, zmęczony i utyłany, gdyż przy okazji zwiedził całe zabudowania i przeszedł się po projektowanym terenie wielkiego kurnika dla kilkunastu tysięcy karmazynów, jakie spółdzielnia w przyszłym roku ma zamiar hodować. Ma to uzupełniać produkcję PGR-u, nastawioną raczej na ziarna wysokokwalifikowane lnu i konopi. Organizacja partyjna przeprowadziła skomplikowane prace, aby uzgodnić oba plany. Namówiła kierownika PGR-u, aby część zbiorów ustąpił spółdzielni na dokarmianie ich bydła i kur. Trzeba było także poruszyć sprawę kół gminnych ZMP, które działały bardzo opieszale, a już rozpaczliwie w tym powiecie wyglądała sprawa Ludowych Zespołów Sportowych, których znaczenia nie doceniali działacze terenowi, pozwalając nadawać ton w rozrywkach synom kułackim. Latem, na obozie, byli tu studenci z Krakowskiej Akademii Górniczej, z Uniwersytetu Warszawskiego, z Gdańskiej Akademii Medycznej, którzy jeździli jako czołówki sanitarne po okolicznych wsiach, zabierając z PGR-u hrabiowski wólan i piękną parę karych koni i tak — po kilku wizytach przedsiębiorczych chłopaków, którzy rozmawiali z młodzieżą, zapraszali ją na wieczorki dyskusyjne o państwie, kościele i spółdzielniach produkcyjnych, organizowali ogniska nad rzeką, jeździli do miasteczka, aby pomagać przy obliczaniu podatku gruntowego w gminie, chodzili na zebrania partyjne tłumacząc zasady organizowania demokracji ludowej — powstawały LZS-y. Kopano boiska, zakładano słupy, kupowano siatki. Pomagały w tym spółdzielnie, gminy i młodzież, która zamiast w nie-

dziele waleśać się po wiejskich weselach, wątpliwej wartości widowiskach jarmarcznych albo wysiadywać na przyzbach domów ćmiąc cygara, schodziła się na boiska, urządziła mecze piłki nożnej, rozgrywki powiatowe, zapoznawała się z młodzieżą PGR-owską, która też uprawiała zapamiętałe sport, wreszcie z robotnikami z cegielni i fabryki metalowej, którzy przyjeżdżali samochodami, umajonymi brzożowymi gałęziami, wysiadali ze śpiewem, przywozili własny sprzęt, a nawet czasem po rozgrywkach urządzali pokazy artystyczne lub też wspólne ogniska, gdzie śpiewano piosenki, opowiadano o pracy w fabryce albo, jak się to komu działo podczas okupacji. Plebania od razu odpowiedziała kontrakcją: ksiądz dziekan wybrał się do seminarium duchownego w Kielcach, gdzie właśnie kończono rok szkolny i następowała przerwa wakacyjna, wybrał sobie spośród alumnów dziesięciu najlepszych sportowców, przywiózł ich na plebanie, każdemu dał osobny pokój i odpowiednio wynstruował, a pewnego poranka niedzielnego alumni rozeszli się po okolicznych wioskach i zaczęli wchodzić do każdego zespołu sportowego, grać w piłkę nożną, w siatkówkę, w koszykówkę i w szczypiorniaka, a potem odpoczywać wraz z młodzieżą na trawie, pić piwo w wiejskiej spółdzielni spóżywców, gadać o sporcie, o służbie bożej — słowem — przyjaźnić się, poznawać lud, kochać go i nie dopuszczać do zakładania kół ZMP-owskich. Zachodzili także księża alumni do parku, gdzie rozłożyli się studenci, do kierownictwa, gdzie gadali o wszystkim i o niczym, o własnych studiach, o zagadnieniach filozoficznych, o zagadnieniach przyczynowości, o marksizmie, dyskutowali o istnieniu materii i ducha, o materializmie i realizmie chrześcijańskim, o Tomaszu z Akwinu, o solidaryzmie narodowym, o nowoczesnym pojęciu humanizmu i bestialstwa w ujęciu księdza Michalskiego, o lite-

raturze — i tu zadziwiali swoimi postępowymi poglądami, jakby byli nie alumunami seminarium duchownego, a socjaldemokratami. Wreszcie chodzili także na pola PGR-owskie, aby wspólnie z chłopami pracować i prowadzić swoją agitację.

*

— Tak, towarzyszu delegacie — opowiadał sekretarz gminnej organizacji partyjnej dziennikarzowi, który przyjechał razem ze studentami i przypatrywał się robotcie w terenie, chciał napisać jakiś reportaż dla gazety literackiej w Warszawie — tak, towarzyszu redaktorze, tam z Warszawy perspektywy nasze nie wyglądają tak skomplikowanie. Ot, zabita deskami prowincja, ot, ludzie dopiero budzą się ze snu, ot, gazeta dochodzi dopiero na trzeci dzień, czasem braknie jakiejś książki, kino przyjeżdża raz na dwa miesiące, domy stoją krzywe, takie same jak stały za Popiela i Mieszka, wydawałoby się, nic ciekawego tu się dzieć nie może, senna prowincja. A tymczasem tu, obywatelu redaktorze, ludzie giną, walczą, tu trwała walka o Polskę Ludową, tutaj można zobaczyć, co to takiego dyktatura proletariatu.

Zdjął okulary, przetarł je zamszową szmatką, szmatkę schował do kieszeni i wzdychając z jesiennego upału mówił dalej:

— A jak wygląda walka klasowa naokoło nas? Zaraz opowiem, towarzyszu. Weźcie taką Osieczę, wieś, która leży jakie 18 km stąd. Wasze czołówki sanitarne czasami docierają do tego krańca powiatu. Był tam osiemnastohektarowy bogacz, nauczyciel wiejski.

— Trzymaliście go?

— A skąd, towarzyszu, wziąć innych nauczycieli? Czy myślicie, że mamy tak wielu kandydatów na te odpowiedzialne stanowiska na wsi? Krótko i węzłowato, to stary nauczyciel, pracuje dobrze, nauczył dzieci we-

dług podręcznika, starowny, chociaż poza tym palcem o palec nie uderzy. Udało się do niego Stronnictwo Ludowe, aby wziął udział w jego pracach; chodzi o przysposobienie rolniczo-wojskowe. Wiecie, że nauczyciel może być dobrym prelegentem, że może spełnić rolę agitatora, że może, gdy chce, wykonać ogromne zadania przy likwidacji analfabetyzmu. Wiem, że to obciąża ludzi, wiem, że zajmuje im ten wolny czas, który poświęcić chcieliby dzieciom, ogródkowi, bo ja wiem, fryzjerowi, jak o tym marzy jedna nauczycielka spod miasteczka, która nigdy nie ma czasu przyjechać i ufryzować się, przez co narzeczony krzywo na nią patrzy. Otóż nasz nauczyciel zażądał za prace społeczne przydziału kilku parobków do pracy na jego gospodarstwie. Rozumiecie, zażądał tego w czasie, gdy my agitujemy wśród najmitów kułackich, aby uciekali od kułaków i szli na kursy traktorzystów, do szkół przysposobienia przemysłowego, na fachowców i działaczy!

— Wywaliliście go ze szkoły?

— A jak myślicie? Inny facet zafundował kiedyś sztandar dla stronnictwa; zjechali się dygnitarze z całego powiatu, gdy gmina obchodziła święto zakładania własnego koła stronnictwa. Dopiero gdy przyszło do zakładania spółdzielni, zdemaskowaliśmy faceta: nie chciał się zgodzić, stanął na uboczu, chciał handlować ze spółdzielnią, pożyczać od niej maszyny. Ile trzeba było się nagadać, zanim odizolowaliśmy go! Był, musicie wiedzieć, prezesem gromadzkiego koła ZSL.

— Budowaliśmy — mówił dalej — przez firmy półprywatne, które udawały firmy spółdzielcze, domy dla naszych spółdzielni. W jednej wsi wyczerpał się osiemnastomilionowy kredyt na budynki i zamiast budynków gospodarskich, które by się już w następnych kilku latach zamortyzowały, chłopci postanowili wybudować domy mieszkalne. Dobrze, jak domy to domy, nikt wam

w kieszeń zaglądać nie będzie, budynków gospodarskich trochę było. Myślałem, co prawda, że warto by było także od razu postawić świetlicę i jakieś przedszkole, przedszkolankę już dostałem dla nich w miasteczku, dobra, cicha, spokojna dziewczyna; nieszczęściem, wiecie, jak to firma: budowała, póki starczyło kredytu, a jak go nie starczyło, powiedziała: *adieu* i odjechała do Krakowa. I teraz kilka domów stoi, aż wstyd, nie dokończonych, kontraktacja buraków i owoców dobiegła wprawdzie końca i może się spłaci długi, ale nam leży na głowie, aby spółdzielnia nie stała się pośmiewiskiem. Mobilizujemy siły z miasteczka, przyjeżdżają robotnicy z innych okręgów, żeby pomagać w robocie, w omłocie zboża, zakładać elektryczność, pomagać w robotach stolarskich i murarskich, w układaniu nowej drogi wzdłuż budynków mieszkalnych, strugać meble, nowe, sosnowe, pachnące. Ale to wszystko jeszcze nie zadowalało chłopów!

Bywa, towarzyszu, jeszcze gorzej: weźcie taką spółdzielnię w Ostrudzie. I tutaj firma pobudowała domki oszczędnościowe, ale te domki są dzisiaj już za ciasne. Klitki, towarzyszu, nie pokoje. Trzeba było patrzeć, towarzysze, na ręce panom architektom, trzeba było zrobić tak, żeby chłop nie mówił: jak się położę do łóżka, to mi nogi będą sterczały na korytarz, jak wstawię komodę, to mi się wazon z pelargonią nie zmieści. Znowu miliony wyrzucone przez okno.

— Ci, co tak budowali, sami już siedzą w klitkach.

— To mała pociecha, towarzysze! — powiedział twarodo sekretarz. — Nie o to chodzi, żeby łapać sabotażystów po dokonanym sabotażu, ale żeby im przeszkodzić. Więcej czujności, towarzysze! Następny punkt porządku dziennego: sprawa sabotażowego palenia stogów i działalności bandy. Kto zabiera głos?

*

Odstawiwszy żonę do ośrodka zdrowia, pogadawszy z lekarzem i wstawiwszy łóżko do jedyne go wolnego pokoiku, separatki, sekretarz wpełchnął się z westchnieniem do Skody i powiedział:

— Jedziemy do Rodziwej.

Samochód wykręcił spod komitetu. Wyjechali z miasteczka.

Barczak, który pół dnia już kręcił się koło rynku, ponurym i wolnym krokiem skierował się do mieszkania Grabińskiej. Spotkał po drodze wikarego, który szedł z sakramentem świętym do chorego. Przed nim postępował w białej komży Obłupek, z oczami wzniesionymi ku niebu, dzwoniąc srebrnym dzwoneczkiem. Koło rynku w szkole ludowej odbywało się zebranie koła ZMP-owskiego. Chłopcy i dziewczęta korzystając z ciepłego jesiennego popołudnia wygrzewali się przed szkołą śmiejąc się i przekomarzając. Stasiurki jeszcze nie było, zaraz miał nadejść z fabryki, gdzie go zatrzymało zebranie partyjne. Ksiądz szedł od kościoła poważnie, wzbijając nogami drobny, miálki kurz na drodze. Niósł w rękach przysłonięty obrusikiem kielich z sakramentem, postępował uważnie za chłopcem i błogosławił głową nielicznych przechodniów, którzy na widok księdza idącego z sakramentem pobożnie przyklękali na chodniku i żegnali się gorliwie. Przeszedł ukosem przez rynek i zwolna, włącząc noga za nogą, pociągnął przed szkołę, do gromadki roześmianej młodzieży. Ucichli, tylko Obłupek z rozanieloną twarzą dzwonił coraz natarczywiej dzwoneczkiem. Nagle ksiądz zatrzymał się i widząc, że nikt nie zamierza klęknąć, krzyknął:

— Bezbożnicy! Pan Bóg was przeklnie za bluźnierstwo wasze! Was i dzieci wasze, i rodziców waszych, aż do dziesiątego pokolenia! Jak mówi prorok: niech zginie ten, kto nie szanuje imienia Pańskiego!

Przeszedł dalej i wszedł na schody do Grabińskiej.

— Kto tam jest u niej chory? — zapytał jeden z chłopców Stasiurka, który nadjechał właśnie na rowerze.

— O ile wiem, nikt tam nie jest chory — rzekł Stasiurek. — Chodźmy na zebranie.

Zebranie aktywu ZMP-owskiego w miasteczku poświęcone było walce z sabotażem i o czystość własnych szeregów ZMP-owskich, do których wdarł się wróg, aby plugawić organizację młodzieży robotniczej i chłopskiej. Weszli do sali rekreacyjnej i rozsiadłszy się na ławkach zaczęli długą i gorącą dyskusję o czujności zetempowskiej we własnych szeregach.

Barczak również poszedł za wikarym do Grabińskiej. Obtarł ręce o spodnie i wszedł do Podsiadły. Ten siedział przy oknie i majstrował przy pistolecie. Zobaczywszy Barczaka mruknął przez zęby:

— No?

— Pojechał Skodą na zebranie.

— Miał iść do matki na wieś.

— Dziś nie używa widocznie spaceru.

— To kiedy jej zawiezie jedzenie? Staruszka jeszcze gotowa zdechnąć z głodu.

— Nie bój się, to dobry syn. Jak nie dzisiaj, to pewnie jutro podrzuci jej parę kilo mięsa.

— A jak weźmie samochód?

— Nie ma strachu, on nigdy do niej nie jeździ. Małorolna. Półtorej morgi — rzekł Barczak i usiadł na stole. — Szanuje ją i nie chce chłopów zrażać. Chce założyć spółdzielnię na wsi, zawsze łązi od chałupy do chałupy. Nasi mówią, że to na odpoczynek. Użyje roweru.

— Coś musiało mu pilnego wypaść — rzekł w zadumie Podsiadło. — Co w fabryce?

— Było zebranie partyjne.

— No?

— Uchwalili usprawnić czujność. Ma być podjęta walka z plotkami, robotnicy będą wyjeżdżać na wieś. Ja ci mówię, że oni robią ofensywę, szkolą ludzi.

— Niech szkolą, niech szkolą, my też szkolimy — rzekł Podsiadło. — Zobaczymy, czyi ludzie będą lepsi. Przyjdzie i nasz czas. Co jeszcze uchwalili?

— Podarunek dla Stalina.

Podsiadło złożył rewolwer na stole, odłożył szmatkę, zawiązał oliwę i powiedział:

— Że co?

— Podarunek dla Stalina. Będą urodziny Stalina. Ma być współzawodnictwo pracy i z płyt szamotowych mają coś tam zrobić artystycznego, kapujesz? Poza tym mają założyć elektryczność w PGR-ze jako podarunek dla Stalina, wszystko z własnych pieniędzy robotników. Sami mają światło zakładać, żeby się obory w zimie nie spaliły, mówią, że niebezpieczeństwo pożaru jest bardzo wielkie, zwłaszcza teraz, po spaleniu stogu.

— Mówili o stogu?

— Mówili.

— Nie wiedzą?

— Nie wiedzą, ale mówią, że za dużo tych stogów już się pali i UB nic nie robi, aby wyłapać podpalaczy.

— Niech mówią — rzekł Podsiadło. — Pojedziesz z meldunkiem do Gajosa, opowiesz mu wszystko, jak było, weźmiesz dyrektywy w sprawie sekretarza. Powiesz mu, że trzeba robotę robić niedługo, jako podarunek dla Stalina. Nasz podarunek dla Stalina. I trzeba będzie zrobić kilka wypadów po wsiach, żeby przypomnieć ludziom, że Armia Podziemna jest i czuwa, i żeby tak łatwo się nie zapisywali do spółdzielni. Niech proponuje jakieś wsie, to urządzimy tam wypad. I zamelduj mu, że nie wiemy, co robić z Waldkiem. Chłopak się rozbisurmanił, wszystko mu się nie podoba, lata sobie do PGR-u, siedzi całe dnie w ZMP, gra z chłopakami

w siatkówkę, nie uczy się jak przedtem, do księdza nie chce chodzić, za dużo trochę wie, gada, że widział i u nas jakąś broń, wypytuje matkę. Niech Gajos powie, czego chce. Nie gadali o mnie na mieście?

— Nie — odpowiedział zdziwiony Barczak.

— Ech! — westchnął Podsiadło. — Żeby się tak z żonką zobaczyć!

— Ale czy ci ta — pokiwał głową w stronę drzwi — pozwoli? Zazdrosna jak cztery wiedźmy!

Roześmieli się obaj. Kiedy Barczak wyjmował wódkę z szafy, Podsiadło zauważył ze zdziwieniem, że chłopak jakby trochę urósł od ostatnich tygodni. „W tym wieku, kiedy miałem siedemnaście lat, także szybko rosłem“ — pomyślał z rozrzewnieniem. Potem napili się wódki i Barczak udał się z meldunkiem do komendanta Gajosa, który w cywilu był szewcem i moczył w cebrzyku pod łóżkiem skórę na garbunek.

Tymczasem nasz sekretarz partii jechał razem z działaczem ZSL do Rodziwej.

— Rozumiecie — mówił — organizujemy tam dzisiaj zebranie gromadzkie. Chłopi dostarczali mleko do spółdzielni mleczarsko-jajczarskiej, a teraz nie chcą. Przeszali. Nic nie pomogły telefony. Nie rozumiem, co się stało. Kierownik spółdzielni mówi o jakimś zdechłym koniu, ale widocznie boi się, bo powiada: przyjedźcie, to sami pogadacie, mnie jeszcze skóra miła. Wiecie, nie każdy jest bohater.

Roześmieli się. Szofer, młody chłopak, który tylko co wyszedł ze szkoły szoferskiej i chciał iść do wojska, do broni pancерnej, odwrócił się i powiedział:

— A bo to nie wiecie, towarzyszu, jak jest na gminach? Każdy wolałby mniej pracy. To i dla takiego kierownika uciecha: „Nie dają mleka, mniej mam roboty, mniej zapisywania, mniej pracy“. I leży sobie w łóżku i przeciąga się, i babę naokoło obraca jak wentylator.

— Ty, Stefan, nie naśmiewaj się z ludzi — powiedział surowo sekretarz. — Zbadamy sprawę, zobaczymy.

Podjechali. Zatrzymali samochód u wylotu wsi, przy szkole, piechotą podeszli pod dom gromadzki. Zebranie już się rozpoczęło. Mała lampka naftowa oświetlała twarze wszystkich. Chłopi zbierali się, milczący i ponurzy.

Sekretarz usiadł za stołem, zreferował sprawę i zapytał, kto zgłasza się do dyskusji. Wszyscy milczeli. Wstał więc, oparł dłonie na stole i spojrzawszy na salę wybuchnął:

— Więc to tak, bracia chłopi? Więc to takie milczenie spotyka mnie? I to kogo? Może dziedzica, którego władza ludowa przegnała razem z faszystami? Może spekulanta, co siódmą skórę z was darł? Może sklepikarza, co wam sól przed wojną wydzielał łyżeczką od herbaty? Może księdza, co z kołędą chodzi — i nic, tylko mu indyczkę do wora ładuj, a worek kartofli kładź do sanek? A może ja waszych synów mam za parobków? Może pracują na moim? Może zdieram z was w przednówek, pożyczam wam ziarno na chleb, a odbieram w dwójnasób po żniwach? A może ja, bracia chłopi, po pieniądze wasze przyjechałem, waszego dobra chcę? Może wam stogi palę i bydło zarzynam w oborach? Może to ja wychłostałem waszego sołtysa i zrabowałem mu pieniądze gromadzkie?

Na sali panowała cisza. Chłopi patrzyli, ciężko wzdychając, na sekretarza, którego ogromny cień tańczył na ścianie. Sekretarz uderzył pięścią w stół i mówił dalej:

— A może wy to mleko hrabiemu dajecie, co siedzi w Paryżu i panienki francuskie maca? Może na świętopietrze do Watykanu posyłacie? Może to mleko zabiera wam faszysta niemiecki, aby karmić nim swoje świnię? Nie, to mleko idzie dla dzieci waszych braci robotników w fabryce, idzie dla naszych żon, co są w ciąży lub karmią dzieci, takich samych synów robotniczych i chłop-

skich jak wasi synowie. Ja sam mam żonę, która spoziewa się dziecka. Co wam mam powiedzieć, bracia chłopcy? Dziękuję wam, żeście dali się nabrać na znowę kułacką, żeście zaszkoźdźili państwu ludowemu, żeście zamiast dać mleko dziecku robotniczemu, woleli wylewać je świniom.

— A wy nam czego wymyślacie, obywatelu — podniósł się stary chłop w baranym półkożuszku. Miętosił czapkę w rękę, wreszcie powiedział: — Słuchajcie no, obywatelu peperowiczu, zawsze mówicie, że dla chłopów chcecie dobrze, a ja wam powiem otwarcie i gromada przyświadczy — nie chcecie dla chłopów dobrze!

— Ile macie ziemi? — przerwał mu ostro sekretarz.

— Nie wy mnie liczyć będziecie, dziadu! — prychnął pogardliwie chłop.

— Ilu macie parobków? — zapytał sekretarz. — Ilu tych z gromady robi na waszych gruntach, wyciera za dy waszym świniom? No, powiedzcie tu, przy całej gromadzie, a potem gadajcie, co wam ślina przyniesie.

— On ma pięciu parobków i dwie dziewuchy! — krzyknął z kąta sali jakiś silny głos. — A dzieciaków ile latem w służbie marnuje!

— Mamy tu taki wypadek, obywatelu sekretarzu — ciągnął stary chłop — wy przyjeżdżacie do nas raz na trzy miesiące, bo i co was taka gromada może obchodzić? Więc powiadam dokumentnie, zachodzi tu taki wypadek: mamy małorolnego, Knoblewski się nazywa. Miał on jednego konia, dostał go kiedyś w przydziale, koń dobrze pracował. Ale nagle padł. Zawsze może się zdarzyć, no nie?

Sekretarz milczał czekając, do czego zmierza kułak.

— I uważacie — rozgadał się chłop i rozpromienił nie wiadomo czemu — koń był ubezpieczony, a już przeszło za pozwoleniem Pana Boga trzy miesiące i PZUW nie chce ani rusz za konia dać premii.

- Koń był ubezpieczony?
- Był — rzekło kilka osób z sali.
- Padł własną śmiercią?
- Padł.
- Chorował?

— Chorował. Według przepisów. Knoblewski zwrócił się do weterynarza, ale odszkodowania nie chcą mu wypłacić. Ot, i widzicie, obywatelu: masz, chłopie, Polskę, masz partię, masz zjednoczone stronnictwo chłopskie, a jak byle szkapina padnie, to ręce wznos do nieba, dawaj na mszę, chodź do spowiedzi, a nikt ci ubezpieczenia nie da.

Sekretarz przygryzł wargi i żyły zwolna nabrzmiewały mu na czole.

— To wy stajecie się rzecznikiem gromady? — powiedział z cicha. — To dlatego podburzyliście gminę, żeby mleka nie odstawiała? Obywatele! — krzyknął. — Oczywiście, małorolnemu Knoblewskiemu stała się krzywda. Oczywiście, załatwimy sprawę od razu. Ja o tym koniu słyszałem i przywiozłem wam, obywatele, naczelnika z PZUW. Gadajcie, towarzyszu — powiedział cicho do naczelnika.

Naczelnik z PZUW wstał.

— Mam tu, obywatelu, pismo, podpisane przez trzech mieszkańców waszej wioski, którzy zawiadamiają nasz Zakład, że małorolny Knoblewski zamęczał swego konia i że naumyślnie, aby dostać gratyfikację, zabił swego konia pracą.

— To nieprawda! — porwał się Knoblewski. Położył żyłastą dłoń na stole, nachylił wąsatą twarz i powiedział z pasją: — Kłamiecie, towarzyszu. Ja bym konie... ja bym konia... Jak wy możecie.

— Na piśmie są podpisani: Jaczyk, Kołodziejski, Bartłomiejczyk.

Zapadła cisza. Chłopi patrzyli na siebie osłupiali.

— Takich nie ma u nas w gminie. To są kułacy z sąsiedniej gminy.

W izbie zapanował krzyk, chłopci wstawali z miejsc. — Bić takich synów! — krzyknął ktoś. Czyjaś ręka przewróciła lampę, buchnął jasny płomień, a potem, stłamszony, zgasł. Zapanowała na chwilę ciemność, słychać było stłumione trzaski, wreszcie gwałtownie otwarto drzwi i wypchnięto za nie jak tłumoki jakieś postacie. Z podwórza buchnął ciepły powiew wieczoru jesienno-go, zajaśniały na niebie gwiazdy. Ciemne postacie szamotały się przed progiem, wreszcie zapanowała cisza. Sekretarz zapalił latarkę, zaświecił zapałkę, zabrał lampę, która na szczęście się nie stłukła, i zapalił ją.

— Gadajmy dalej, obywatele. Może dogadamy się o tej dostawie mleka.

— Nie ma o czym gadać — mruknął któryś z gospodarzy.

— A o walce klasowej jest co gadać? A o szkodnictwie kułackim warto gadać? A o spółdzielniach produkcyjnych warto gadać? O sojuszu chłopskim? O dostawie, o skupie zboża warto? Już się nic na waszej wsi nie dzieje? Zawsze tak będziecie żyć, na tych nędznych gospodarstwach?

— Gadajmy. Czasu mamy dość — rzekł któryś z gospodarzy.

PZUW-owiec odjechał wcześniej. Spieszyło mu się. Sekretarzowi także się spieszyło, chciał się dowiedzieć, jak się miewa żona w szpitalu, chciałby zatelefonować, ale nie miał czasu. Czort go wie, może będzie miał syna.

Dyskusja zakończyła się późną nocą. Gwiazdy stały wysoko na niebie. Rześkie powietrze jesienne owionęło ich twarze, kiedy wychodzili z zebrania, cicho szumiały brzozy przy szkole, szeleścił i chrzęścił piasek pod butami. Pożegnali się przy furtce i sekretarz ruszył przed

siebie. Cztery kilometry to niedaleko — czterdzieści minut różnym krokiem. Postawił kołnierz u kurtki, bo noc była chłodna, zagłębił się w las.

Kiedy zbliżał się do zakrętu, do rozwidlenia, które prowadziło do miasteczka i cegielni, wyszło naprzeciw niego czterech ludzi. Szli szosą różnym krokiem jak ludzie, którzy wracają z pracy. Sekretarz przyjrzał się im, kiedy go mijali, ale nie mógł dostrzec twarzy. Włożył rękę do kieszeni i odwrócił się nagle. Nie zdążył: jednocześnie prawie zagrzmiały dwa strzały i sekretarz osunął się na ziemię. Wtedy jeden z mężczyzn, był to Podsiadło, podszedł do leżącego, strzelił mu jeszcze raz w twarz, kopnął pogardliwie leżące ciało, aż się stoczyło na bok, i powiedział:

— Roześć się, chłopaki. Rozkaz wykonany. Barczak odbierze mu broń i zrewiduje trupa. Dawaj, dawaj!

*

Matka weszła do pokoju księdza dziekana. Ksiądz dziekan wstał od biurka, na którym pisał wielką pracę o lenistwie i pilności młodzieży szkolnej, i szerokim, serdecznym, dobrodziejskim ruchem zaprosił ją, aby usiadła. Uśmiechnął się do niej mądrym, duszpasterskim uśmiechem i zapytał:

— Ma pani, słyszałem, jakieś kłopoty z tym swoim łobuziakiem? A wie pani, on nawet już na lekcje religii na plebanię nie przychodzi. Pewnie się włóczy, co? No nic, dziecko jest zaniedbane, z ulicy, trudno wychować dobrze dziecko, gdy się nie ma męża.

Pani Grabińska patrzyła na księdza szeroko otwartymi oczyma. Miała młodą, choć trochę już pomarszczoną twarz, lubieżne zmarszczki biegły jej koło ust, patrzyła trochę chytrze, a trochę smutnie na księdza dziekana. Wytarła oczy chusteczką drżącymi rękoma i powiedziała ze smutkiem:

— Ach, proszę księdza dziekana, dziesięć świec woskowych dałabym na ołtarz św. Antoniego Padewskiego, żeby mi tylko wrócił tego chłopca. Nie szanuje mnie, nie słucha się nikogo, cały dzień biega po miasteczku, przesiaduje w PGR-ze, lata do fabryki na filmy, w szkole ze wszystkimi się kłóci, z domu czasem coś wyniesie. Futro mi, proszę księdza dziekana, ukradł! I sprzedał na jarmarku!

Zaczęła bezradnie, żałośnie pochlipywać. Ksiądz dziekan patrzył na nią mądrymi, spokojnymi oczyma nauczyciela, znawcy dusz. Powiedział:

— Teraz takie czasy nadeszły, pani Grabińska, że człowiek ugina się pod brzemieniem ponad swoje siły. Pani ma dziecko niesforne, a ja mam wiele takich dzieci, które jak owieczki ścigane przez wilka rozbiegają się, uciekają od pasterza. Grozi im niebezpieczeństwo, czyha na nie ciemny las potępienia wiecznego, doczesnych grzechów, gniewu Pańskiego. I zdarza się nieraz, że jedna zła, parszywa, plugawa owca całe stado do przepaści ciągnie, prowadzi, namawia. Cóż wtedy może zrobić dobry, kochający trzodę pasterz, jak nie usunąć złą owcę. I kąkol, choć stworzenie, choć roślina, zagłusza pszenicę, i gąsienica zniszczy kapustę, jeśli ogrodnik dobry nie zbierze jej palcami z zielonych liści. I szkodnik ogryzie pąki jabłoni, jeśli ogrodnik nie spryska drzewa płynem. Tak w sprawach ludzkich także czujność i troskliwość o wielu musi czasem przesłonić litość nad jednostką.

— Waldka przetrzymała dziś milicja — powiedziała zgnębionym tonem pani Grabińska. — Mówił, że pytali o broń.

— Powiedział im? — spytał ostro ksiądz dziekan.

— Nie.

— Trzeba go trzymać w domu, nie wypuszczać, mili-

cja nie będzie go szukała. Wiedzą, że chłopak narwany. Wysłać go do krewnych.

— Wróci, proszę księdza dziekana.

I nagle pani Grabińska rozplakała się zupełnie, rozmyła się jak kałuża, gdy padną na nią promienie wiosennego słońca. Przycisnęła grubą, włochatą dłoń księdza dziekana do gorących, spieczonych ust i powiedziała szeptem:

— On nas wszystkich wyda! Wszystkich! Podsiadłę, Barczaka, Obłupka, księdza dziekana, matkę, brata! Wszystkich, wszystkich! Zginiemy my wszyscy, zginie Armia, zginie Polska, oni będą rządzić. Ja się strasznie boję. Oni już wydali na niego wyrok!

— Były czasy, proszę pani, gdy sam musiałem wydawać wyroki i wiem, że nie obciążają one sumienia chrześcijańskiego, jeżeli są słuszne — powiedział łagodnie, cicho, zadumany ksiądz dziekan.

— Ale czy Bóg mi przebaczy? Zabić własne dziecko?

— Gdyby można było czekać, aż on coś ukradnie na mieście i milicja zamknie go, to byłoby dobre wyjście z sytuacji, założywszy naturalnie, że Waldek nic nie wygadałby na milicji o organizacji.

— Wygada, proszę księdza dziekana! O, ja nieszczęśliwa matka!

— Gdyby można go było wysłać gdzieś do innego miasteczka, do ciotki albo do bursy.

— Wróci, proszę księdza, to istny diabeł.

— No właśnie! Wróci i przez niego zginie cała owczarnia. Tak, proszę pani, tam, gdzie ma zginąć wielu — już tak zawsze było, jest i będzie — lepiej, żeby zginął jeden człowiek. Gdzie ma paść stado, lepiej, żeby zginęła jedna parszywa owca.

Matka jęknęła z rozpaczą:

— Czy Pan Bóg mi przebaczy? Och, proszę księdza dziekana, czy Pan Bóg mi przebaczy?

— Niech pani spojrzy w swoje sumienie, a znajdzie tam pani odpowiedź. Czy Pan Bóg przebaczy pani nieszczęście całej swej owczarni? Nie ma grzechu tam, gdzie trzeba zabić dla obrony. I komara zabijamy, gdy nam ssie krew z policzka, i muchę przepędzamy z okna i znad talerza z jedzeniem, i z bandytą walczymy, gdy napada na nas na ciemnej drodze, i o wolność z nieprzyjacielem walczymy, świadomym czy nieświadomym, i szczura zabijamy w piwnicy, chociaż on nic nie wienien, że niszczy nam zapasy, a jednak zabijamy dla koniecznej obrony, dla życia, dla większej chwały Pana Boga, bo nam są dane usta do chwalenia Pana Boga, a nie komarowi, nie musze, nie szczurowi, nie bezbożnemu, złemu, krnąbrnemu dzieciakowi. No niech pani sobie nad tym pomyśli i niech pani już idzie.

Pani Grabińska wyszła. Dał wiatr, szła w półśnie jak na skrzydłach. Modliła się przez całą drogę, przed jej oczyma stała zuchowata, wesoła, zaczepna twarz Waldka, który znowu pewnie bawił się w opłotkach, raz gonił z chłopakami szmaciankę na łące pod miasteczkiem, to znów szedł do ZMP-owców w fabryce, to znów wybierał się na jabłka do sadów księdza dziekana, to znów podkradał z domu pieniądze na wódkę, odgrażał się milicją, znikał na parę dni, matki nie szanował, Podsiadły nienawidził. Gdy raz zastał ją z Podsiadłą w łóżku, myślał o ojcu, który zginął w Oświęcimiu. Z nauczycielki się prześmiewał, nie tak jak Wacek (starszy syn), który studiował w Krakowie w gimnazjum, a kiedyś także chadzał z chłopakami na rozboje, dokonywał egzekucji batem, rekwirował, przynosił sumiennie wszystkie pieniądze, przyjaźnił się z Podsiadłą, wykonywał ślepo jego rozkazy, jakby ten był mu ojcem, komendantem, przełożonym. Szła tak pieszcząc w myślach przyszły obraz kariery syna, który może zostanie adwokatem, może będzie inżynierem, może będzie mieszkał w wiel-

kim mieście, miał swoje samochody, swoją fabrykę, a jak wróci dawna Polska, kto wie, może dostanie się na świetną państwową posadę, będzie panem, ochroni matkę przed złymi językami w mieście. I nagle wchodząc przez pegerowski park przystanąła w zadumie: „A jeżeli go wezmą?“ Przyśpieszyła kroku, wbiegła prawie do domu. Obłupek czekał na nią, wydobył bez słowa ołówek i podsunął jej kartkę papieru.

— Niech pani pisze.

Ołówek jej latał po kartce, nie mogła się skupić. Była jeszcze zadyszana, spocona, roztrzęsiona, dłoń jej drżała. Zaczęła pisać, co Obłupek jej dyktował:

„Zgadzam się dla dobra organizacji na usunięcie mojego syna, Waldemara, gdyż zagraża dobru organizacji i Polski.“

Podpisała, postawiła datę i powiedziała cichym głosem:

— Nie męczcie już mnie.

Obłupek nie zdążył jeszcze zwinąć papieru, gdy drzwi się otworzyły i wszedł Waldek. Popatrzył na dwoje ludzi, roześmiał się i krzyknął:

— A u nas to zawsze płacz, żałoba, albo wódka na stole. A niech to diabli wezmą. Wiecie, że dziś w fabryce było wielkie zebranie? Zobowiązali się do współzawodnictwa. Ot, chłopaki morowe, zarobią sobie na święta nielicho. I podarunek dla Stalina nielichy szykują: przebieg parowozu bez bieżącej naprawy. Wiecie: na parowozie będzie portret Stalina; ma ten parowóz przebiec po całej Polsce 120 tysięcy kilometrów bez naprawy bieżącej i bez mycia kotła. Używają sodafosu i w ogóle — dobra rzecz być maszynistą. Chłopaki dostali dzisiaj swoje maszyny, dwie. Sami będą jeździć po Polsce, prowadzić pociągi! Ech, tak by usiąść na parowóz, zagwizdnąć i ruszyć, paaajechali!

Popatrzył zdziwiony, że Obłupek i mamunia stoją

w milczeniu, patrzą na niego bez wyrazu. Wzruszył ramionami i powiedział:

— Mamo, daj co zjeść.

— Zaraz, syneczku — powiedziała mamunia. Podeszła do piecyka, wyciągnęła garnek z jedzeniem, naląła mu na talerz zupy, postawiła na stole, odgarnęła mu włosy z czoła.

— Tylko, synku, ręce umyj.

— Dobra, mamuniu — rzekł Waldek. Umył ręce w miednicy, usiadł i zaczął ze smakiem zapychać się razowym chlebem i zalewać się wspaniałą, gorącą, pachnącą zupą ogórkową.

Ach! Zupa ogórkowa! Najpiękniejsza ze wszystkich zup! Zabelana śmietaną, gotowana na nereczkach, wątróbce i sercu wołowym, drobno pokrajanych, z ogórkami, które jak miód rozplývają się w ustach, pachną jeszcze długo po zjedzeniu, napełniają żołądek przyjaznym ciepłem. Jest zupełnie inna niż wszystkie zupy: nie wytworna jak bulion czy rosół, nie sytna i uboga jak zacierki, nie zbierana z całego świata, ze wszystkich grządek jak zupa jarzynowa, nie postna i jednostajna jak żurek czy kartoflanka. Ach! zupa ogórkowa, najsmaczniejsza ze wszystkich zup, jest wyrazem miłości matczynej, która swemu dziecku chciała ugotować jego ulubioną potrawę. Ilekroć była zupa ogórkowa, wbijał jej trzy talerze, napełniał nią żołądek i prawie nigdy nie raczył spojrzeć na drugie danie. I pomyśleć, że są ludzie, którzy nie lubią zupy ogórkowej. Biedni! Nie zaznali nigdy miłości matczyńskiej, nigdy nie zaznali ciepła rodzinnego domu, inaczej niż Waldek, który nieświadomy uczucia, jakie matka dla niego żywi, zajadał się swoją pogrzebową zupą.

Kiedy Walduś, niesforne dziecko, zajadał się tak zupą, matka zeszła wraz z Obłupkiem do Podsiadły. Pod-

siadło siedział przy stole i zagryzał kielbasę. Popatrzył na wchodzących:

— No?

— Podpisałam — powiedziała zgnębiona Grabińska.

— To dobrze — odpowiedział obojętnie Podsiadło. — Barczaka i jeszcze dwu innych wyznaczyć na dokonanie operacji. Termin trzydniowy. Przez ten czas nie wypuszczać go z domu, powiedzieć, że milicja jest na jego tropie, że się dopytuje o niego. Jak się kapral będzie pytał o niego, powiedzieć, że uciekł z domu; to wszystko. A teraz idźcie, ja muszę coś niecoś napisać. Raport.

— Stasiek — jęknęła pani Grabińska. — Miej ty nade mną zmiłowanie. Trzy dni — to strasznie dużo!

— Trzy dni to strasznie mało — powiedział Podsiadło. — Jak chłopaka wyprowadzisz z domu, jak go przyuczysz, żeby nie uciekł? Będziesz może strzelała na progu, co? Albo ganiała przez ulicę, jak pobiegnie do MO? A może wyciągniesz go ze szkoły, jak zacznie krzyczeć? Trzeba mu powiedzieć, że go szuka MO, żeby się schował, że go gdzie wyprawimy na kilka dni, aż o nim zapomną, a potem wieczorem go się wyprowadzi.

Grabińska wróciła na górę z zamieszeniem w głowie, wzięła dwa proszki, pościeliła synkowi, pocałowała na dobranoc, co Waldek przyjął jako należną mu cześć za to, że go ściga MO, potem wyszła na palcach, ale zamiast pójść do Podsiadły, weszła do swego pokoju, usiadła na krześle pod oknem, za którym chwiała się na wietrze latarnia, i zaczęła cichutko popiskiwać jak mysz stęskniona za lepszym, spokojniejszym życiem, a siedząca pod miotłą, gdy wchodzi do zakrystii kościelny.

Trzy dni to niedużo, minęły jak z bicza trząśł, jak kartkę książki odwrócił. Waldek w dzień siedział w piwnicy, wieczorem spał w swoim łóżku. Przejęty był swoją ważnością, tym, że wszyscy chodzili koło niego ser-

deczni i uśmiechnięci, matka głaskała i całowała go po głowie, pan Podsiadło rozmawiał z nim chętnie, wreszcie powiedział, że pojedzie do niego, do majątku pod Szpotawą, gdzie popracuje przy koniach i przy orce jesiennej traktorami, w PGR-ze. Zobaczy, jak to przyjemnie jest w takim gospodarstwie.

Trzy dni to niewiele, to tylko trzy msze święte, które odprawił ksiądz dziekan, to tylko jedna próba chóru kościelnego, to tylko jedna próba jasełek betlejemskich i jedna jeszcze rozmowa księdza dziekana z Obłupkiem, który przyszedł i powiedział po prostu:

— Ksiądz wspomniał kiedyś, księżę dziekanie, że ma broń.

— Tak, szóstkę, mauzer, mój Obłupku.

— Kiedyś ksiądz nie chciał nam jej pożyczyć.

— Bo myślałem, mój Obłupku, że jesteście dziecienną organizacją. A ja nie mogę mieszać się do poczynañ dzieci, wszakże sam to rozumiesz.

— A teraz ksiądz nam pożyczycy?

— Swojej nie macie, że potrzebujecie mojego cacka? To ładna sztuka, oksydowana.

— Chodzi, proszę księdza dziekana, o Waldka.

— No, mój Obłupku?

— Chłopaki go znają, ciężko im będzie.

— Chwastu nie wydrzesz bez wysiłku ciała i duszy, kamień przy drodze — trzeba się schylić, w pocie czoła pracować będziesz i w udręce duszy. Wszystko, co robimy, mój Obłupku, przynosi nam cierpienie duszy, co wynika z grzechu pierworodnego, jaki popełnili nasi prarodzice.

— Wiem o tym, proszę księdza dziekana, ale byłoby nam lżej ten grzech pierworodny na sobie taskać, gdybyśmy tak mogli dostać szóstkę księdza. Powiem chłopakom, że to od księdza, łatwiej pójdzie.

Ksiądz odsunął z półki grubą książkę, wydobył spoza

niej owinięty w fularową szmatę oksydowany rewolwer i podał go Obłupkowi.

— Wystarasz mi się potem o naboje. Mam ich tylko pięć. A to poręczna sztuczka!

Obłupek cmoknął księdza dziekana w rękaw i wybiegł z plebanii. Ksiądz dziekan westchnął głęboko i zaczął się bezgłośnie modlić za umarłych i konających. Tymczasem Obłupek, naradziwszy się z chłopakami i Waldkiem co do miejsca przechowania go, wprowadził ich tyłem przez podwórze i posłał w ciemność. Wieczór był pochmurny, na niebie przewalały się grube, wełniste obłoki, księżyc wynurzał się co chwilę spod zbałwanionych chmur, oświecał ponurym blaskiem drzewa, które rzucały na drogę głęboki cień, piasek skrzypiał im pod nogami. Przemknęli się przez opłotki. Barczak rzekł:

— Opowiem wam dobry dowcip. Słyszałem go w barze od jednego gościa. Szły drogą wiejską matka i córka, cicho, choć w ucho daj, słyhać szczekanie psów, piasek skrzyp, skrzyp, skrzyp pod nogami, dochodzą do jednej takiej rzeczułki w dolinie koło wsi, a przez rzeczułkę przewalona kładka, trochę zgniła i chybotliwa. Matka wstąpiła na kładkę, kładka się załamała z trzaskiem, matka wpadła do wody. Córka krzyknęła: „Matko, matko, co robisz? Odpowiedz!“ A matka: „Gul, gul, gul.“ Utopiła się, rozumiecie!

Roześmiał się, ale nikt mu nie odpowiedział. Waldek szedł energicznym krokiem, Krężel nie mówił nic, było mu niewygodnie iść, ponieważ miał pod płaszczem krótką łopatę z ułamanym trzonkiem. Milczał, zrezygnowany, myślał o jutrzejszym zadaniu klasowym i czy zda maturę. Nauczycielka, histeryczka trochę, uwzięła się na niego, bo raz ściągał od kolegi zadanie matematyczne. Dała mu dwóję na kwartał, odczuł to jako niesprawiedliwość, gdyż naprawdę umiał. Miał nieprzy-

jemności na kole ZMP, gdzie go potępili jako ściązacza, zakrzyczeli, gdy próbował się bronić, słowem, narazili na pośmiewisko. Czuł żal do całego świata i nie śmiał się nawet z najlepszych dowcipów, chociaż coś w nim rechotało czasem bez powodu.

Doszli. Tor kolejowy skręcał na Kraków, z daleka błyszczały światła parowozowni i widać było sygnały stacji. Z lewej czerniał przy ścieżce nieruchomy, szumiący, czarny, nieprzenikniony las, nad lasem przewalały się z szumem niskie chmury. Kiedy skręcili ze ścieżki, przeszli kilka minut w milczeniu, na przełaj przez miękką ziemię, Barczak powiedział:

— Po co nam iść dalej? Załatwimy to tutaj.

Krężel wyjął rewolwer, nacisnął spust przystawivszy lufę do głowy Waldka. Trzasnął cyngiel, ale rewolwer nie wypalił. Zaciął się.

— Strzelaj, Staszek! — syknął niecierpliwie Krężel.

Barczak pieścił w kieszeni dziekanowskiego mauzera. Odbezpieczył. W tej chwili Waldek się odwrócił i krzyknął cicho:

— O rany, Staszek, co robisz!

Barczak nacisnął cyngiel raz, potem drugi. Huknęły dwa stłumione strzały, Waldek upadł na miękką ziemię, Barczak schował rewolwer do kieszeni i powiedział nieco zdyszany:

— Krężel, dawaj łopatę.

Łopata, jak się rzekło, miała ułamany trzonek, kopali długą chwilę starając się wykopać jak najgłębszy dół. Po godzinie pracy, rozstawiwszy się na czujkach, wykopali dwumetrowy dół. Przeszukawszy kieszenie za piędzmi, które mu matka dała na podróż, ściągnęli z nóg buty, wrzucili ostrożnie ciało twarzą w dół, aby nie zasypywać oczu ziemią, i zaczęli nawalać ziemię i piasek. Zasypali, udeptali, wyrównali z poziomem ziemi, zamaskowali. Padał deszcz i błoto rozmazało się

zarówno na grobie jak i wokoło niego. Wreszcie Krężel powiedział:

— Pomódlmy się za jego duszę. Poszedł przecież na sąd niebieski bez spowiedzi.

Uklękli na suchszej ziemi koło grobu i Krężel zaczął drżącym, przejętym, nabożnym głosem:

— Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie...

— A światłość wiekuista niechaj mu świeci — odpowiedział Barczak. Po czym zmówili trzy Zdrowaś Maria i ruszyli do miasta kryjąc łopatę pod kapotą. Po drodze jeszcze zakopali buty i podzielili się pieniędzmi. Barczak poszedł do domu Grabińskiej. Siedzieli przy kolacji. Irki nie było, nie wróciła jeszcze z kursów, więc Grabińska zeszła na dół do Podsiadły, który popijał wódkę. Miała straszne, podkrążone oczy, patrzyła nieprzytomnie, ręce jej się trzęsły. „Rozlazła się baba — pomyślał ze wstrętem Barczak — trzeba ją będzie wziąć w karby, bo nam bigosu narobi.“

— Dajcie mi wódki — powiedziała i skierowała pytające spojrzenie na Barczaka. Ten uśmiechnął się niepewnie.

— Krężel poszedł z meldunkiem do Gajosa — powiedział.

— Załatwione? — zapytał obojętnie Podsiadło.

— Załatwione — odpowiedział Barczak.

— Dajcie mi wódki — powiedziała pani Grabińska.

Podsiadło nalał. Grabińska wypila, wytarła rękawem usta i zakąsiła ogórkiem. Jedli w milczeniu, z ulicy dochodził tylko szum wiatru.

— To ja idę spać — powiedział Barczak.

— Oddaj pistolet Oblupkowi, trzeba będzie księdzu odnieść.

— Dajcie mi wódki — powiedziała Grabińska.

Podsiadło jej nalał kieliszek z czubem. Nadpiła ze stołu i wlała resztę do gardła. Zakąsiła ogórkiem.

— No to teraz weźmy się do roboty. Nikt nas już nie wsypie; trzeba będzie rozwinąć akcję, zacząć przygotowywać naszą Polskę.

— Czy mi Pan Bóg przebaczy? — zapytała bezmyślnie pani Grabińska.

Podsiadło uśmiechnął się i klepnął ją po ramieniu.

— A co ksiądz powiedział?

— Ksiądz powiedział, że nikt nie może wiedzieć, czy Pan Bóg przebaczy. Ale lepiej, żeby ginął jeden, niż żeby szło wielu na stracenie.

— No, właśnie! Mądry ksiądz, zawsze to mówiłem!

Barczak wyszedł, a Podsiadło powiedział:

— Dosyć tego gadania i picia. Pościel mi łóżko.

Grabińska wstała, posłała mu łóżko, przyćmiła lampkę na stoliku, zasunęła firanki. Podsiadło zaczął się rozbierać i powiedział do niej:

— Rozbieraj się.

*

Sala szpitalna była czystotka i bielutka, przez zasłonięte muślinową firanką okno wpływało na posadzkę łagodne jesienne słońce i kładło się na czerwone linoleum jak płomienne liście buku. Zegar cichutko tykał na stoliczku, dziecko leżało dalej, a Anna w półśnie myślała o Pawle, który teraz gdzieś łązi po świecie, przysyła jej tylko depesze i czeka, kiedy będzie mógł się wyrwać i ją odwiedzić. Była osłabiona, blada i wychudła, lecz dumna, że przetrwała ciężką operację, że ma dziecko. Przepędzała ją miłość. Leżąc w półśnie snuła plany na przyszłość, tęskniła do zimy, która teraz nadejdzie, i do pogodnej wiosny, i do gorącego lata, gdy będzie chodziła z małym na spacer po miasteczku. Potem może Paweł pojedzie na kurs do wojewódzkiego komitetu, będzie dojrzewał w robocie par-

tyjnej, powstaną w miasteczku wielkie warsztaty kolejowe, nie będzie wieczorami już tak strasznie ciemno i ludzie będą inni, będą radować się życiem, będzie dużo cukru i dużo tkanin, i ziemia będzie dawała dużo zboża i buraków, i w PGR-ze zorganizuje się wzorowe uczelnie dla chłopów, kursy samokształceniowe, zespoły mierzurynowskie, będziemy przynosić doświadczenia radzieckie na nasz grunt, hodować rośliny sprowadzone stamtąd, przystosowywać je do naszej gleby, budować w miasteczku przedszkole, porządne, piękne przedszkole, gdzie będzie mogło chodzić jej dziecko i inne dzieci, a potem położymy asfalt na ulicach, zrobimy ze Szpotawy agro-miasto, promieniujące na sąsiednie spółdzielnie i PGR-y, centrum życia, stolicę powiatu. Będą prze-walały się przez linię kolejową wielkie transporty węgla na Nową Hutę, będą szły towary, będą powstawały drogi, ludzie, synowie chłopscy, będą szli do szkoły mechanicznej, do parowozowni, do cegielni, do szamotowej fabryki i dalej drogami w świat, do Warszawy, Zagłębia, na Śląsk, na Mazury, w Szczecińskie. Nagle urwała rozmyślenia. Słysząc było kroki na korytarzu. Ktoś stanął przed drzwiami.

— Paweł — szepnęła cicho Anna i uśmiechając się wzięła dziecko w ramiona. Syn spał, nakarmiony i zadowolony.

Drzwi się otworzyły i Anna szeroko otwartymi oczami ujrzała w nich towarzyszy z komitetu powiatowego. Mieli poważny wyraz twarzy, na rękawach czarne opaski, przynieśli bukiet kwiatów. Przez chwilę patrzyli na nią w milczeniu. Anna zrozumiała.

— Kiedy to się stało? — zapytała cicho.

— Gdy odstawiliśmy was do szpitala — powiedział Adam.

— To znaczy, że...

— Musieliście mieć spokój, nie wolno wam się denerwować.

Anna zaczęła płakać. Płakała bezgłośnie, nie wstrzymując łez. Dziecko się obudziło.

— Syn — powiedziała Anna i rozplakała się kryjąc twarz w poduszkę.

*

Ksiądz dobrodziej jechał do Kielc, do biskupa. W miasteczku nastąpiły groźne aresztowania; cała banda wsypała się. Nie wiadomo było, kogo wezmą jutro — nikt nie mógł się ruszać bezpiecznie. Chór kościelny, piękny, wyćwiczony chór, ozdoba nabożeństwa niedzielnego, został zdekompletowany. Siedział Obłuppek, siedział Podsiadło, posadzili panią Grabińską. Znaleźli broń, całe miasteczko zaczęło mówić, że banda bandą, a podobno jeden ksiądz wydawał wyroki, tylko nie wiadomo, który. Słowem, ksiądz dziekan dobrodziej postanowił jechać do Kielc. Jeszcze z rana odprawił mszę świętą i krzywił się na jej wspomnienie. Kościół był pusty, kiedy wszedł z ministrantem do prezbiterium. Podczas podniesienia odwrócił się od ołtarza, aby kielichem pobłogosławić kościół, i ujrzał wtedy stojącą koło bariery Irkę Grabińską — patrzyła na niego płonąącym, wrogim spojrzeniem. Opuścił kielich i powiedział:

— *Ite missa est!*

Wtedy Irka odwróciła się, twarzą, nie dziewczęcym krokiem przeszła przez pusty kościół, otworzyła wielkie drzwi na dwór, wyszła z kościoła i z łoskotem, który rozbrzmiał pod sklepieniem kościółka i zagłuszył słowa księdza dobrodzieja, zatrzasnęła je bezpowrotnie za sobą. „Jeszcze jedna duszyczka odeszła od łona matki swej, kościoła“ — dumiał smętnie ksiądz dobrodziej.

w drodze do Kielc. Myślał, co powie biskupowi. Wprawdzie poróżnili się kiedyś o świadków Jehowy, gdyż biskup nie mógł zrozumieć delikatnego położenia księdza dobrodzieja w miasteczku, niemniej jednak nie odmówi mu pomocy jak tamtym razem, gdy zameldował mu o bandzie i o swoich dysputach z bandą „Armii Polskiej“. Biskup na pewno zabierze go z tej plebanii i przeniesie na inną robotę, na inną plebanię. Trzeba będzie od nowa wymyślać jakiś cudowny obraz, trzeba będzie znowu remontować plebanię, podnosić jej świetność, zaznajamiać się z parafianami, ogrodzić cmentarz. Ksiądz dobrodziej już zaczynał tęsknić do wielkiej pracy organizacyjnej, takiej, w której mógłby rozwinąć skrzydła jak ptak, który pnie się do słońca i tylko cień rzuca na ziemię. Może uda mu się pójść na profesora Uniwersytetu Warszawskiego, co od tak dawna ma obiecane? Tak myśląc i zaglądając czasem do brewiarza, a czasem do torby, gdzie przezorna gosposia włożyła księdzu dobrodziejowi bułeczki z masłem i miodkiem, nasz ksiądz dziekan przybył do Kielc i skierował się do kurii biskupiej. Szedł tak zamyślony, że nie spostrzegł, gdy go jakiś młodzieniec ujął delikatnie za rękę. Ksiądz dziekan zatrzymał się, zdziwiony. Młodzieniec powiedział:

— Zdaje się, ksiądz dziekan Obora?

— Tak, proszę pana — odpowiedział Obora.

— Może ksiądz będzie łaskaw — rzekł młodzieniec i wskazał mu samochód, który czekał kilka kroków dalej.

Ksiądz obejrzał się.

— Czy jestem zatrzymany? — zapytał.

— Tak — odpowiedział twardo młodzieniec.

Wsiedli i pojechali. Ksiądz w milczeniu dumał i przemyślał. Nie na wiele mu to się zdało. Nazajutrz wszedłszy do kancelarii zobaczył oficera śledczego. Był

to ten sam młody człowiek, który niegdyś rysował za-
bytek kościelny w Szpotawie.

— Może ksiądz zechce mi udzielić kilku wyjaśnień
dotyczących roli księdza w bandzie AP i zamordowaniu
Waldemara Grabińskiego.

— Udzielić wyjaśnień? Panu? — zdumiał się ksiądz.
Młodzieniec poruszył się na krześle i powiedział:

— Nie mnie, narodowi!

A kiedy ksiądz dziekan milczał, rzekł:

— Ciężko, prawda, popatrzeć w twarz narodowi, kie-
dy maczało się ręce w krwi dzieci. No, to ja księdzu
pomogę. Zaczniemy od początku. Jak to było, kiedy
Obłupek przyszedł do księdza dziekana?

*

Historia, którą tutaj opowiedziałem, osnuta jest na
tle procesu wolbromskiego, który toczył się w Krako-
wie. Irka nie chciała zeznawać, była już wtedy fachow-
cem, uczyła się...

ZABAWA Z WÓDKĄ

Trzej faceci — jeden tęgi i mały, odziany w kraciasty płaszcz i takąż cyklistówkę nasuniętą na czoło, drugi wysoki, w czarnym palcie z oberwanym kołnierzem i w sportowych spodniach, trzeci przygarbiony, w kuskym kożuszkę podbitym futerkiem i z książką pod pachą — przeszli na ukos przez szeroką, oświetloną nowymi latarniami ulicę i klnąc najgorszymi wyrazami zawięję, błoto i deszcz skręcili w ciemny zaułek między kałuże, wyboje i gruzy. Jakiś czas brnęli w milczeniu, pociągając nosami i rozgniatając z mlaskaniem rzadką maź, wreszcie wyleźli na suchszy grunt i ominąwszy czerniejący koło chodnika samochód z wygaszonymi światłami, otoczony przez ciekawych chłopców, jeden po drugim wsunęli się w otwarte drzwi Domu Kultury i weszli do świetlicy. W świetlicy na ścianach wisały portrety Marksa, Engelsa i Bieruta, wiele ilustrowanych gazetek ściennych oraz wąskie paski z postępowymi hasłami. Poza tym od sufitu aż do podłogi zwisały wzdłuż ścian papierowe czerwone wstęgi, zmarszczone od starości. Pod ścianami na ławach kuliło się kilkoro rozspanych od gorąca dzieci, siedziało parę milczących matek z niemowlętami na łonie, a także kręcili się młodzi chłopcy i chichoczące dziewczęta. Zza drzwi

słysząc było hałas z bufetu na półpiętrze, tupot okutych butów po schodach, śmiechy, piski i nawoływania.

— Spóźnili się panowie o pół godziny — powiedziała kierowniczką zabawy z białą kokardką przy panińskim kołnierzyku. Widać było z rumieńców, że zabawa podnieciła ją i odmłodziła.

— Przecież orkiestry jeszcze nie ma — powiedział tęgi facet w kraciatym płaszczu.

Samotny ksiądz przechadzał się środkiem pustej świetlicy podciągając dłońmi sutannę i wysuwając spod niej czubki lśniących kamasy starał się stawiać stopy wzdłuż jednej deski.

— Mielicie, panowie, wystąpić przed orkiestrą — powiedziała z wyrzutem kierowniczką zabawy.

— Ludzie poszli na wódkę? — zapytał wysoki facet w czarnym palcie. Przyglądał się uważnie scenie, na której stał goły stół i dwa składane krzeselka.

— Ludzie poszli na wódkę — powiedziała kierowniczką zabawy. Mali chłopcy, pokrzykując i szturchając się, przez otwarte drzwi wciągnęli do świetlicy wielkie ławy i ustawili je przed sceną.

— Nie mogliśmy znaleźć drogi w ciemnościach — powiedział facet w kraciatym płaszczu, pokazując ochlapane spodnie.

— Do nas nikt nie może znaleźć drogi, a parafianie wódkę piją — powiedział ksiądz przechodząc sztywno wzdłuż jednej deski.

— To może by lepiej dać spokój? — zapytał przygarbiony facet w kusym kożuszku, z książką pod pachą.

— Nie widzicie, panowie, że kazałam już ławki wnosić? — zapytała kierowniczką zabawy.

Między ławkami chłopcy bawili się w berka. Kobiety z niemowlętami zajęły miejsca w pierwszym rzędzie i przegoniły chłopców.

Trzej faceci odeszli w kąć świetlicy, pod gazetkę „Służby Polsce“, aby się naradzić.

— Słuchajcie no, towarzyszu redaktorze, co ja u Boga Ojca mogę tym ludziom powiedzieć? — zapytał ze zniecierpliwieniem facet w kusym kożuszku ogarniając oczyma salę, na którą wchodzili kupami młodzi robotnicy i ustawiali się pod ścianami. Dziewczęta sadowiły się wygodnie na ławach, kładąc torebki na kolanach. Samotny ksiądz nie przerywał przechadzki wzdłuż jednej deski, chodził teraz między rzędami ławek. Ponieważ facet w kusym kożuszku był krótkowzroczny, więc kolorowe plakaty na ścianach, postacie czarnych mężczyzn pod drzwiami, barwne, zarumienione dziewczęta widział niewyraźnie jak po pijaństwie.

— Rzeczywiście, oni przyszli tutaj zabawić się, po tańczyć, popić, a nie kazania słuchać ani dyskutować z nami — powiedział facet w czarnym palcie.

— Co, do jasnej Anielki, a ty byś zaraz chciał z nimi o egzystencjonalizmie i socrealizmie? Mogliście, towarzyszu, na hucie klócić się z robotnikami o *Quo Vadis*, mogliście na konferencji gadać o bibliotece, której nie mają, to tu mówcie o wódce! To także należy do kultury! — powiedział ze śmiechem facet w kraciastym płaszczu, redaktor miejscowego dziennika partyjnego.

— Można raz tak spróbować — zgodził się facet w czarnym palcie.

— Nie zachowujcie się jak stara aktorka, tylko idźcie, towarzyszu, na scenę, bo publiczności więcej się nie zbierze — rzekł redaktor do faceta z książką i klepnął go poufale po kożuszku.

— Prosimy — powiedział przechodząc ksiądz i usiadłszy na ławie wśród dzieci, oglądał z ciekawością gazetkę, jakby ją widział po raz pierwszy.

Dwaj faceci zrzucili — jeden swoje czarne palto z oberwanym kołnierzem, drugi swój kożuszek —

i wspięli się po schodkach na scenę. Facet z książką usiadł za stołem i położył przed sobą książkę. Poeta mocno ujął spoconą dłonią kant stołu i zmrużywszy oczy przed światłem, które go na chwilę oślepiło, powiedział kilka słów o facecie, który siedział za stołem, chwając sobie jego twórczość literacką oraz zawiadamiając o tym, co ten przyjezdny literat napisał. Potem rozejrzał się po świetlicy i zapytał, czy ktoś na sali czytał książki znanego literata albo słyszał od kogoś drugiego jego nazwisko. Nikt nie czytał, nikt nie słyszał, wszyscy czekali, co będzie dalej.

— No dobrze, to się poznamy, obywatele — rzekł przyjezdny facet podnosząc się z za stołu i zagryzając wargę ze zdenerwowania. Wsadził ręce do kieszeni marynarki i nogą odsunął krzesło aż pod ścianę. — Ja także nie wiedziałem, że wy zasypujecie piaskiem bagno pod stację rozrządową, że także przekraczacie plan, nie wiedziałem, że macie własny Dom Kultury i zabawy z wódką w tym domu.

— Dom przed miesiącem założyli, a wódkę wczoraj rano przywieźli dla tych chłopaków — odezwała się dziewczyna z tylnej ławki. Mężczyźni pod drzwiami roześmieli się na głos.

— No, dobrze — powiedział przyjezdny facet gryząc do krwi wargę. Wziął książkę ze stołu i przeczytał z niej ze staranną dykcją jedno niedługie opowiadanie a potem kilka wierszy z kartki, którą wyciągnął z kieszeni. Potem powiedział:

— A teraz chciałem pogadać z wami o tym, co przeczytałem albo — jeżeli ktoś z was zechce — pomówimy o książkach, które przeczytaliście i które się wam podobały, lub też zastanowimy się razem, jakie książki należy pisać, żeby wam się podobały. No, kto powie pierwszy?

— Ja powiem pierwszy — powiedział młody ksiądz

i przepchał się między ławkami do sceny. Chwilę się namyślał, patrzył kiwając głową na twarze ludzi, po czym powiedział donośnym głosem:

— Kochani parafianie! Bracia! Siostry! Uderzmy się pokornie w piersi! Nauczył nas podły, zdradziecki okupant pić wódkę i wszyscy my teraz, bracia i siostry w Chrystusie, wszyscy teraz pijemy wódkę! Natura ludzka jest taka słaba, a pokusa taka potężna! Ale, drodzy parafianie, gdybyż na tym zło poprzestało! Lecz na naszym przedmieściu, na które tam z miasta machają tylko ręką — burdy się dzieją, bijatyki i orgie! Przejść, przejechać spokojnie nie sposób! I chociaż nie zaprosiliście mnie na poświęcenie tego waszego Domu, sam — jak widzicie — do was przyjechałem i mówię wam, że winniśmy wielką wdzięczność szanownemu autorowi za to, że przychodzi do nas, że pomaga nam zapomnieć o tych burdach za pomocą tego, co tak ładnie nam wszystkim czytał. Bo cóż znaczą wasze pieniądze i wasze dokonania w pracy, jeśli dobre imię stracie? Jeśli zniesławicie imię polskiego i chrześcijańskiego robotnika? Pamiętajcie, że robotnik najpierw powinien pilnować swego honoru i kroczyć niezłomnie pod sztandarem cnoty, drodzy bracia i siostry, pod sztandarem...

— Czerwonym, bo na nim robotników krew — rzucił ze sceny przyjezdny facet podnosząc się z krzesła. Na chwilę zapanowała cisza, którą przerwał młody ksiądz wycierając hałaśliwie nos.

— Nie będę się sprzeczał z szanownym autorem w tej smutnej materii — powiedział zniżając głos. — Chciałem tylko podziękować szanownemu autorowi i jego kolegom, że raczyli zająć aż do nas, że przybyli na nasze przedmieście, o które nikt...

— O, przepraszam wielebny ksiądz proboszcza — przerwał ze złością przyjezdny facet podchodząc do skraju sceny. — Nie przyszliśmy tu ze swojej łaski, ale

z obowiązku i będziemy tu przychodzili coraz częściej, aż zostaniemy na zawsze. Dziesiątki naszych kolegów, wielkich, sławnych poetów i nieznanych młodych literatów, codziennie w całej Polsce rozmawia z tysiącami robotników w świetlicach, na fabrykach, w kopalniach, z chłopami w gminach, z nauczycielami w szkołach, codziennie pyta ich, jakich książek im potrzeba, jakich wierszy, jakiej muzyki, codziennie czyta im swoje piosenki i opowiadania, codziennie uczy ich, jak rozumieć i jak kochać książkę i codziennie sami uczą się od nich — od robotników, od chłopów, od inteligentów — jak pisać, żeby być rozumianym, o czym pisać, żeby być kochanym. Prawda, jedni czytają swoje wiersze tysiącom przodowników pracy, którzy słuchają ich ze wzruszeniem i z dumą, inni — jak my tu z wami — muszą użerać się z ludźmi, którym śpieszy się do zabawy z wódką.

— A pan byś nie napił się z naszym księdzem proboszczem? — zapytał mężczyzna pod drzwiami. Inni roześmieli się na głos. Przyjezdny facet zamrugał krótkowzrocznymi oczyma. W zapoconym świetle mężczyźni, dziewczęta, dzieci i plakaty zlewały się w oleistą kałużę. Uderzył pięścią w stół i powiedział z gniewem:

— Więc co? Więc wy myślicie, że wam na to do śmierci będziemy pozwalać? Ja wiem, że dzisiejsza wasza zabawa to nie jest ostatnia zabawa z wódką, ale mówię wam, obywatele, i wierzę w to, co mówię, i razem ze mną wierzą miliony ludzi w Polsce — że nadejdzie taki dzień, kiedy zakończy się tu ostatnia zabawa z wódką, kiedy przyjdziecie do Domu Kultury nie na wódkę, ale po pismo ilustrowane, nie na wódkę, ale po książkę, nie na wódkę, ale na dobrą muzykę, nie na wódkę, ale na wieczór literacki. I wtedy będziemy gadać sobie o literaturze, o bibliotekach — tak jak gadamy o tym teraz z waszymi kolegami na hucie, w elek-

trowni, u kolejarzy — i wtedy powiecie nam, jakich książek chcecie, czego żądacie od pisarzy, czego musicie się nauczyć. Może wam się to nie spodoba? Może niektóry z was nie zechce wziąć książki do ręki, wydać paru złotych na dobry teatr, posłuchać radia? Obywatele, zmuszą was do tego! My jeszcze teraz uprawiamy słabą partyzantkę kulturalną, ale po nas przyjdą inni, będą was przekonywać, będą wam tłumaczyć, zanoszą wam książkę do domu, wstawią radio do świetlicy, przyjdą z filmem, przyjdą z muzyką, przyjdą z dyskusją, pomogą wam zrozumieć, co i dlaczego dzieje się na świecie. Oni was zmuszą do kultury! Wasz kolega, który się pilnie uczy i więcej przez to zarabia, zmusi was do kultury! Wasza żona, wasza narzeczona, która się będzie wstydziła pijaka i analfabety, zmusi was do kultury! Nie dacie rady! Za nami i za nimi stoi zorganizowana polska klasa robotnicza, za nami i za nimi stoją setki milionów ludzi, którzy jak świat długi i szeroki walczą o chleb, wolność i oświatę. A kto stoi za waszą zabawą z wódką? Odpowiedzcie, obywatele!

Na chwilę zapanowała cisza. Potem zaklaskały kobiety i przyjezdny facet zabrał książkę ze stołu i zeskoczył ze sceny. Mężczyźni otworzyli drzwi na korytarz i do sali wraz z krzykiem i hałasem z półpiętra wdarł się podmuch świeżego powietrza pachnącego deszczem. Przepychając się przez tłum weszła do sali orkiestra i zaczęła próbować na scenie instrumenty. Trzej faceci założyli na siebie — jeden kraciasty płaszcz, drugi czarne palto z oberwanym kołnierzem, trzeci kusy kożuszek podbity futerkiem, pożegnali się z kierowniczką zabawy, wyszli ze świetlicy, wysunęli się jeden za drugim z Domu Kultury i ominąwszy czerniejący koło chodnika samochód z wygaszonymi światłami, otoczony przez grupę apatycznych dzieci, zeszli z suchego gruntu w błoto. Jakiś czas brnęli w milczeniu, pociągając

nosami i rozgniatając z mlaskaniem rzadką maź, oświetleni z tyłu latarniami przedzierającego się z trudem przez wyboje samochodu, w którym siedział skulony ksiądz.

— Specjalnie dla nas przyjechał — rzekł facet w czarnym palcie z oberwanym kołnierzem.

— Był pijany na sto dwa — odrzekł facet w kraciastym płaszczu i cyklistówce.

— Ale, dajcie spokój, towarzyszu redaktorze, nie każdy ksiądz musi być zaraz pijany — powiedział przyjezdny facet w kusym kożuszku.

— Mnie wystarczy raz popatrzeć, mam wprawę — powiedział redaktor. Zwolnił kroku i osłaniając kołnierzem twarz przed wiatrem usiłował zapalić papierosa.

— Poza tym było go czuć wódką — rzekł zaciągając się dymem.

— No, dobrze, i co wyszło z tego? — zapytał z powątpiewaniem przyjezdny facet. — Przyszliśmy po błocie i co zostało? Błoto. Partyzantką nic nie zdziałacie, towarzyszu redaktorze!

— Powinieneś coś o tym napisać — rzekł facet w czarnym palcie. — Tobie łatwiej, bo jesteś prozaik. Wiesz sam, co my, poeci...

— A co ja? — powiedział niechętnie przyjezdny facet wciągając głębiej kusy kożuszek. — Umiem robić koronki, ty mi każesz bułki piec. Sam wiesz, jak to jest — inna forma, inny temat, inni ludzie. Trzeba się na nowo fachu nauczyć, porzucić to, co zaczęte... Wiesz sam, że to trudno... Trzeba czasu, sił, chęci... Może kiedyś, jak się uzbiera.

Facet w kraciastym płaszczu i cyklistówce nasuniętej na czoło zatrzymał się na drodze i chwycił ich mocno za rękę.

— Zmuszą was, obywatele! — zawołał ze śmiechem. — Jeszcze rok, jeszcze dwa, a przyjdziemy do

was z nowymi ludźmi! Dla nich będziecie pisać! Nie pozwolimy wam robić tego, do czego was przyzwyczaili! Każemy wam tworzyć nową kulturę! Może wam się to nie spodoba? Za nami stoi polska klasa robotnicza, za nami stoją miliony ludzi, którzy na całym świecie walczą o chleb, wolność i oświatę. A kto stoi za waszą zabawą z kulturą? Odpowiedzcie, obywatele!

Trzej faceci — jeden w kraciatym płaszczu i cyklistówce, redaktor miejscowego dziennika partyjnego, drugi — poeta w czarnym palcie z oberwanym kołnierzem, trzeci — przyjezdny literat w kusym kożuszku z książką pod pachą — roześmieli się na cały głos i wzajemnie sobie pomagając oraz klnąc najgorszymi wyrazami zawieję, błoto i deszcz zaczęli się przedierać przez kałuże, wyboje i gruzy ku szerokiej ulicy oświetlonej nowymi latarniami.

MUZYKA W HERZENBURGU

*Profesorowi Wiktorowi Klemperer
na pamiątkę rozmowy o pokoju.*

I

Muszę się przyznać, że do Herzenburga jechałem z pewną niechęcią zmieszaną z zaciekawieniem. Czegóż mogłem się dowiedzieć w małym miasteczku z renesansu, ukrytym wśród żyznych wzgórz, zajmującym się sadownictwem i ogrodnictwem? W którym młodzież albo sadi jabłonie i buraki, albo — uprawia muzykę? Bez wielkiego przemyśłu, nie ruszonym przez wojnę, żyjącym sadzonkami i Bachem? I jeszcze ta granica stref! Sięgnąć ręką — i jest się w Niemczech zachodnich. Zachodnich to znaczy sfaszyzowanych.

— Zobaczysz — mówił do mnie mój przyjaciel z berlińskiej grupy młodzieży, który znał robotę młodzieżową w Herzenburgu — że przeżyjesz emocje. Chcesz wiedzieć, jak się walczy o Niemcy? O nowe, demokratyczne Niemcy? Jak się wyplenia hitleryzm? Jedź do małych miasteczek, słuchaj ludzi. Zagląдай na wieś, patrz, jak osiedleńcy budują nowe domy, notuj, co mówią, nie bój się skarg. Ciężko im, jak hybrydom Miczurina, nie zaaklimatyzowali się jeszcze w demokracji. A mały Herzenburg! No, cóż? Elementu robotniczego mało, emeryci, biurokraci, w najlepszym razie ogrodnicy — słowem inteligencja muzykalna. Wśród ludności większość przesiedleńców zza Odry i Nysy. Wciąż wmawiają im z Zachodu, że lada dzień wrócą do siebie i będą

używać Polaków jako parobków. Jedni nie wierzą, wzięli się do roboty i sadzą drzewa, żenią się, dorabiają się, żyją, drudzy siedzą koło walizek, grają wieczorami na klarnetach i czekają na wojnę. Z muzyką, bracie, u nas źle.

— Zwłaszcza z Chopinem — ciągnął dalej — bo Chopin, uważasz, był Polakiem. Ale mogę cię pocieszyć: mówią, że ten konkurs im się naprawdę udał. Słyszałem nawet, że do Herzenburga ma przyjechać profesor Heinrich Q. — Wygłasza teraz cykl odczytów o pokoju po całej Saksonii. Nigdy nie słyszałeś o profesorze Heinrichu Q.?

II

— Musisz poznać profesora! To wielki filolog niemiecki, Żyd z pochodzenia. Mówię Żyd nie dlatego, że dziwię się, iż wśród hitlerowców dożył do końca wojny. Widzisz, profesor Heinrich Q. pochodzi ze starej, rodzinnej niemieckiej, odgrywał pewną rolę w partii liberalnej za Wilhelma II. Dopiero hitlerowcy uświadomili go, że jest Żydem. Przejął się tym głęboko. Gdybyś przeczytał jego pamiętnik z tych czasów! (Wstał zza biurka, sięgnął do szafy i wydobywszy oprawioną w karton książkę wsunął mi ją w ręce ze słowami: „Weź na drogę, nie pożałujesz.“)

— To jedno z najciekawszych studiów o hitleryzmie. Jak wszyscy filologowie miał on wyostrzony zmysł spostrzegawczości na wszelkie zmiany językowe, reagował na życie języka jak inni na pogodę. I nie fakty polityczne, nie bojówki hitlerowskie, nie marsz z pochodniami przez Bramę Brandenburską, lecz wynaturzenie języka zwróciło mu uwagę na niebezpieczeństwo faszyzmu i nauczyło go patrzeć na świat oczyma polityka. Pozbawiony katedry, obrabowany z rękopisów i nota-

tek, bojkotowany przez kolegów i wydawców, zaczął jeszcze w roku 1933 prowadzić katalog wyrażenia faszystowskich, w którym notował postępy zatrucia umysłu narodu plugawym i nedorzecznym bełkotem hitlerowskim. Była to jedyna dostępna mu forma pracy naukowej. Nie chciał przeżyć tych lat bezpłodnie. Wiesz, Żydom nie wolno było czytać książek ani gazet aryjskich. Żydowskie — co innego. Tych nie wolno było czytać aryjczykom. Zabawne, gdyż żona profesora była rodowitą Niemką, „nordycką aryjką“. Wolno mu było dzielić z nią łóżko, ale nie lekturę. Udało mu się jednak ocalić część swego księgozbioru. Nakleił na grzbietach książek kartki z pełnymi imionami klasyków niemieckich. O Heinem gestapowcy wiedzieli, że jest Żydem, Lessing ocalał bez zabiegów — imię Ephraim brzmiało dostatecznie po żydowsku, to samo z Mosesem Mendelsohnem. Ale już pod monografią Gundolfa o Szekspirze musiał dopisać „Israel Rudolf Gundolf“; dzięki doczepionemu imieniu Israel ocalał piękny portret pędzla Maxa Liebermanna. Aryjska żona dostarczała mu książek z czytelnicy i wypożyczalni. Rzecz zrozumiała — jedynie literaturę hitlerowską. Profesor ją pochłaniał kontynuując studia. Nie było to zupełnie bezpieczne: podczas jednej z rewizji znaleziono u niego Rosenberga *Mit XX wieku* i rozbito mu tę książkę na głowie. „Jak Żyd ośmiela się czytać takie dzieło?! — odezwał się SS-mann. — Tak, jakby Judasz czytał Ewangelię!“ Z tej lektury profesor Heinrich Q. gromadził notatki uzupełniając je rozmowami w fabryce, słuchając radia, czytając ukradkiem gazety. Pracował w wytwórni torebek jako klejarz, przysłuchiwał się pogawędkom „aryjczyków“ — robotników i majstrów, śledząc u nich stopień zadżumienia gwarą hitlerowską. Z kostycznym humorem dostrzegał to samo u swych przyjaciół Żydów. Czy możesz sobie wyobrazić, że dla niego klęska pod Stalin-

gradem stała się rzeczywistością dopiero wtedy, gdy odbiła się w pieśni SS? Przed Stalingradem osławiony szlagier trupich czaszek głosił, że:

dziś do nas należą Niemcy,
a jutro cały świat!

Po Stalingradzie profesor przechodząc ulicami Drezna (Żydom nie wolno było jeździć tramwajami) usłyszał, jak maszerująca kompania SS śpiewa:

I dzisiaj nas słyszą Niemcy,
a jutro cały świat!

„Wojna chyli się ku końcowi — powiedział wróciwszy do domu. — Ciekawym, czy przeżyjemy?“

Nasze rodziny bardzo się przyjaźniły, ale rozumiesz, za hitleryzmu mój ojciec nie bardzo chętnie wspominał Heinricha Q. Chociaż niejednen kufel piwa wypili razem w uniwersyteckiej restauracji. Ostatni raz podczas wojny widziałem profesora, gdy szedł do fabryki. Był zgarbiony, miał gwiazdę naszytą na marynarce. Jako męża „aryjki“ nie wywieziono go ani do Teresienstadt, ani do Auschwitz. Mieszkał z grupką „mieszkańców“ w specjalnym domu, pół-więzieniu, pół-obozie. Chciałem dojść do niego na ulicy, gdy nagle zza zakrętu wyjechało auto pełne młodych Hitlerjugend. Jeden z nich wychylił się i krzyknął coś w stronę profesora. Ten skulił się i zakrył twarz rękoma. Stał pod murem i dopiero gdy auto znikło między domami, powoli poszedł dalej. Widzisz, w aucie siedział mój przyjaciel, Heinz Lohner.

To także cała historia! Zналиśmy się od dziecka, razem bawiliśmy się w Indian w ogrodzie profesora, potem byłem z nim razem w jednej kompanii na froncie wschodnim. Tyle tylko, że ja byłem szeregowcem, on zaś — porucznikiem. Ja w lipcu 41 przeszedłem linię

frontu i służyłem potem w Armii Czerwonej, on zapewne był posłuszny do końca. Prawdziwy junkier z tradycjami. Syn pastora, który był synem oficera, który był synem pastora — i tak przez parę pokoleń. Mówiło się w naszej rodzinie, że jego matka była postępową. Miała wielki sklep kolonialny w śródmieściu, ale sympatyzowała z socjaldemokratami. Czytała wolnomyślne książki, ale syna wychowywała na patriotę, jak ojciec-pastor i jak dziadek-oficer. Skończyliśmy z nim gimnazjum w 1939 i jesienią ja poszedłem do służby budowlanej, a jego matka posłała na ochotnika do wojska. Heinz był wściekły, kiedy mi opowiadał o tym wszystkim. Wyobraź sobie, że przedtem poszła się poradzić starego profesora. Był wieczór, kiedy zameldowawszy się portierowi, weszła na ciemne schody i zadzwoniła. Otworzył jej sam profesor, gdyż żona już spała. „Profesorze — powiedziała tamta — mój syn idzie do wojska. Jestem dłużna pamięci jego ojca. On nie ma powołania duchownego. On — jest nowego ducha.“ „Wiem — odpowiedział profesor — i życzę mu, żeby w tym duchu nie zwyciężył. A pani wie, co będzie, jeśli nie zwycięży? — Odwrócił się do starej kobiety i popatrzył na nią ironicznymi, mądrymi oczyma. — Polegnie. I to mówię ja, przyjaciel waszego domu.“ „Jak pan śmie — Żydzie!“ — krzyknęła pani Lohner i z płaczem wybiegła z mieszkania profesora. Profesor zamknął za nią drzwi, podszedł do okna, za którym jaśniały światła pięknego Drezna, bielily się ściany pałaców, czarne drzewa, oświetlone żółtymi lampami, wznosiły się ku niebu. Tramwaje sunęły cicho po jezdni i krzyżowały się reflektory aut. W parku miejskim kręciły się diabelskie młyny i karuzele, migocąc kolorowymi lampkami. Przez otwarte okno dochodził przyciszony odgłos muzyki. „Czego właściwie ona chciała?“ — spytała go żona. — „Ubezpieczyć się. Każdy Niemiec ma swego

Żyda. Jak Hitler kaput, a ja przeżyję, to mam świadczyć na jej korzyść. Że oddała Heinza pod przymusem na ochotnika“. Roześmiał się i wychylił przez okno. „Piękne miasto! — pomyślał. — Stare, mądre kamienie! Przeżyją one nas wszystkich i nie będą potrzebowały naszych świadectw!“

— Jak wiesz, nie przeżyły. 13 lutego 1945 roku Drezno zniszczyły samoloty amerykańskie. Był to nalot, że tak powiem, polityczny. Armia Radziecka stała kilkadziesiąt kilometrów od przedmieść. Chciała wziąć miasto nie zniszczone, skorzystać z mostów i dróg. Faszyci wiedzieli, że go nie obronią, gdyż w mieście kwaterował milion uchodźców z całych Niemiec. Ale pozostawała trzecia możliwość i tę wykorzystali Amerykanie. Godzina bombardowania uczyniła z miasta pogorzelsko, a z uchodźców stos dymiącego mięsa. Kto siedział w schronie, ten piekł się żywcem. Kto uciekał na brzeg rzeki lub do parków miejskich, tego siekły samoloty jeżdżąc po czubach drzew. Po nalocie kolumny SS oblewały stosy trupów benzyną i paliły; wysadzały w powietrze fabryki i mosty. Wrogowie się pogodzili: obaj wiedzieli, że obrady w Jałcie przyznały Drezno radzieckiej strefie okupacji. Co jednym przyniosło śmierć, drugim dało wolność. W przeddzień nalotu Gestapo zawiadomiło profesora Heinricha Q., że ma wieczorem następnego dnia stawić się u nich z rzeczami. Razem ze wszystkimi Żydami, żyjącymi jeszcze w Dreźnie. Ale wieczorem następnego dnia nie było już Żydów, ani Gestapo, ani Drezna. Po bombardowaniu profesor uciekł wraz z żoną z miasta i udając rodowitego Niemca przechował się do końca wojny w małym miasteczku u aptekarza, śpiąc w saloniku akurat pod portretem Hitlera. Nie wiedział, co się dzieje na świecie, czy sprzymierzeni idą naprzód, jak zapewniali optymiści, czy też wojna jeszcze będzie trwała lata, jak prorokowali pe-

symiści, wierząc w cudowne bronie Hitlera. Pewnego dnia wyszedł ukradkiem na podwórze. Przed budką ustępową leżał podarty dyplom aptekarza, świadczący czerwonymi literami gotyckimi, że właściciel apteki przysięgał w Norymberdze na wierność Wodzowi. Wtedy profesor Heinrich Q. zrozumiał, że wojna naprawdę się kończy. Istotnie, nazajutrz weszli do miasteczka Amerykanie, aptekarz mianował się burmistrzem i życie szybko się unormowało.

Profesor Heinrich Q. wrócił do Drezna i na odbudowanym uniwersytecie objął katedrę filologii germańskiej. Ale stary liberał nie ograniczył się do działalności naukowej. Zgięty reumatyzmem, połamany kijami przez Gestapo, z astmą i chorym sercem — jeździ niezmordowanie po wsiach i miasteczkach Saksonii. Był aktywistą w SED, Socjalistycznej Partii Jedności Niemiec, działa w Związku Kultury. Jest tym działaczem kultury, który ją upolitycznia. Namawiali go, by wszedł do władz centralnych, odmówił. „Muszę jeździć po ludziach, wychowywać“ — mówił. I mogę powiedzieć, że nie mielibyśmy takiej młodzieży, tak bojowej, tak rewolucyjnej, gdyby nie ludzie pokroju profesora Heinricha Q. Pozdrów go ode mnie. Tyle się czasu wybierałem do niego. Ale czy człowiek ma kiedy ruszyć się zza biurka?

Jeszcze tego samego dnia wyjechałem z Berlina. Cieszyłem się szczerze z przyszłego spotkania z profesorem. Ale nie spodziewałem się jadąc do spokojnego miasteczka Herzenburg, że będę świadkiem spotkania profesora Heinricha Q. z oficerem Heinzem Lohnerem.

III

Herzenburg, małe miasteczko saksońskie zachowane żywcem z epoki renesansu powitało nas flagami, syp-

kimi liśćmi szeleszczącymi pod nogami, jesiennym, łagodnym słońcem i kolorowymi domkami rozłożonymi na zboczach wzgórz u podnóża feudalnego, na poły zrujnowanego zamku. Krętą, wykładaną płaskimi kamieniami uliczką dotarliśmy do bramy zamkowej i weszliśmy w podziemia, gdzie leżeli pierwsi cesarze niemieccy. Przewodnik mówił o nich z zawodowym szacunkiem, tłumił uroczo głos i przezornie nie wspominał, że kości ich wygrzebano przypadkiem za hitleryzmu i pochowano po raz drugi z wielką pompą, jako że wojowali na wschodzie, przeciw Słowianom. Od marmurów grobowca ciągnęło chłodem, wążutkie okna nie przepuszczały słońca. Wyszliśmy z krypty szybko i przeciągnęliśmy się u progu. Za to z podwórca zamkowego, gdzie sprytny restaurator rozstawił stoliki i częstował gości koniakiem i kanapkami bez kartek (ugadawszy go, można było dostać nawet szynkę na lewo! I tu wkraść się czarny rynek, do zamku feudalów!) — za to z podwórca roztaczał się piękny, niezapomniany widok. U stóp zamku falowało na wzgórzach morze stromych dachów, nad którymi unosiły się delikatne pasma niebieskiego dymu i łączyły się z ciężkimi, łagodnymi chmurami pełznącymi leniwie po niebie. W maleńkich okienkach domostw świeciły się w południowym słońcu białe firaneczki, po drewnianych ścianach piał się bluszcz. Słowem, miasteczko jak ze starej pocztówki: „historyczne“, kolorowe, przyjemne, gdyby nie to, że za domami wznosiły się kupy gnoju, a pod zamkiem płynęła śmierdząca, płytka, zapuszczona rzeczulka. Niżej, wśród domów i krętych uliczek, rosły kępy soczystych drzew, złotozielonych, nieruchomych, poważnych. W głębi miasteczka, koło rynku błyszczącego białymi kamieniami, wznosiły się gotyckie wieże katedry, a na stokach pagórków okalających miasto dymiły ko-

miny rozrzuconych, małych fabryczek i stały samotnie kopulaste jabłonie przy szosie.

Obejrzawszy panoramę miasteczka wypilem dwa koniaki, zagryzając je szynką, zapłaciłem słony rachunek i zwiedziwszy w komnatach zamku wystawę Goethego (każde miasteczko urządzało tej jesieni wystawę pamiątek po Goethem) zaszedłem do katedry Świętego Bazylego przy rynku. Kościół był goły i zimny, wytarte ławy stały puste, przez otwarte drzwi dobiegał świecki szum wiatru. Cóż tu oglądać, gdy nie ma ludzi! Baedekery mówią, że należy deptać wokół zabytków i wycierać schody muzeów i katedr. Wolę żywych ludzi; nic ich nie zastąpi, nawet muzea i kościoły. Trafić na konflikt, na żywą żyłę ludzką, wyczuć pulsującą w niej krew — to tak! Wtedy nawet pusty kościół ożywa.

W katedrze Świętego Bazylego pod czarnymi tablicami z marmuru leżały wieńce świeżych kwiatów i paliły się małe pogrzebowe świeczki. Kamieniarz wykuł na tablicach nazwiska parafian świętego Bazylego, którzy padli w pierwszej wojnie światowej. Każda bogatsza rodzina miała swoją tablicę, jedna większa od drugiej. Z samej tylko rodziny Grasshof, widać bardzo dzietnej, padli podówczas: jeden kapitan, dwu poruczników, kupiec, inżynier, dwu dziedziców, jeden profesor i jeden leśniczy. Tablic z drugiej wojny światowej nie zdążono jeszcze wyrznąć z marmuru. Były z drzewa, stały oparte o ścianę przy bocznym ołtarzu. Miały być pamiątką po zmarłych, a były lekcją historii. Bo wystarczyło przyjrzeć się tablicom i policzyć nazwiska na palcach, a prawda historii zaczynała mówić nie wołana. W Polsce, głosiły tablice, padło czterech parafian świętego Bazylego, we Francji zostało ich tylko dwóch, na polach Związku Radzieckiego pochowano ich ponad stu. Długim, smutnym, złożonym szeregiem ciągnęły się nazwi-

ska, imiona, szarże, daty śmierci, którym towarzyszył krótki i wymowny nekrolog: „*Im Osten*“ — na froncie wschodnim.

Napisy ten nie szerniały jeszcze, a wieńce, które leżały pod tablicami, były zupełnie świeże i lśniły kropelkami wody, którą odświeżyła je troskliwa dłoń.

IV

Zapadał zmierzch, kiedy zwiedziwszy miasteczko i — jak to się określa — pogadawszy z ludźmi, poszliśmy do szkoły muzycznej, w której miano rozdać nagrody wyróżnionym w konkursie chopinowskim uczniom i wysłuchać koncertu laureata. Był nim siedemnastoletni chłopiec, przesiedlewiec ze Śląska Opolskiego. Dyrektor konserwatorium twierdził, że chłopiec instynktownie rozumie muzykę Chopina.

— Krew, proszę pana, krew! — mówił z uniesieniem. — Niech oni co chcą piszą, ale jednak pokrewieństwo rasowe decyduje. Szczególnie w sztuce! — I na moje pytające spojrzenie dodał z triumfem: — Jego matka była Polką.

— Ale ojciec Chopina był Francuzem!

— Nie twierdzą, że Francuzi nie rozumieją Chopina — odparł urażony dyrektor. Po czym mówiliśmy o warunkach życia artysty po wojnie, o staraniach zarządu prowincji, aby zaopatrzyć profesorów i uczniów w żywność i stypendia, o braku instrumentów i nut. Dyrektor nie szczędził słów uznania dla rządu i dla Kulturbundu, wspominał również o profesorze Heinrichu Q.

— Obawiamy się trochę jego wystąpienia. Ludziom trzeba perswadować ostrożnie, humanistycznie. On zaś nie ma taktu. Nie jest kulturalny. Na pewno się nie zna na muzyce; człowiek, który kocha Bacha, nie będzie wygłaszał mów politycznych.

Ogród szkolny, w którym wiedliśmy tę rozmowę, zrazu pełen zaproszonych gości, z wolna pustoszał. Przeszliśmy wraz z nimi przez westybul do auli. W ogromnej sali, typowo niemieckiej auli szkolnej, której sufit i ściany nieznaną szerzej i zapoznany malarz ozdobił mitologicznymi i ojczystymi krajobrazami, gromadziła się powoli publiczność. Pożegnawszy dyrektora przecisnąłem się do dalszych rzędów, usiadłem koło starszej pani z robótką na kolanach, powiedziałem uprzejmie: „Przepraszam“, i zacząłem rozglądać się po twarzach. Aulę zapełniali przeważnie mieszczanie, miłośnicy czystej muzyki. Ona jedna nie zmieniła się od czasów Wilhelma II; słuchając jej wracali do krainy młodości. Znaczną część sali zapełniali byli jeńcy wojenni, którzy zatrzymali się w przejeździe w Herzenburgu. Rozjeżdżali się do swych rodzin w okolicy lub przeprawiali się na zachód szukać zamiast pracy szczęścia w legii cudzoziemskiej albo w niemieckiej policji przemysłowej. Nieufnie błyskały młode oczy — nie wiadomo swój czy wróg, skoro odziany w resztki munduru, w przefarbowane bluzy, w cerowane spodnie żołnierskie, w białe ochronne bluzy zimowe. Pobity zbrojnie militarystyka niemiecka nie chciał się dodrzeć: sukno i skórę dał dobrą. Sam nosiłem przez trzy lata z okładem buty pancerniaków, nabite gęsto gwoździami. Nie trzeba było zelować, aż wyrzuciłem.

Tymczasem przed estradą ustawiono mały stół, za którym zasiadł dyrektor konserwatorium, członkowie jury i delegaci rady miejskiej. W pierwszym rzędzie zajęło miejsce czworo nagrodzonych muzyków: smagły chłopiec o kruczych, lśniących włosach, które nerwowo odrzucał w tył, i trzy ciche dziewczynki. Chłopiec dostał od dyrektora dyplom i obietnicę stypendium na studia w Berlinie; trzy wyróżnione dziewczynki dostały czeki pieniężne. Dyrektor uścisnął, wzruszony, swych

wychowanków i wygłosił króciutkie przemówienie o pięknie muzyki niemieckiej. Aula klaskała; potem, gdy słynne trio Troscha z Halle odegrało Opus 8 g-moll Chopina, ucichła, zastuchana ze znawstwem. Wtem na salę wsunął się bocznymi drzwiami zgięty, mały człowieczek, który kulejąc przepchał się pod ścianę do pierwszego rzędu, wywołując niecierpliwe sykania, i usiadł na skrzypiącym krześle. Dyrektor zmarszczył brwi. Pomyślałem: „Oho, Profesor Heinrich Q.“

— Co to za polityk? — zapytała kobieta koło mnie. Przez cały koncert słuchała nabożnie, nie odrywała oczu od tria, śledziła każde poruszenie smyczka skrzypiec, łowiła każdy motyw, ale palce jej poruszały się i druty migały niezmordowanie w powietrzu. Robiła sweter na drutach i nic nie mogło jej od tego powstrzymać.

— Przysłali, żeby agitować — odrzekł jej sąsiad. — Widać, że znał się na muzyce; uśmiechał się błogo, jakby był niemowłkiem. — I mówi się, że Hitler był zły; był za dobry, skoro tacy jeszcze żyją.

Kiedy umilkły oklaski, profesor Heinrich Q. podniósł się z krzesła i kulejąc wszedł na estradę. Zatrzymał się przed mównicą, otarł chusteczką czoło czekając, aż się uciszy gwar, i patrzył zmęczonymi oczyma na salę. Ucichło; aula patrzyła na starą, zoraną twarz profesora, w której oczy błyszczały jak ogniki.

— Słuchałem razem z wami muzyki — powiedział profesor. — Jestem wielkim wielbicielem muzyki. W mojej bibliotece stały piękne wydania Beethovena, Mozarta, Wagnera. Nie potrafiłem ich ocalić; zniszczyli mi je gestapowcy. Feliksowi Bartholdy dodałem imię „Israel“, to samo imię dałem Giacomo Meyerbeerowi. Mnie, Żydowi, wolno było słuchać tylko muzyki żydowskiej; myślałem, że przechowam kilku klasyków niemieckich. Ale dzieła ich spaliły się, gdy bombardo-

wano Drezno. Nie żałuję tamtych nut; żałuję domu, w którym mieszkałem, miasta, w którym się urodziłem, kraju, który jest i moją ojczyzną.

I dlatego, gdy słucham muzyki, zawsze myślę o polityce. Ale dziś, patrząc na was, przyjaciele, którzy odbieracie nagrody za muzykę chopinowską, pomyślałem, jak szczęśliwi jesteście tworząc tylko muzykę. Zapomniałem o wszystkim: o mojej starości, o moich połamanych kościach, o strasznych latach faszyzmu, o przyjaciółach, których nawet nie chowałem w ziemi: wyjeżdżali na transport, do komór gazowych. Lecz nie wolno nam zapominać! Wybaczcie mi, młodzi przyjaciele, że wam psuję uroczystość! Do was się przede wszystkim zwracam! Nie sama muzyka rządzi światem! Światem rządzi polityka. Grając Chopina będziecie musieli walczyć o niego. Jak naród, który go wydał.

— Po co on to wszystko gada? — zapytała kobieta ze swetrem. Siedzący przed nami młody człowiek w kubraku odwrócił się i powiedział:

— On chce panią nauczyć polityki.

— Polityka! A nasi jeńcy wciąż orzą w Polsce, zamiast koni! — powiedział z gniewem starszy pan, który przedtem słuchał muzyki z zamkniętymi oczyma.

— Rzeczywiście? — spytał obojętnie młody człowiek w kubraku. Z tylnych rzędów rozległ się chichot, zaskrzypiały i zaszurały krzesła, podniósł się śmiech i gwar. Zaczynało być duszno jak na dworcu.

— Czytałem w prasie — odrzekł sucho starszy pan. — A pan może nie wierzy? Za mało pan jeszcze widział.

— Rzeczywiście? — powtórzył obojętnie młody człowiek w szarym kubraku. Był krótko ostrzyżony, miał energiczną, zaciętą, wychudzoną twarz.

— Ja przed nimi uciekałem od samego Rostowa. Ach, jaki to bogaty kraj! I dla kogo? Dla tych bandytów, którzy mordowali nam żony i dzieci, strzelali do nas na

każdym zakręcie? Mógłbym ci, młody człowieku, dużo opowiedzieć.

— Sam widziałem — odrzekł obojętnie młody człowiek w kubraku.

— A, przepraszam. Nie wiedziałem, że pan jest jeńcem wojennym — rzekł z uszanowaniem starszy pan.

— Nic nie szkodzi — powiedział młody człowiek i przerwał rozmowę.

Profesor Heinrich Q. patrzył w milczeniu na salę. Otarł znowu chusteczką czoło i zaczął mówić z wysiłkiem. Widać było, że się bardzo męczył.

— Pamiętajcie, że muzyka jest polityką. Tak samo jak literatura, jak nauka i sztuka. Jak sadzenie drzew i rodzenie dzieci. Nie uchronisz drzewa, nie uchronisz dziecka przed zniszczeniem i śmiercią, jeśli nie zajmiesz się polityką, nie będziesz walczył przeciw wojnie. Drzewo zrąbią na opał, dziecko zginie w okopie, spali się w kołysce. I muzyka nie uchroni siebie od zniszczenia, choć nam wydaje się wieczna. Fosfor ją spali, but gestapowca rozdepce, komora gazowa otruje artystę, kolba rozbije instrument. Dlatego wiedźcie, że grając Chopina, czy chcecie, czy nie — bronicie pokoju. Pragnąłbym, abyście bronili go świadomie. Abyście, słuchając muzyki Szostakowicza i Arnolda Schonberga, bronili pokoju na świecie przed zbrodniarzami wojennymi. Przed imperialistami, którzy chcieliby z nas uczynić mięso armatnie, a z kultury pornografię i jazz.

Gruby bas z auli zanucił nagle melodię samby, nadawaną co dzień przez amerykańskie radio. Samba był to taniec, w którym partnerzy kiwali się to naprzód, to w tył jak sjamska wańka-wstańka.

— Niech nam lepiej powiedzą, co zrobili z naszymi jeńcami — rzekła kobieta ze swetrem.

— Jest tu kilku na sali — mogliby przemówić — po-

wiedział starszy pan i utkwiał nieprzyjazne spojrzenie w młodym człowieku.

— Powinieneś powiedzieć trochę od nas, wiesz, jak to potrafisz — rzekł do mężczyzny w kubraku siedzący obok chłopiec w długim, danym mu na wyrost płaszczu. Był szczupły i mały; na punkcie przejściowym widocznie nie umiano dobrać dla niego ubrania cywilnego.

— Rzeczywiście? — spytał obojętnie młody człowiek w szarym kubraku. Patrzył zmrużonymi oczyma na profesora Q. i uśmiechał się lekko.

Uśmiech ten trącił dobrotliwą ironią i pobłażaniem.

— Oddaj, Żydzie, naszych jeńców wojennych! — krzyknął na sali jakiś histeryczny głos. — A wtedy pogadamy!

Profesor zatrzymał się w pół zdania.

— Jeżeli zechcesz przemówić, możesz to uczynić po mnie — powiedział niespodziewanie twardo. — Nie pozwolę sobie przerywać. I powiem to wszystko, co miałem wam powiedzieć.

— To naprawdę stary Żyd! — powiedziała półgłosem kobieta ze swetrem. — Nauczyłam się ich rozpoznawać podczas wojny w Sudetach. Wszyscy mają taki swój chód. Tego się w Niemczech nie widziało. *Ostjude*.

— Spokój! To nie wiec faszystowski! — zaczęli krzyzcze chłopcy z kąta sali. Było tam kilku uczniów z konserwatorium i szkoły ogrodniczej, należeli do FDJ, wolnej młodzieży niemieckiej. Laureaci z pierwszego rzędu, przerażeni, rozglądali się po sali. Na chwilę aula ucichła i profesor mówił dalej:

— Tylko walcząc z imperialistami, tylko przeciwstawiając się byłym hitlerowcom, którzy znowu sięgają po władzę w zachodnich Niemczech, tylko żądając zjednoczenia ojczyzny, ukarania zbrodniarzy wojennych, zlikwidowania karteli i monopolów — tylko wtedy zdepczemy do reszty faszyzm, spętamy imperializm, za-

pewnimy trwały pokój. I wtedy — muzyka w Herzenburgu będzie brzmiała zupełnie inaczej niż dzisiaj: piękniej, swobodniej, po ludzku!

— Niechże pan odpowie temu staremu Żydowi! — powiedziała niecierpliwie kobieta ze swetrem. — Ze mu nie rozkwaszono tego tłustego brzucha!

Młody jeniec zachnął się, jakby go ugryzła znieca.

— Rzeczywiście, trzeba odpowiedzieć — powiedział obojętnie i przeciągnął dłonią po krótko ostrzyżonych włosach. Ktoś poklepał go po ramieniu, inny wsunął mu w dłoń paczkę papierosów. Jeniec odłożył ją na puste krzeselko obok siebie i nie powiedział nic. Sala zaś bawiła się znakomicie. Widzowie z bliższych rzędów siedzieli z poważnymi minami i patrzyli nieruchomym wzrokiem na profesora. Ręce złożyli na kolanach, które podnosiły się rytmicznie. Tupali; z podłogi wzbił się kurz i powoli podnosił się pod sufit, przesłaniając blask kandelabrow.

Profesor Heinrich Q. powiedział z mocą:

— Myślicie, że was nie wychowamy? Mylicie się: — wychowamy was. — I zeszedł powoli z trybuny.

Dyrektor konserwatorium, blady jak ściana, trzymając w drżących dłoniach program uroczystości, podniósł się i zaczął przemawiać do sali. Ale słaby jego głos zginął w gwarze i tupocie. Za jego plecami, nad estradą, lampy rzucały żółtawy blask na zielone lasy i wzgórza, wśród których przepływał kręty potok. Pod freskiem, na szerokiej, drewnianej ramie złożył się woskowymi literami gotycki napis:

Potoku, któryś nam czyny przyszłe pozwalał przeczuć,
O, słodki dzieciństwa śnie, wróć do nas jeszcze raz!

„O, słodki dzieciństwa śnie!“ Nagle na sali ucichło. Był jeniec wojenny w szarym kubraku podniósł się w milczeniu i zaczął przeciskać się do estrady. Ustępo-

wano mu skwapliwie miejsca. Staął przed mównicą, rozpiął nie spiesząc się kubrak i powiedział do profesora, który stał zgięty pod ścianą:

— Profesorze, pan przeżył wojnę jako więzień. Mieszkał pan w Dreźnie w domu żydowskim. Pracował pan w fabryce, nosił pan żółtą łatę, ludzie strzegli się pana jak zarazy. Co więc pan wie o wojnie?

Przerwał, powiódł wzrokiem po sali i ciągnął z ironicznym błyskiem w oczach:

— Ja chyba lepiej wiem, co to jest wojna. Ja i moi koledzy, którzy wrócili tylko co z niewoli. Robiliśmy wojnę na froncie wschodnim. Ja wiem, co to jest bombardowanie. Nie nasze, ale ich, kiedy ziemia chodziła nad schronem. Faszyzm? Zagazowałby pana, gdyby nie żona „aryjka“ i nie przypadek. A myśmy robili faszyzm na froncie. Wiemy lepiej, jak wygląda. No, i my wszyscy jesteśmy niewinni, bardzo cierpieliśmy, bardzo po bohatersku!

Sala milczała. Jeniec w kubraku mówił dalej:

— Ale co pan wie o komunizmie? Czy przeżył go pan na własnej skórze? Ja go przeżyłem, ja i moi towarzysze. Poznaliśmy społeczeństwo komunistyczne. My, profesorze Heinrich Q., wracamy z niewoli Cztery lata byłem w niewoli radzieckiej! Myśli pan, że to była lekka niewola? Wyście tu narzekali, że nie macie dwu jajek na śniadanie i swojej gazety, biadoliliście, że musicie chodzić do cegły. A tam ludzie nieraz suchy chleb jedli. A cegły... Myślicie, że cegła rosyjska jest lżejsza od niemieckiej? Że mniej rani palce? Rani tak samo, wszystkim jednakowo. Pracowaliśmy dużo. Poszliśmy do odbudowy miast rosyjskich, które zniszczyliśmy podczas wojny. Mówili nam: „Ponieważ spaliliście nasze domy, to teraz się weźcie za uprzątnię gruzu. Zobaczą sami, jak to ciężko.“ Czy ktoś z was, tu na sali, budował kiedy dom? Nosił wapno? Niech wie, że to ciężej niż tu-

pać na koncercie. Zwłaszcza dla oficera zawodowego. Wielu moich kolegów...

— Wiemy, wiemy, gazety zachodnie pisały o tym — zaczęto wołać z sali.

— Dosyć tego! Przerwać koncert! To prowokacja! — krzyczeli chłopcy z FDJ.

Jeniec w kubraku pochylił się na trybunie. oparł łokcie o pulpit i zacisnął pięści:

— Ja też chcę opowiedzieć, co czuję słuchając muzyki. Siedziałem na koncercie koło kobiety, która żałowała, że profesora Heinricha Q. nie rozdeptano. Profesorze, pamięta pan nasze ostatnie spotkanie?

— Heinz, nie warto o tym mówić — rzekł cicho profesor.

— Myśli pan? A gdyby ta kobieta była moją matką? Pamięta pan? Byłem wtedy w Hitlerjugend, matka postanowiła oddać mnie na ochotnika do wojska. Po służbie miałem iść do Ordensburga, na mniejszego wodza prowincjonalnego, ale wybuchła wojna na wschodzie. Ja tego dnia nie zapomnę: długo o nim myślałem w niewoli. Była jesień, jechaliśmy wtedy łązikiem przez Drezno. Pan, profesorze, podlaźł prawie pod koła na zakręcie. Poznałem pana po chodzie. Zawsze poznawałem pana na ulicy już z daleka. Zahamowałem auto i krzyknąłem do pana: „Stara świnió żydowska, jeszcze żyjesz? Powiniennem rozgnieść ci twój tłusty brzuch!“ I pojechałem dalej. Aż na front wschodni. A potem aż na Ural.

Powiódł wzrokiem po milczącej sali.

— Prawda, ciekawi jesteście, co było dalej? Dalej było niewiele: latem 1944 roku wojowałem na froncie rumuńskim. Odstępowaliśmy od Dniepru, ledwo unikając okrążenia. Pod Korsuniem dostaliśmy wielkie baty, przerwaliśmy się z worka raz, potem wędrowaliśmy w innym worku jak kot, który łapiąc swój ogon tańczy

po całym pokoju. Zostawiliśmy kraj spalony i spustoszo-
ny. Wysadzaliśmy każdy most, paliliśmy każdy dom, ni-
szczyliśmy wszystko, co nam wpadło pod rękę. Raz moja
kompania miała wysadzić w pewnym lesie obóz koncen-
tracyjny. Powiedziano nam, że siedzieli tam Żydzi. Ale
w nim nikt długo nie siedział. Na polanie stało kilka
baraków ogrodzonych drutem kolczastym. Za drutami
wznosił się wysoki, murowany budynek z wielkim komi-
nem. Do obozu wiodła zamaskowana bocznicą kole-
jowa, na torach stały spalone wagony towarowe. Po raz
pierwszy w życiu byłem w krematorium, w którym pa-
liliśmy żywych ludzi, i we własne ręce brałem popiół
ludzki. Nie zdążyliśmy wysadzić tego przekłętego miej-
sca w powietrze, gdyż uderzyli na nas partyzanci. Ucie-
kliśmy z lasu porzucając dynamit i broń maszynową.
Czego mogliśmy się spodziewać wpadłszy w ręce wroga
tuż koło krematorium? Może odpowie mi ten, kto mi
dał paczkę papierosów, żebym przemawiał?

Nikt nie odezwał się z sali. Oficer Heinz Lohner
skrzywił się pogardliwie i ciągnął dalej swoje opowia-
danie:

— Wreszcie osiedliśmy za Prutem i zbudowaliśmy
linię obronną. Nikt nie wierzył, że Rosjanie zdołają się
przeprawić. Nastaly piękne, słoneczne, ciche dni na
froncie rumuńskim. Żołnierz siedział w okopach, prze-
chodził szkolenie nacjonalistyczne i łapał wszy. Kiedy
Rosjanie przerwali front, wszystko się rzuciło na łeb na
szyję na zachód. Sztaby, szpitale, piechota, tabory mie-
szały się jak gulasz; czołgi radzieckie zagarniały je
w kotły i wylewały do niewoli. Myśmy mieli szczęście.
Rozbici przez czołgi, przyłączyliśmy się do konnych ta-
borów, które bocznymi drogami uciekały dzień i noc
bez wytchnienia do granicy niemieckiej. Otaczał nas
wrogı naród, gotów poderżnąć gardło maruderowi, więc
trzymaliśmy się kupy. Kto został, kto opadł z sił, do-

stał biegunki lub okulał — po tego już nie wracano. Ale i to nie pomogło. Co znaczą nogi przeciw czołgom! Pewnej księżycowej nocy, gdy tabor rozłożył się na łące pod lasem, zagarnęły nas znienacka czołgi radzieckie. My, piechociarze, próbowaliśmy stawiać opór, wiedliśmy ogień z karabinów maszynowych, rzucaliśmy granaty. No, cóż! Ani jeden wóz i ani jeden koń z taborów nie ocalał. Ludzi też niewiele. Jasne, nie?

— Kiedyś chciałem rozgnieść panu brzuch, profesorze. Teraz omal mi tego nie zrobiły czołgi. Lecz miałem znowu szczęście. Rano ściągnąłem ciepłą bluzę z zabitego czołgisty niemieckiego, który się cofał wraz z nami, i poszedłem z niedobitkami mojej kompanii do niewoli. Szliśmy na wschód, rankami i wieczorami, letnie noce przesypaniśmy na surowej ziemi. Drogami przewalały się tabory radzieckie, potem drogi opustoszały i tylko daleko grzmiały pociągi, które wiozły na zachód broń, artylerię, piechotę. W otwartych drzwiach wagonów siedzieli żołnierze i śpiewali pieśni. A myśmy w milczeniu szli i szli. Najpierw na wschód i wtedy mówiono w kolumnie, że nasze czołgi przerwały się od zachodu i że nas lada chwila oswobodzą. Potem skręciliśmy na północ i myśleliśmy, że nasi gonią z południa. A potem puchły nam nogi i już tylko myśleliśmy o jedzeniu.

— Hańba! — zawołał z sali kobiecy głos. Zerwał się krótki gwar i znagła ucichł.

— Zaraz skończę i wtedy będziecie mówić, co sami zechcecie — powiedział były jeniec. Uśmiechnął się kpiąc, gdyż na sali zerwały się nieśmiałe oklaski, i mówił dalej: — Wreszcie po długim marszu doszliśmy do znajomych okolic. Wydało mi się, że już tu byłem. Drewniane baraki rozrzucone w rzadkim, brzoźowym lesie. Naokoło — druty kolczaste. Przy drutach — murowany budynek z wysokim kominem. Nasyp, po którym mu-

siał kiedyś iść tor kolejowy. Zrozumiałem wszystko: to tamten obóz, którego nie zdążyliśmy wysadzić w powietrze. Komory gazowe, krematorium. Ale czego oczekiwałem? Że mi podziękują za wojnę? Że wypłacą gratyfikację za każdego trupa? Ścisnąłem zęby i powiedziałem do przyjaciół: „Szykujcie się dobrze umierać. Tylko się nie zbłaźnić.“ Najpierw dano nam obiad, gdyż człowiek syty mniej rozpacza niż głodny; potem dla oszukania nas przyprowadzili lekarzy, którzy nas zbadali. Chorych odłączono na bok; pierwszych pięćdziesięciu zdrowych wywołano do kąpieli. Poszedłem od razu, nie chcąc patrzeć na mękę innych, którzy czekali. W przedśionku kazano nam się rozebrać, złożyć starannie ubranie, które miało iść do dezynfekcji. Potem kazano nam, nagim, wchodzić do komory. Nie broniliśmy się, było nam wszystko jedno. Zrozumiałem wtedy, dlaczego nie bronili się Żydzi, gdy ich wpychano do gazu. Nigdy tego nie zrozumiecie. Kiedy zamknięto za nami drzwi, zaczęliśmy się żegnać z życiem. Jedni obejmowali się i płakali nie wstydząc się strachu. Inni żegnali się po męsku, całując się w nieogolone policzki. Inni milcząc zaciskali usta i tylko oczy im się gorączkowo paliły. Patrzyliśmy na pobielone ściany bez okien, na drzwi, które się ciasno za nami zawarły, na betonową podłogę, w której chytrze i niepotrzebnie zrobiono korytka dla odprowadzenia wody i położono na nią drewnianą kratę; na lśniące metalowe prysznice, z których za chwilę zaczęnie syczeć gaz. Ostatecznie, pomyślałem wtedy gorzko, mordowaliśmy inne narody, czemu więc mają nas oszczędzać? Ale one miały za co umierać: walczyły za wolność. A ty, człowieku, za co umierasz? Za faszyzm? Wtedy zapłakałem pierwszy raz w życiu. Nagle prysznice syknęły. W łaźni podniósł się straszny krzyk i umilkł. Wtem syk ustał i z pryszniców spadła na nas ciepła, roześmiana, pieniąca się woda.

Z jaką radością chwytałyśmy ją w dłonie! Jak odzyskane życie! I wtedy zrozumiałem, jaka jest różnica między faszyzmem a komunizmem. A potem zrozumiałem więcej. Wiecie, że byłem aktywistą w murarce? Wiecie, że radzieccy murarze uczyli mnie swoich metod? Nauczyłem się pracować i nauczyłem się rozumieć świat. A wyście co? Myśleli, że wiecznie będziecie wygodnie żyć? Że za was będą pracować? Że innym będą się tworzyły pęcherze na rękach? Tęsknicie do faszyzmu? Macie rację, profesorze: wychowamy ich! Będziemy jeden drugiemu przekazywać doświadczenie socjalizmu.

Umilkł i długo patrzył na salę. Nagle murarz Heinz Lohner uśmiechnął się i mrużąc oczy dodał:

— Widzę, że ofiarowane mi papierosy zniknęły z krzeselka. Zapomniałem powiedzieć mojemu sąsiadowi: nie jestem palaczem.

Na sali gruchnął śmiech i zerwały się oklaski. Oficer Heinz Lohner zeskoczył z estrady i podszedł do profesora. Ujął go mocno za bary i ucałował.

— Chodźmy, profesorze — powiedział — mamy dużo roboty.

— Zostańmy — rzekł profesor. — Posłuchajmy muzyki. Pięknej, ludzkiej muzyki w Herzenburgu.

Dyrektor konserwatorium podniósł się zza stolika i przyzwał laureata. Chciał przemówić, chwilę się zastanawiał kręcąc guzik tużurka. Wreszcie machnął dłonią.

— Teraz — powiedział jękając się — odegrana zostanie *Sonata h-moll*, op. 58 Fryderyka Chopina, napisana w roku 1845 i dedykowana hrabinie de Perthuis. Idź, chłopcze, do fortepianu.

Chłopięcy laureat wszedł na estradę, ukłonił się słuchaczom, a kiedy przebrzmiały oklaski, usiadł przy fortepianie, odrzucił w tył długie, lśniące włosy, pochylił się nad klawiaturą i położył dłonie na klawiszach.

Tej nocy długo rozmawiali ze sobą stary filolog, profesor Heinrich Q., i były oficer armii hitlerowskiej, Heinz Lohner, przodownik murarski.

Rankiem powróciłem do Berlina, przywożąc z Herzenburga na pamiątkę kolorowe pocztówki z widokiem zamku i katedry oraz barwną panoramę miasteczka.

Oczywiście, nowe Niemcy nie zaczynają się i nie kończą na Herzenburgu. W wielkich fabrykach, w dziesiątkach tysięcy szkół, na stacjach traktorowych, na rozparcelowanych majątkach junkrów odżywają rewolucyjne tradycje proletariatu niemieckiego, wychowuje się nowy naród, buduje się niemiecka demokracja ludowa. Wiele w Niemczech widziałem, przerzuciłem stosy drukowanego papieru, niejedną noc przegadałem z ludźmi. Pamiętam obłąpaną pociskami Bramę Brandenburską dzielącą Berlin na dwa światy: socjalistyczny i kapitalistyczny, na wpół wykończone hale stalowni w Groditz odbudowanej przez robotników, murowane domki przesiedleńców wzniesione przez państwo; pamiętam miasta, ludzi i zdarzenia. Polubiłem głęboko naszego przyjaciela zza Odry i Nysy. I zawsze, kiedy o nim myślę, widzę przed sobą płomienne oczy profesora Heinricha Q., twardą, zaciętą, wychudzoną twarz murarza Heinza Lohnera i słyszę pierwsze takty *Sonaty h-moll*.

LOKOMOTYWA

LOKOMOTYWA MŁODZIEŻY

Pociąg przejeżdżał koło cichych, ciemnych lasów, potem wychodził na wysoki nasyp kolejowy ciągnący się nad łąkami, zwalniał na zakrętach i wybiegał szybko na prosty szlak. Kiedy zatrzymywał się na stacjach, zapadała cisza i słychać było natarczywe, beztroskie, łąkome kumkanie żab. Toż to, bracie, wiosna! Ciepły wiatr owiewa twarz, łąki żółcą się kwiatami. W taki czas o czymże myśleć, przyjaciele, jak nie o młodości? Młodości, która jednego unosi na błahy reportaż, drugiego rzuca z Dębłina do Lublina do szkoły, trzeciego w inną stronę — na Radom, Sędziszów, poza nasze wioski i miasteczka, w szeroki świat, w Plan Sześcioletni, w socjalizm.

W taki wieczór przyjeżdżałem do Dębłina oświetlonego setkami sygnałów stacyjnych. Myślałem o naszej brygadzie młodzieżowej, która może teraz prowadzi swą lokomotywę wypełniając zobowiązania złożone krajowi, partii i ZMP.

PRZED PAROWOZOWNIĄ

Siedzimy rano na szynach przed parowozownią. Słońce grzeje jak w czerwcu. W otwartych drzwiach parowozowni czernieją ogromne parowozy towarowe i oso-

bowe. Nasza lokomotywa, nazwijmy ją PT 583, stoi na myciu, przeglądana i czyszczona przez palaczy i ochotników ze szkoły kolejowej. Maszynistów zabrałem na szyny i mówię do nich: — Opowiadajcie! — Jest ich dwu: Stefek Michalski i Kazik Kowalik. Stefek jest pełniejszy od Kazika, ale młodszy. Był w Pierwszej i Drugiej Armii, zdemobilizował się i przez parę lat pracował jako palacz. Kazik pracował siedem lat na parowozie. Od dwu tygodni awansowali na maszynistów i prowadzą samodzielnie lokomotywę. Nie są gadatliwi. Opowiada za nich Czesiek M., uczeń szkoły kolejowej, wicemistrz bokserki okręgu, delegat powiatowy ZMP., jeden z organizatorów brygady młodzieżowej.

— Chcieliśmy i my zorganizować naszą brygadę. W porozumieniu z partią i związkami zawodowymi wytypowaliśmy najlepszych palaczy jako maszynistów i stworzyliśmy naszą zetempowską brygadę parowozową. Brygada zobowiązała się przejechać 90 tysięcy km bez średniej naprawy, zaoszczędzając węgiel i smary oraz zmniejszając możliwości pożaru na szlaku.

— Czekaj no, bracie — powiadam, a moje pióro aż skrzypi — jak to zaoszczędzić węgiel? Jak to zmniejszyć możliwość pożaru? Pożar — wola boska i skrzypce, nie?

Chłopcy śmieją się, mało z szyn nie pospadają.

— Trzeba umieć palić pod kotłem, zachowywać przepisy, to i pożaru nie będzie! Ale nie każdemu chce się zamknąć na przykład popielnik, nie? Albo siatkę wstawić. I iskry się sypią wielkie jak wieloryby. A co do węgla....

— Widzisz, to jest tak — tłumaczy mi Kazik Kowalik i macha rękami. — Kocioł lokomotywy to naczynie zamknięte, nie? Ciśnienie pary rośnie przez podgrzanie, nie? Teraz mądrze majstruj, żebyś jak najmniej go roztrwonil. Jedziesz, bracie, powiedzmy, na Kielce, choć-

by pustym pociągiem, wydasz z pięć ton węgla. Wracasz obładowany jak wielbłąd — i trzech nie wypalisz. Tam jedziesz pod górę. Z powrotem z górki. A gdy znasz szlak jak własną kieszeń, kierujesz uważnie i wykorzystujesz każdą pochyłość — to możesz sporo węgla zaoszczędzić, nie? Tylko planowo i ze znajomością. Z takich planów, bracie, składa się Plan Sześćioletni.

— To jasne. Więc jedziemy dalej. Do czego jeszcze zobowiązaliście się?

— Zwiększenie przebiegu parowozu od mycia do mycia. Norma z użyciem sodafosu...

— Gadajcie po ludzku, co to jest.

— Sodafos, uważasz, to dodatek do wody w parowozie, żeby się kamień nie tworzył. Zmiękcza wodę. Przedłuża życie kotła. Zobowiązaliśmy się powiększyć przebieg pięciokrotnie. Da to sporą oszczędność postoju i robocizny.

Załoga parowozu PT 853 jest świeża, jeździ dopiero od 12 kwietnia. To współzawodnictwo jest jej Czynem Pierwszomajowym. Dumna jest z niego cała parowozownia, cała szkoła kolejowa.

PIASEK I BUFORY

— A kłopoty macie związane ze współzawodnictwem?

— A co myślisz, że idzie jak po maśle? Tu też jest walka klasowa. Jakbyś, bracie, pisał reportaż, to napisz słówko o parowozowniach zwrotnych. Jak dostajemy pociąg, to go prowadzimy, dajmy na to, do Łukowa albo do Skarżyska. Tam stajemy w kolejce i czekamy na następny skład nieraz po dwanaście godzin. Dla dyspozytora to wszystko jedno, czy maszynista bierze udział w wyścigu pracy, czy nie. A ja ze skóry wychodzę — mówi Stefek i oczy mu się zapalają. — Parowóz

stoi pod parą, węgiel się marnuje, oliwa wycieka. Ja tam się do góry brzuchem nie położę i spać nie będę.

— Dlaczego?

— A jak mi kto piasku nasypie na panewkę? Albo wyjmie knot z oliwiarki? Na obcej parowozowni śpimy na zmianę z palaczem. Jeden drzemie, drugi pilnuje maszyny.

Myślę: „Zmienia się u nas stosunek do pracy i do maszyny. Staje się ona towarzyszem i przyjacielem człowieka. Nam praca nie jest katogą: staje się honorem i miłością.“

— Wiesz, niektórzy ludzie mogą wiele złego zrobić ze złości lub z zazdrości — mówi Kazik Kowalik. — Czujność potrzebna.

Siedzimy na szynach, słońce dopieka jak w czerwcu, każdy dorzuca swoje uwagi o trudnościach współzawodnictwa, które trzeba przełamać.

— Jak się niektórzy dowiedzieli, że powzięliśmy zobowiązania, to nam na złość nie dawali tranzytów. — Wiesz, pociągów, z którymi od razu jedziesz do Krakowa albo do Warszawy, Radomia czy Lublina. My tu każdy pagórek, każdy zakręt w oczach nosimy, znamy szlaki jak kieszeń. Tożby człowiek zaoszczędził węgla i smaru. Zamiast tranzytowych dają nam przetoki. Jedź, bracie, od stacji do stacji, zbieraj na każdej wagony, przedstawiaj składy, akurat za trzy dni dojedziesz do Warszawy. I co sobie zaliczysz? Sto kilometrów. A drugi, co go nie obchodzi, dostanie dobry pociąg, pojedzie, zmarnuje węgla do diabła, a potem trzyma parowóz pod parą i leży do góry brzuchem.

Obejrzał się: nad nami wyrósł cień i na chwilę przesłonił słońce. Towarzysz Bolesław Kamiński, sekretarz egzekutywy partyjnej, przysiadł się koło nas.

— Chłopaki się starają, nie powiem, żadnych opóźnień, dyscyplina wzorowa. Projektujemy stworzenie

jeszcze jednej brygady. Trzeba wyciągać kadry, przełamywać opory niektórych maszynistów. Nie wiecie? Niejeden z nich uważa, że trzeba pojeździć ze dwadzieścia lat na maszynie, żeby móc prowadzić parowóz. To też krzywo patrzą na tych „paroletnich“. Ale to nic — uśmiecha się i szeroką dłonią przyczesuje krótkie, siwe włosy — walka starego z nowym zawsze kończy się zwycięstwem nowego. Partia pomaga, opiekuje się młodymi, wychowuje starych. Zobaczcie, jaki oni mają stosunek do pracy! To najważniejsze!

I pokazał mi ręką na młodych zetempowców ze szkoły kolejowej, którzy na ochotnika przyszli pomagać przy myciu „swojej“ młodzieżowej lokomotywy.

Idziemy hurmą do parowozu i oglądamy udoskonalenia majstra Walaszczyka: reflektor elektryczny i naftowy zarazem. Kazik Kowalik uśmiecha się szeroko:

— No i powiedz, korespondencie, widziałeś ty kiedy, żeby towarowy parowóz miał tak wyczyszczone bufory?

Za błyszczącymi buforami, za parowozem, za otwartymi drzwiami parowozowni widać lśniące w słońcu szyny, które ciągną się, krzyżują i biegną daleko poza stację, poza Dęblin — przez całą Polskę.

Żeby wykształcić maszynistę, trzeba, by zdał egzamin na palacza. A palacz uczy się w szkole kolejowej trzy lata zawodówki. Potem dyplom czeladnika i praktyka na parowozie. Czyli — wniosek: musi być szkoła. Szkoła w Dęblinie jest. Nawet dwie. Jedna mieści się tuż przy parowozowni. Obok część warsztatu. Druga część — w baraku. Jak pada deszcz, to trzeba przesuwać warsztaty, bo nakapie na głowę i na narzędzia. Dach by się reperowało, ale diabła tam! Nie pomoże! Trzeba po prostu nowego budynku. Zwłaszcza że kolej nie chce kształcić rzemieślników nie swoich. Kto pracuje na kolei, niech się uczy przy parowozowni, kto pracuje gdzie indziej, niech się gdzie indziej uczy. Więc nauczyciele

zawodówki z dyrektorem na czele (dobry dyrektor — i z młodzieżą pogada, i dla reportera ma czas, i haruje po uszy) postanowili zbudować taką prawdziwą szkołę. Murowaną. Piętrową. Z mansardą, w której miała mieścić się bursa. Bo okolice Dębłina są biedne. Młodzież wiejska pragnie awansu społecznego, chce kształcić się na rzemieślników. Kolejom i spółdzielniom produkcyjnym przyda się każdy młody rzemieślnik. Instruktorzy ofiarowali swoje pensje na budowę szkoły. Po 75 tysięcy złotych rocznie, jak tow. Kiliszek i Lisiniewicz. Uczniowie opodatkowali się po 12 tysięcy rocznie — na trzy lata. Dali 1700 godzin pracy. Dostali od gminy Ryćice kawałek gruntu, nie wymawiając — trochę podmokłego. Nawieźli 60 wagonów leszu dla wyrównania gruntu, rzucili 10 wagonów gruzu ceglanego i 3 wagony cementu, aby fundament pod warsztaty był mocny. Wystosowali list do Warszawy, do odpowiedniego urzędu, w którym pisali: „Do dnia 10. XII 1949 włożono w budowę w gotówce sumę zł 1 900 523 w darowiźnie, a pracę i materiały w przeliczeniu po cenach najniższych na sumę zł 2 400 000. Powiadamy, że wybudowano całkowicie fundamenty i część ściany jednego skrzydła ponad fundament, dotychczas zaś nie otrzymano od władz żadnych sum na budowę.“

— No i oczywiście — mówię oddając teczkę z dokumentami — budowaliście przez całą zimę. Zapewne wykańczacie wnętrza, dajecie instalacje. Kiedy przeniesiecie warsztaty do nowej szkoły? Jeszcze przed końcem roku szkolnego? Na jesień już chyba zamieszka w internatach młodzież wiejska?

Instruktor Kiliszek ciężko wzdycha i ciągnie mnie za rękaw nad sadzawkę. Idziemy po świeżej, pachnącej trawie. Fundamenty są, jak opisane, ale ścian nie ma. Puste niebo. Ptaki. Słońce jak w czerwcu.

— Nie ma cegły — mówi Kiliszek. — Zapłaciliśmy

za nią jeszcze w listopadzie. W styczniu materiały podróżowały, to przysłali papierek, żeby dopłacić. Prawie dwieście tysięcy. A cegły nie przysłali. Eh, budowałoby się, budowało, gdyby nie te biurokraty!

— A gmina mówi — ciągnie po chwili — że to nasza wina. Gdybyście chcieli, to byście budowali. I dawaj na demokrację.

„Wilkiem bym wygryzł biurokratyzm“ — powtarzam w myśli wiersz Majakowskiego. Wilki by wprowadzać do tych różnych DSZ, naczelników zaopatrywania w cegły! I wygryzać, wygryzać! Aż się wilk dogryzie do tych cegieł!

— I drutu na zbrojenia nie mamy — wzdycha instruktor. — Napiszcie i o tym...

Eh, biurokraci. Czerwone Kapturki! Wyciągajcie z koszyczka cegły i drut na zbrojenia. A nie, to wilka przyślemy! Ogromnego i bardzo złego!

PĘDŹ, LOKOMOTYWO!

W południe chłopcy z warsztatów idą do parku na piłkę nożną. W trzeciej klasie zebrała się komisja rewizyjna ZMP, na stacji gwizdzą odchodzące pociągi, pod kołami parowozów huczy ogień.

Nie przeszkodzą biurokraci: jesienią stanie gotowy parter szkoły kolejowej, nad warsztatami pochyła się synowie małorolnych, będą się kształcili na mechaników, palaczy, maszynistów. Stefek Michalski i Kazik Kowalik pójdą pewnie, jak pragną, na kurs techniczny i obejmą gdzieś kierownictwo parowozowni, walcząc o zwycięstwo nowych metod pracy. Dzisiejsi młodzie palacze będą sami prowadzić lokomotywy, dawać większe oszczędności, zwiększać dobowy przebieg parowozu.

Jest już dobrze po południu, słońce zniża się ku za-

chodowi. Skończywszy parać się przy parowozie Śtefek Michalski, czyściutki i elegancki, idzie na stację po żonę, która przyjeżdża z Łukowa. Pójdą zapewne wieczorem na zabawę kolejarzy. Dziś bawią się dorośli; szkoła urządza zabawę jutro. Ale ma zmartwienie: dyrektor sąsiedniej handlówki nie chce puścić dziewcząt na zabawę. „Musisz i o tym napisać!“ Kiwam głową, chociaż wiem, że dziewczęta same przyjdą na zabawę.

Idziemy razem na stację. Nad stacją zapada już łagodny zmrok, zapalają się sygnały i mrugają światła stacyjne. Z parowozowni wyjeżdża powoli lokomotywa młodzieży PT 583, którą prowadzą Kazik Kowalik i Bogusław Zawadzki. Parowóz staje na obrotnicy, która majestatycznie się przekręca, wysuwa się ostrożnie na tor, podchodzi pod punkt kontrolny, stamtąd rusza po swój pociąg, doczepia się i wjeżdża na tor główny. Ramię semafora podnosi się ku niebu, błyska zielone światło i zagwizdawszy wesoło lokomotywa młodzieży rusza w drogę, ciągnąc za sobą długi łańcuch pękatych towarówek.

Pędź naprzód, lokomotywo! Wieź drzewo i cement, i węgiel, i maszyny znajomymi ci szlakami! Wykorzystaj każdy spadek, podchodź chytrze każde wzniesienie, oszczędzaj węgla i oliwy. Pędź, lokomotywo, ku stacjom bliższym i dalszym, na Łuków i na Lublin, na Radom, Kielce i Sędziszów, na Kraków i na Warszawę, przez nasze wsie i miasteczka, przez Polskę Ludową, przez Plan Sześćioletni — w socjalizm!

MIĘDZYJARODÓWKA

Do fabryki w Boryszewie wiodła szeroka, prosta szośa ocieniona rozłożystymi, pachnącymi kasztanami. Wiatr szumiał w liściach, wzbijał na drodze srebrny kurz i falował dojrzewającym zbożem.

Najpierw minąłem łąny spółdzielczej pszenicy, ciągnącej się aż po horyzont, za którym czerniały pasma lasów, potem nagie, wysuszone upałem pole, na którym zieleńły się młode buraki, wreszcie pogwizdując (jak to w marszu) wyszedłem między przyfabryczne łąki. Przede mną leżały zabudowania fabryki, bieleły rzadkie, rozrzucone wśród ogródków domki robotniczego osiedla, czerwieniła samotnie za pustym boiskiem do koszykówki wielka dwupiętrowa szkoła.

Zostawiłem za sobą Sochaczew, białe, czyste miasteczko, zbudowane na wzgórzach nad małą rzeczułką, nad którą niegdyś panował feudalny zamek. Patrząc z daleka na miasto układałem w myśli konspekt odczytu dla towarzyszy z fabryki. Myślałem o nowych przyjaciółach z ZMP, z którymi roztrząsałem sprawy kół gminnych, o prezesie związku zawodowego, który w wolnych chwilach zabawiał się malowaniem pejzaży; o księgarni, w której chłopcy i dziewczęta dzień i noc pakowali komplety książek, aby je rozesłać na powiat, do szkół i spółdzielni spożywczych; myślałem o młodym

szoferze z rady narodowej, który cierpliwie tłukł się ze mną po wszystkich zakątkach powiatu, oprowadzał po PGR-ach i spółdzielniach produkcyjnych i z miną fachowca tłumaczył znaczenie chlewni i obory dla gospodarki spółdzielczej oraz wyjaśniał (również z miną fachowca) działanie gorzelni, która o tej porze roku stała pusta i nieczynna; myślałem ze wzruszeniem o tych kobietach, które w pewnej wsi, spacyfikowanej przez faszystów, godzinę czekały cierpliwie na prelegenta, słuchając patefonu puszczonego przez zaradnego nauczyciela; dyskutowałem w myśli z młodą, dziewiętnastoletnią nauczycielką, która uczyła w szkole wiejskiej i skarżyła się, że jest zamknięta od świata i nawet nie ma czasu pojechać do fryzjera, gdyż jej praca społeczna rabuje cały dzień, ale przecież zajęła się dobrowolnie indywidualnym nauczaniem analfabetów; i jeszcze pamiętałem te zasłuchane dzieci wiejskie, przykucnięte na ławach w świetlicy i wołające razem ze mną: „Niech żyje pokój!“, tych chłopców z PGR-u Brzozów, którzy w migotliwym świetle naftowego kaganka rozmawiali o literaturze; myślałem o wszystkich przyjaciółach, których zdobyłem przez kilka dni w miasteczku i po wsiach, w fabrykach i spółdzielniach; jeszcze raz ogarniałem spojrzeniem cały powiat, tętniący życiem, zapracowany, idący z rozmachem ku nowemu; powiat, w którym kwitły bzy i jabłonie, dojrzewały w inspektach spółdzielczych tysiące krzaków pomidorów, wschodziły zakontraktowane buraki cukrowe, budowano inkubatory dla dziesiątków tysięcy karmazynów, wznoszono fabryki i zakładano spółdzielnie produkcyjne; powiat, w którym młodzież przystępowała do corocznych egzaminów, a starsi brali wciąż nowe i nowe zobowiązania na swe barki. Przypominałem sobie to wszystko, gdyż pragnąłem opowiedzieć towarzyszom z fabryki o ich powiecie.

Ale kiedy wszedłem do jasnej, wybielonej świetlicy, zastawionej prostymi stołami i ławami, ozdobionej wykresami i portretami, kiedy przywitałem się z młodymi towarzyszami i oparłszy się o stół zacząłem mówić, drzwi świetlicy się otwarły i weszła grupa dzieci ze szkoły, prowadzona przez nauczycielkę.

Umilkłem czekając, aż zajmą miejsca w ławkach. Lecz one stanęły skupione pod ścianą i patrzyły ciekawie i przyjaźnie na mnie. Za oknem rozkwiatały młode kasztany i świeciło późne, skłaniające się ku zachodowi słońce. Chciałem opowiadać o powiecie, chciałem mówić o znaczeniu walki o pokój, o dokerach francuskich, włoskich chłopach, wietnamskich studentach, chińskich żołnierzach, ale zamiast przygotowanego referatu, zacząłem opowiadać — o dzieciach.

— Pewnej wiosny, dwa lata temu — opowiadałem im i sobie — poszedłem na przechadzkę do parku robotniczego w Łodzi. Surowa ziemia pachniała zbutwiałym liściem, skwery zieleniły się świeżutką trawą, na grządkach rozkwiatały pierwsze kwiaty, na pędach młodych wierzb lśniły kropelki porannej rosy, drzewa były jeszcze nagie, lecz przez ich gałęzie przeświecało już gorące, radosne, wiosenne słońce. Przeszedłem przez pustawy park, zagłębiłem się w kręte aleje i nagle znalazłem się na słonecznym, ludnym placyku.

Był to cmentarz żołnierzy radzieckich poległych w walkach o wyzwolenie Łodzi. Wśród drzew wznosił się prosty obelisk, u którego stóp wmurowano prochy bohaterów, kawalerów złotej gwiazdy i prostych żołnierzy, Rosjan i Polaków. Półkolisty mur rzucał ożywczy, soczysty cień na placyk gwarny, roześmiany, krzykliwy jak ogródek jordanowski. Bo oto na placyku bawiły się dzieci; budowały pod czujnym okiem młodych matek wieżyczki z piasku, stawiały zamki, sypały kręte rowy, wznosiły wały i groble, domki i fortece.

Dalej rozciągał się skwerek, na którym rzędami stały kamienne nagrobki. Chodziłem powoli po ścieżkach i przyglądałem się każdemu napisowi, pochylając głowę przed moimi rówieśnikami, którzy tutaj padli; nie zapamiętałem ani jednego nazwiska. Pamiętam tylko, że między grobami bohaterów, wśród zieleniących się już topoli i wierzb, na skwerze, gdzie słońce przygrzewało najmocniej, bawiły się między grobami dzieci w berka. Gonily się ze śmiechem między nagrobkami, chwytaly się kamieni, aby się okręcić, przykucaly ukrywajac się pod osloną nagrobków kapitanów, majorów, poruczników, bohaterów Związku Radzieckiego, odznaczonych orderami i medalami za odwagę i poświęcenie, poległych w bojach o wyzwolenie miasta w styczniu 1945 roku, a potem w marcu, kwietniu, maju, czerwcu w walce z polskimi faszystami.

Pomyślałem sobie wtedy, że to najpiękniejszy pomnik dla poległych żołnierzy. Zginęli oni przecież i za to, aby w powszedni, roboczy dzień dymily spokojnie kominy fabryczne naokoło parku, i za to również, aby dzieci mogly się wesoło śmiać. Długo w uszach bzmiał mi radosny ich śmiech i nigdy jeszcze żaden park na świecie nie wydał mi się tak pięknym jak ten skwer ze strzelistym obeliskiem wdzięczności. I teraz — mówiłem dalej — rozumiecie, czemu wieczorem, gdy siadam do pisania i patrzę przez okno na moje miasto błyszczące tysiącami świateł osiedli robotniczych, myślę czasem o tym wiosennym skwerze i czemu wam o nim opowiadam.

Potem, kiedy skończyliśmy rozmawiać o życiu młodych robotniczych pisarzy, o bohaterstwie przodowników pracy na fabrykach i spółdzielniach; o projektach utworzenia amatorskich zespołów artystycznych w fabryce, które by w świetlicach wiejskich dawały dobre przedstawienia i urządzaly dyskusje; kiedy skończyliś-

my mówić o potrzebach kulturalnych fabryki, która pragnęła wezwać do siebie innych pisarzy; kiedy obiecaliśmy sobie, że spotkania pisarzy z robotnikami będą odbywały się regularnie; kiedy umówiliśmy się z dziećmi na długą dyskusję o książkach radzieckich; kiedy skończyliśmy o tym wszystkim mówić — zapadał już wieczór i trzeba się było żegnać. Wtedy wstał z ławki jeden z towarzyszy i po prostu powiedział:

— Proponuję, towarzysze, abyśmy odśpiewali *Międzynarodówkę*.

Zaczeliliśmy śpiewać. Twarde, chropawe głosy robotników łączyły się z czystymi, delikatnymi głosami dzieci. Robotnicy, starzy komuniści, śpiewali pieśń swej młodości, pieśń strajków, lokautów, demonstracji pierwszomajowych, kryzysów i głodu; pieśń zakończoną refrenem nadziei: „Bój to będzie ostatni!”

Dzieci z robotniczej szkoły śpiewały pieśń swego dzieciństwa, pieśń Planu Sześcioletniego, pieśń walki o pokój, pieśń zakończoną refrenem radości: „Bój to jest nasz ostatni!”

Popatrzyłem w okno, za którym kwitły młode, zielone kasztany, wznosiły się zabudowania ludowej fabryki, a dalej za nimi, za fabryką, za kasztanami i szosą — rozciągały się żyzne, dojrzewające pola spółdzielni produkcyjnych, i swym chropawym, męskim głosem podchwyciłem refren pieśni dziecięcej.

BUDOWNICZY STADIONU

Berlin w piątą rocznicę rozgromienia hitleryzmu

Nie mogłem go wypatrzeć w tłumie robotników. Siedziałem na ogromnym bloku betonu odlupanego od fundamentów spalonego domu i ogarniałem wzrokiem cały rozległy plac zawalony gruzami, kominkami oczyszczonych cegieł i stosami żelaza, wśród których uwijały się roześmiane dziewczęta w robotniczych kombinezonach i słychać było pokrzykiwania chłopców zajętych rozbiórką murów. Pracowite parowoziki ciągnęły sznury wagonetek napełnionych gruzem po czub, mijały się na zakrętach, pogwizdywały ostrzegawczo i wyjeżdżały poza stadion między ulice ruchliwe i gwarne. Na ostrym, chłodnym wietrze łopotały granatowe proporce brygad roboczych, ale ziemia już parowała w wiosennym słońcu. Berliński marzec jest łagodny, pozwala drzewom rozwijać pąki. Pozwala również pracować przy łopacie zrzuciwszy koszulę.

Wreszcie uderzył gong na przerwę i chłopcy ze śmiechem odłożyli na bok kilofy i łomy. Wypatrywałem go przy magazynie żelaza; nadszedł niespodziewanie od strony spalonych domów okalających stadion i wskoczył na beton.

— No, jak ci się podoba nasz stadion? — zapytał dumnie i nie dając mi czasu na odpowiedź mówił dalej: — Nie chcieli nas puścić na stadion olimpijski, zagar-

nęli go na użytek nadludzi z armii amerykańskiej i angielskiej, to zbudujemy sobie swój własny stadion, socjalistyczny! Czterdzieści tysięcy widzów, to nie frazka! I pomyśl: to tylko dziesięć procent całej młodzieży, która zjedzie się na zlot! Pół miliona! Już dziś się nas boją zdrajcy z zachodniego Berlina! Jeden proponował, aby nas uraczyć rolmopsami, że niby u nich tak dobrze, śledzie i pomarańcze za darmo; drugi wołał taniej — czołgi na nas wystawić; trzeci groził karabinami maszynowymi. Bo i co mają nam odpowiedzieć? Gdy ich zapytamy: czemu nie chcą zjednoczenia Niemiec? Czemu nie ukarali hitlerowców? Czemu oddali im Zagłębie Ruhry? Czemu mają trzy miliony bezrobotnych? Chcą wojny czy pokoju? I zmusimy ich, żeby powiedzieli: pokoju! A ja się prywatnie spytam: kiedy zrobicie porządek z moim wujem?

Wyciągnął z kieszeni owinięte w celofan dwie kromki chleba, przełamał się ze mną i jedząc mówił:

— A z wujem to była taka historia: koniec wojny, zdobycie Berlina. Mieszkaliśmy pod Berlinem, a wuj, znany adwokat, w willowej dzielnicy Berlina, Nikolassee. Oczywiście członek NSDAP, złota odznaka hitlerowska. Szanowany bardzo w naszej rodzinie. Wzór cnót, bohater do naśladowania. Przykład dla mnie. No i podczas ofensywy radzieckiej na Berlin wygnano nas z osiedla. Ludność w strachu przed nadchodzącymi bojami rzuciła się w stronę Berlina, tarasując drogi i szosy wozami, wózkami, pędząc po asfalcie krowy, świnie i konie. Ja szedłem z rodzicami, ciągnąc mały wózek z pościelą i żywnością. I wtedy stało się nieszczęście: naszą szosą poszły rezerwy niemieckie. Czołgi, piechota zmotoryzowana. Wyorały przejście wśród uchodźców, wygniotły wozy, bydło, żywych ludzi. Nie potrzebuję ci opisywać, co się wtedy działo na szosie. Czołgi przeszły do przeciwnatarcia, a na szosie zostało potwor-

ne kłębowisko ludzi rannych, pokaleczonych, przywalonych szczątkami wozów i dobytku. Oślepione, przerażone konie dziko galopowały po szosie, słychać było jęk ludzi zmieszany z kwikiem świń i tęsknym, przerażonym rykiem krów, wałęsających się po przydrożnej, podmokłej łące.

Z mojej rodziny nikt nie ocalał. Nie będę ci opowiadał, co wtedy czułem, dość, że pod wieczór odszedłem z szosy bocznymi drózkami, na Berlin. Byłem ranny, przygniotło mi rękę, napuchła, skaleczyło głowę. Owinałem ją szmatami. Udało mi się przedostać na przedmieścia berlińskie, biedne i zapuszczone dzielnice robotnicze. Dwa dni trwało, zanim przedostałem się na Nikolassee. Berlin przeżywał wtedy ciężkie naloty. Byłeś kiedyś na Nikolassee?

Kiwnąłem głową w milczeniu. Ładna i bogata dzielnica, mieszkania fabrykantów i ich inteligencji, jezioro, sporty, czego dusza zapragnie, tylko trzeba mieć pieniędzy.

— Tak, tam siedzą teraz Amerykanie i ich zausznicy. Wille, drzewa, ogródki. Wymarzone miejsce dla dzieci i psów. Kiedy zaszedłem, zobaczyłem, że na Nikolassee było spokojnie, jakby wojna już się dawno skończyła. Wprawdzie artyleria przeciwlotnicza stała na placu, ale w bocznych uliczkach, gdzie ciągnęły się szeregi małych will, było cicho i spokojnie. Podeszedłem do willi mego wuja i nacisnąłem guzik przy furtce. Zdziwiłem się: rzeczywiście dzwoniło. Przestraszyłem się prawie, że ludzie mogą tak normalnie żyć. Kiedy mi służąca otworzyła drzwi, krzyknęła przerażona. Zaraz z przedsionka wybiegła ciotka i zajęła się mną, zupełnie jak w *Dawidzie Cooperfieldzie*. Opowiedziałem jej wszystko i po raz pierwszy w życiu przeklinałem wojnę, hitleryzm i wszystkich, którzy mu pomagali. Ciotka kiwała porozumiewawczo głową i mówiła, że to

straszne. Wiesz, jak stare ciotki. Wieczorem wrócił mój wuj, który brał udział w ćwiczeniach Volkssturmu. Wyglądał śmiesznie z karabinem na ramieniu, był oburzony i niczego nie rozumiał. „Jak to — krzyczał — to oni myślą dzieciakami i starcami powstrzymać ofensywę? Dawno mówiłem, że Hitler doprowadzi nas do zguby. Zmuszono nas do wstąpienia do partii!“ A następnego dnia znowu szedł do swej kompanii.

Byłem u nich prawie tydzień. Nieomal do końca wojny. Jeszcze przed ostatecznym szturmem Berlina, na Nikolassee weszły wojska radzieckie. Mój wuj uciekł z Volkssturmu i zmienił się w spokojnego obywatela. Kopał sobie ogródek na wiosnę i nic go nie obchodziła żadna wojna. Pomagałem mu w pracy, a ulicą przechodziły formacje czołgów radzieckich, nad Berlinem trwały zacięte walki lotnicze, ze śródmieścia dochodził nieustanny huk armat i wieczorami widać było ogromną łunę nad miastem.

Pewnego ranka, gdzieś pod koniec kwietnia, gdy kopaliśmy grządki pod pomidory, z willi wybiegła przestraszona ciotka i zawołała na wujka:

— Willy! Willy! Rzuć łopatę! Wołają cię do telefonu!

Wuj obejrzał się wokoło, nie wiedząc, co robić, rzucił łopatę i podreptał do gabinetu. Wsunąłem się za nim. Byłem ciekaw, komu się chce telefonować w taki czas?

Wuj podniósł słuchawkę i odważnie zapytał:

— Kto mówi?

Przybladł nagle, usiadł bezsilnie na fotelu i zakrywszy słuchawkę dłonią powiedział szeptem:

— Kwatera Główna Wodza Rzeszy, Adolfa Hitlera, Reichskanzlei. O, Boże, Boże, przecież nie zdezerterowałem! (Głośno, do słuchawki, przymilnym głosem) — Zaraz, zaraz, panie pułkowniku, uporządkuję myśli! Tak, przed pół godziną, gdy kopałem w ogródku, przy-

szło dwu czołgistów do sąsiedniej willi, chcieli się napić wody. Piechota? Nie, nie widziałem. Na rogu ulicy stacjonowały czołgi. Ile? Chyba ze dwanaście. Przed chwilą czołgi odjechały, zdaje się w kierunku Krumme Lanke. Proszę, bardzo proszę, dumny jestem, że mogłem spełnić swój obowiązek.

Odłożył słuchawkę na widelki i otarł czoło chusteczką. Patrzyłem na niego osłupiały:

— Jak mogłeś to zrobić? Przecież cię nikt nie zmuszał? Przecież sam mówiłeś.

— Milcz, smarkaczu! — wrzasnął wuj. — Jeszcze może wygramy wojnę! Trzeba do końca walczyć razem z Wodzem! A teraz marsz do ogródka! Nie skończyłeś kopać grządki.

Wybiegłem z gabinetu i tak, jak stałem, uciekłem od wuja. Błąkałem się głodny po mieście, jadłem, co wpadło w ręce, spałem, gdzie było miejsce. Kiedy Berlin padł, najpierw pracowałem przy usuwaniu barykad, potem poszedłem do pracy w fabryce żarówek w sektorze radzieckim. Początkowo byłem gońcem, potem zacząłem się kwalifikować. Z fabryki poszedłem na uniwersytet, posłała mnie organizacja młodzieżowa, kurs wstępny odrobiłem doskonale, dogoniłem tych z maturą.

A z uniwerku, bracie, jazda budować stadion! To dobra zaprawa! Za trzy lata skończę tę swoją germanistykę i pójdę do gimnazjum uczyć młode pokolenie. Dużo roboty mamy jeszcze w Niemczech!

— A co z wujem? Posadzili go Amerykanie?

— Owszem, za biurkiem adwokackim. Przygarnęli go z otwartymi ramionami. Doradca prawny. Mnie nienawidzi żywiłowo, gdyż go kompromituję w oczach jego „patriotycznych“, to znaczy hitlerowskich, kolegów. Mieszka w swej willi, kopie nadal ogródek. Tak, jest jeszcze wiele roboty w Niemczech.

Gong oznajmił koniec przerwy na śniadanie. Mój

przyjaciel, budowniczy stadionu młodzieży, skończył pośpiesznie jeść, złożył starannie celofan i schował go do kieszeni. Ucisnąłem mu dłoń na pożegnanie:

— Myślę, że się spotkamy na Święcie Młodzieży?

— Na pewno! — roześmiał się i pokazał ręką ogromny plac, na którym ustawiały się brygady młodzieży. — A jak się nie spotkamy, to masz jeszcze pół miliona innych!

Wstał, ujął kilof i szybkim krokiem dołączył się do swej grupy. Poszli wszyscy przez stadion na skraj, gdzie miały się mieścić trybuny, wspięli się na zwaliska spalonych domów, rozstawili się w łańcuch i zaczęli walić kilofami w mur.

PIĘKNE WAKACJE

NOTATKI DO OPOWIADANIA

I

Proszę was, zeszłego lata byłem na społeczno-wypoczynkowym obozie w Rzeszowskiem. Zjechaliśmy się ze wszystkich uniwersytetów i akademii, razem ze dwieście osób. Medycy, górnicy, prawnicy, poloniści. Obie płci i wszystkie wydziały. Rozmieściliśmy się w opustoszałym, trochę rozszabrowanym pałacu, ozdobionym herbami hrabiowskimi. Miejscowe podania ludowe opowiadają o hrabim, który żył-pił za sanacji, kumał się z Niemcami, uciekł przed Polską do Paryża, gdzie resztki fortuny przepuszcza ponoć w hulankach i zabawach. Podanie głosi dalej, że to rodzinne, gdyż niegdyś córki pana hrabiego uciekały przed ojcem do oficyny i podbawiały się z parobkami.

Pałac wznosił się na wzgórzu wśród pięknego, rozłożystego parku. W dawnych czworakach dworskich, leżących za parkiem, mieszkali pracownicy PGR-u, który powstał na dworskich gruntach; wzdłuż drogi budowano dla nich jednorodzinne domki. Z drugiej strony parku, na zboczu wzgórza, rozpościerało się małe miasteczko. Rynek porośnięty trawą, trzy czy cztery murowane budynki: szkoła, poczta, dom ludowy, spółdzielnia, drewniane zagrody wiejskie. Na rynku pały się kozy, zresztą było sennie, mieszkańcy częścią by-

li w polu, częścią pracowali w pobliskiej cegielni. Nad miasteczkiem dumnie świeciły się dachy strzelistych wieżyczek kościoła. Parafia musiała być zasobna: osobno zbudowano tu wikarówkę, osobno postawiono organistówkę, a willa proboszcza znajdowała się w małej dolince, otoczona urodzajnym sadem, bujnym ogrodem i wsparta była o niezliczone zabudowania gospodarskie.

Byliśmy trzecim turnusem, toteż nasz obóz miał już swoją prehistorię. Między innymi przebywał na którymś turnusie w naszym pałacu zespół baletowy, udający się na występy do Pragi. Skłonność do częstych kąpeli, którą wykazał ów zespół, stała się powodem wielu komplikacji na naszym turnusie.

II

Proszę was, do rzeczki trzeba było iść spory kawałek drogą ocienioną wysokimi topolami. Wisłoka, rwąca i pienista, jakby tylko co spadła z pobliskich gór, płynęła doliną, urywała brzegi łąkom, była płytka, świeciła miedzianymi mieliznami i szarymi łysinami żwiru, ale podczas powodzi umiała podpłynąć pod park, zatopić łąki, zerwać most. Za rzeczką była cegielnia i przystanek kolejowy, a najważniejsze dla nas — tamten drugi brzeg był wymarzoną plażą. Można było rozkładać się tam swobodnie między kępami młodej wikliny, wygrzewać się na słonecznych polankach, zażerać się słodkimi, pachnącymi, rozpływającymi się w ustach jeżynami. Pewnego dnia nasz zespół baletowy, odbywszy męczące ćwiczenia, biegł mostem na plażę. Trzeba trafu, że mostem kroczył poważnie zadumany miejscowy proboszcz, człek już starszy, mądry, z cicha pęk, obrażony milcząco na świat cały, patrzący koso na nasze czołówki sanitarne, udział

w wiejskich zebraniach, porady prawne w gminie, ambulatorium, sportowe rozgrywki z wiejskimi chłopcami, robotę w wiejskich kołach ZMP, ogniska dla pracowników z PGR-u, pracę przy łubinie, burakach, omłocie zboża, transporcie żyta na dworzec; można powiedzieć — nie lubił nas.

Spotkawszy nasze koleżanki na moście (a był piekielny, lipcowy gorąc i dziewczęta były w szortach), zatrzymał się, popatrzył na nie surowo i zawołał, aż przysiadły konie przejeżdżającego mostem furgonu:

— Jak wy, bezwstydne panny, możecie w takim stroju paradować po świecie Bożym? Jakże wam słońce sumienia nie przepali?

Dziewczęta spojrzały na przysadzistego, czerstwego, nalanego człowieka o twarzy opalanej i dłoniach białych jak mleko i odparły z lekką urazą:

— Przecież ksiądz na własne oczy widzi, że upał. Idziemy na plażę. Chyba możemy odpocząć latem, kiedy harowałyśmy cały rok i zdawałyśmy egzaminy? Jak się księdzu wydaje?

I nie czekając na odpowiedź tanecznym krokiem przebiegły przez most i zsunęły się po skarpie na wodę. Opatulony po szyję w sutannę ksiądz poczerwieniał trochę z gorąca (był piekielny upał, powietrze było gorące; nie powietrze, lecz blacha!), a trochę z irytacji, gdyż przejeżdżający furmani uśmiechali się wcale niepochlebnie, zakarbował sobie śmiałość studentek i oddalił się pospiesznie. Dziewczęta zaś rozłożyły nad wodą koce i posmarowały się olejkami, poczęły się spokojnie opalać.

III

Ale sprawa nie uszła jak badył przy płocie. Owszem, wzrastała, kwitła, dojrzewała w pamięci księdza

proboszcza, aż za naszego turnusu wydała marne owoce. Co prawda miała i dobrą stronę: utrwaliła pewną młodzieńczą, może przelotną miłość; i dlatego o niej opowiadam. Miałem na obozie przyjaciela, imieniem Roman. Studiował w Gdańsku na wydziale budowy okrętów, szło mu ciężko, miał trudności z polszczyzną, prócz rosyjskiego nie znał żadnych obcych języków. Matka jego była sezonową robotnicą, ojciec zginął w jakiejś katastrofie przed wojną. Chłopak wałęsał się prawie bez opieki, podkradał węgiel z kolei, łąził po cudzych ogrodach i sadach (mieszkał w jakimś Białymstoku czy Grodnie); podczas wojny ewakuowano ich do Związku Radzieckiego i Roman, jak to mówią, wyszedł na ludzi. Najpierw pracował w kołchozie pod Archangielskiem, gdzie nauczył się smętnych piosenek wielkoruskich, skończył szkołę podstawową, zapalił się do książek. Potem poszedł do fabryki, stał się fachowym metalowcem. Wróciwszy pracował w stoczni gdańskiej i stamtąd poszedł na polibudę, zdawszy wyuczoną po nocach maturę.

Wiele się od niego nauczyłem. Umiał opowiadać jak nikt, a gdy zawodziła narracja, przypominał piosenki kołchozowe i ludowe czastuszki. Słowem — człowiek twardy; ale się zakochał. Pewnego dnia grał w siatkówkę. Siedziałem pod pałacowym kasztanem i — wstyd powiedzieć — czytałem *Przygody dzielnego wojaka Szwejka*, lekturę wybitnie wakacyjną. Kiedy się skończył set, Roman usiadł koło mnie na kocu i powiedział zaczepnie:

— Z tym wszystkim socjalizm mnie nie cieszy.

— Doprawdy? — wyraziłem uprzejmie zdziwienie, nie odrywając oczu od Szwejka, zamkniętego właśnie w areszcie za obrazę któregoś cesarza austriackiego. Roman ciągnął niezrażony:

— Powiedz, czy ja mogę być dobrym socjalistą?

— Diabli cię wiedzą! — odpaliłem. — Niech cię oceni twoje koło ZMP.

— Widzisz, kiedy mnie nic nie cieszy.

— Nic?

— Nic.

— Nawet Nowa Huta?

— No... Nowa Huta... Kocham się nieszczęśliwie — wyrzucił z siebie i umilkł. (Opowiadam tę rozmowę żartobliwie; w rzeczywistości była dłuższa i poważniejsza.)

Piłka od siatkówki rąbnęła między nas na koc, wybiła mi książkę z ręki i potoczyła się pod nogi. Roman zatrzymał ją kolanem i brudną piętą odkopnął graczom. Pomogli mu chóralnym okrzykiem: „Hej! Róób!“

— Nic mnie nie cieszy! — deklamował ponuro. — Bo ona mnie zupełnie nie kocha.

— Przecież łącicie razem na śniadania, na obiady, na kolacje, rano idziecie pleć buraki i układać w kopki łubin, razem chodzicie na zebrania gminnych kół ZMP, razem tańczycie, razem siedzicie na wszystkich dyskusjach, aż was długowłosey Langer od wychowania ideowego podziwia. Czego chcesz jeszcze?

— Nic. Ale żebyś wiedział: człowiek wychodzi wieczorem na dwór, patrzy w niebo nad drzwiami, wie, że gwiazdy — to także całe światy, wielki ocean ruchu, energii, siły, radości, życia; spogląda na horyzont, widzi dalekie światelka cegielni, słyszy szum pociągów, wywożących cegłę dla naszych szkół i fabryk — ino nie cieszy się tak, jak potrzeba. Nie wiem zupełnie, co zrobić — zakończył niespodziewanie całkiem rzeczowo. — Ona wierzy, ma nabitą głowę całą mitologią, niewiele wie o prawdziwym życiu, z niczym nie walczyła. I co tu robić, poradź.

— Ja ci radzę, królewno: rób, jak uważasz — powiedziałem mu serdecznie i ponieważ wołali mnie do siatkówki, zerwałem się dziarsko z koca. Zaserwowałem chytrze wysokim wolejem, gdyż przeciwnicy stali pod słońce. Z miejsca zdobyłem punkt i uznanie. Graliśmy aż do podwieczorku, a potem poszedłem na zebranie partyjne do cegielni, gdzie omawialiśmy bolączki, jakie trapią załogę fabryki: brak cukru, wykupionego przez kułaków, ubrania robocze, biurokracja w zarządzie Zjednoczenia, mały kontakt z powiatem. Dużo mieliśmy roboty z tą cegielnią, a jeszcze więcej nauczyliśmy się w tej robocie.

Rzecz w tym, że Basia, świetna polonistka z Jagielonki, rodem była z mieszczańskiego domu, obitego zeszłowiecznymi tapetami. W robocie umiała przodować. Nie bała się łubinu, zginała grzbiet nad burakami, chodziła ochoczo do gminy na kancelaryjną robotę, ale w pracy społecznej prawie udziału nie brała, w niedzielę pilnie szła do kościoła, a zaprzyjaźnwszy się z Romanem, zazdrośnie strzegła swej „apolityczności“ i trochę miała za złe jego entuzjastyczne opowieści, piosenki, wspomnienia. Wiemy, jak to jest w środowiskach studenckich, ile gorących dyskusji trzeba potoczyć, ile nocy przegadać, jak nieraz nos wetknąć niedowiarkom w różne sprawy, aby ich przekonać. Najlepiej jednak uczy konkretny konflikt klasowy, walka ideowa. W niej ziarno odpada od plewy, odłącza się wróg, przybliża przyjaciel.

Wieczorami mieliśmy przeróżne dyskusje. Mówiło się o Planie Sześcioletnim, o walce z imperializmem, sprawie niemieckiej, klasowości nauki; była także dyskusja o kościele. Stara sala rycerska pałacu hrabiego Reya zamieniła się w świetlicę. Zapadał mrok letni, zapalaliśmy lampy naftowe, które migotliwym blaskiem napełniały mroczne kąty sali, skąd wychylały się

malowane *al fresco* herby rycerskie. Czy kościół jest, czy nie jest związany z kapitalizmem? Zdania były podzielone. Basia niezwykle gorąco zabierała głos w dyskusji. Mówiła o wieczności kościoła i jego misji moralnej, odsuwaniu się zupełnie od doczesnych konfliktów społecznych, strażą wieczystej moralności ludzkiej. Zgodziła się, że polityka to jedno, a religia — drugie. I poszła spać z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Za to obudzenie było przykre. W niedzielę wybrała się do kościoła, wróciła oburzona i rozgoryczona. Czerstwy, nalany, opalony ksiądz proboszcz miał kazanie o moralności. Jako siedlisko niemoralności, Sodomę, Gomorę, Babilon i Korynt, wytknął palcem dawny pałac pobożnego hrabiego Reya, w którym zagnieździła się bezwstydną młodzież. Bezwstydną ta młodzież nie tylko chodzi w krótkich spodenkach na plażę, nie tylko wspólnie urządza zabawy i posiłki, ale jeszcze ośmiela się zawierać kontakty z młodzieżą wiejską, siać zgorszenie i zamieszanie w duszach panien i młodzieńców z jego, księdza proboszcza, parafii. Wszystko to, powiedział proboszcz, dzieje się w ludzkich oczach i wszystko będzie zapisane tak w niebie jak i na ziemi.

Odbyliśmy naradę aktywu obozowego. Dziewczęta mówiły, złe i oburzone:

— To krecia robota, ksiądz nie miał prawa nas obrażać. Jeżeli mu się co nie podobało, mógł przyjść i zanieść kierownictwu zażalenie. To jego prawo. Ale nie wolno mu wykorzystywać ambony dla celów jakiejś głupiej propagandy. Wbija klin między nas a młodzież wiejską, budzi nieufność do naszych czołówek sanitarnych. Przebadaliśmy już pół tysiąca chorych!

Basia milczała, a potem niespodziewanie zaczęła bronić księdza:

— A może on istotnie nic nie wiedział? Może mu te „ludzkie oczy“ powiedziały? Naplotkowały?

— Ale! — prychnął śmiechem Roman. — A ta historia z zespołem na moście? Sam nasz pobyt tu jest mu solą w oku i kolką w boku.

— Trzeba się przekonać, a dopiero potem mówić — powiedziała surowo i pouczająco Basia.

Roman roześmiał się i powiedział:

— Dobra! Stawiam wniosek: wysłać delegację do proboszcza z uprzejmym zapytaniem, jaki cel miało jego kazanie i co zamierza zrobić, aby naprawić to, co nabrechał. Basia powinna iść pierwsza. Niech się leczy z naiwności!

Wniosek przyjęto i komisję wybrano: Basia, długowłosa Langer — kierownik ideowy naszego turnusu, ja. Przebieg rozmowy postanowiono ogłosić w gazetce ściennej.

Zapukaliśmy; za drzwiami było głucho i cicho, aż wreszcie rozległy się człapania niemrawe, leniwe, niechętnie. Zazgrzytał łańcuch, zaskrzypiał zamek, zachrobotał klucz, drzwi się uchyliły i w szparze ukazała się zaspana twarz starej kobiety. Baba oznajmiła nam, że ksiądz nie wyleguje się do południa, tylko wstaje razem ze słońcem. Dziś odjechał rano do Tarnowa, do biskupa. A jak nie wierzymy, to możemy popatrzeć na podwórko: woźnica wyprzęga z bryczki konie, które odwoziły księdza na stację. Za czym zatrzasnęła drzwi, zachrobotała kluczem, zaskrzypiała zamkiem i niemrawo, leniwie, niechętnie poczłapała w głąb proboszczówki.

Plebania leżała u stoku wzgórza porośłego dworskim ongiś, a teraz PGR-owskim parkiem; przedzielona była szeroką drogą od ogrodów PGR-u. Położenie prawdziwie strategiczne: proboszczówka bowiem władała jed-

ną z nielicznych studni miejskich. Wielu sąsiadów brało u księdza plebana wodę, toteż u wodopoju wywiązywały się długie rozmowy, i czym kawiarnia dla artystów, świetlica dla robotników, biblioteka dla studentów, tym dla dewotek miasteczkowych było koryto do pojenia krów, gościnnie rozłożone u księdza proboszcza. Ksiądz był uczynny, bezinteresowny, za wodę złamanego grosza nie brał i przy korycie kołaty nie urządzał: nawet naszemu obozowi dawał wodę za darmo. Codziennie podjeżdżał pod studnię okazały beczkowóz z PGR-u i czerpał żurawiem całe metry wody, po czym wesoło piał się pod górę i ze stękaniem stawał pod kuchnią. Myć i kąpać się chodziliśmy nad rzekę, wody trzeba było oszczędzać.

Z tą cysterną mieliśmy wiele kłopotu: dowiedziawszy się o pobycie jakichś studentów w pałacu PGR-owskim, zarząd wojewódzki PGR-ów najpierw zakazał kierownikowi PGR-u dostarczać nam żywności, a kiedy ten się uparł, zabronił mu wypożyczać konia do beczkowozu, wreszcie przypomniał sobie, że mu beczkowóz na gwałt jest potrzebny do podniesienia i krzewienia kultury warzywniczej w sąsiednim, oddalonym od nas o dobre dwadzieścia kilometrów PGR-ze, i surowo polecił dostarczyć także ów beczkowóz pod rygorem takim a takim. Beczkowozu nie oddaliśmy. Korespondencja trwała bardzo długo i obfitowała w przeróżne zwroty stylistyczne; nagle się zakończyła bardzo przyjemnym listem. Byliśmy wzruszeni niespodzianką, okazało się, że podpis pod listem się zmienił. Wyleli faceta na amen z tego zarządu. Ale to już inna historia. Mianowicie historia cichego jak mysz pod miotłą sabotażu, którego „nie opłaci“ się nawet ścigać. O tym kiedy indziej. Na razie wracajmy do proboszczówki.

Istotnie wróciliśmy nazajutrz. Znowu przeszliśmy koło rozłożystego sadu, który w tym roku obficie obrodził jabłkami i orzechami, minęliśmy najeżony sztachetami ogród, kwitnący piwonią, groszkiem i astrami, weszliśmy na ganek opleciony bluszczem i zapukaliśmy. Niemrawego, leniwego, niechętnego człapania tym razem nie było. Zaskrzypiały energiczne kroki, drzwi machnęły się na zawiasach, na progu stanął sam ksiądz proboszcz, opalony, czerstwy, surowy. Zaprosił nas do środka, kazał siadać, sam usiadł za biurkiem, złożył ręce jak do modlitwy, popatrzył na nas chwilę przenikliwym wzrokiem i powiedział:

— Państwo na jaką intencję?

— Na dobrą — odpowiedziałem za wszystkich. — Przyszliśmy się dowiedzieć, z jaką intencją ksiądz wygłaszał kazanie o nas. Koledzy wydelegowali nas, abyśmy się poinformowali — ciągnąłem uczenie — o stanowisku księdza wobec obozu i o powodach, dla których ksiądz pozwolił sobie na zarzut niemoralności wobec nas. Nie wiem, czy ksiądz zdaje sobie sprawę, że wskutek tego poszły plotki po wsiach, że żyjemy we wspólnych pokojach, że uprawiamy występki, Bóg wie jakie rozpasanie seksualne, że gorszymy młodzież wiejską.

Ksiądz milczał i przyglądał się nam uważnie. Miał oczy bez wyrazu jak śnięta ryba i zarazem bystre jak głodny wilk. Dobry, przytomny facet! Aktywista polityczny! Każdemu rękę uściśnie, z każdym na rogu ulicy pogada, do baru zajdzie, wciśnie się na podwórze, udaje brata-łate, swój chłop! Rozglądałem się z ciekawością po pokoju, ale jeszcze bardziej ciekawiła mnie nasza delegacja. Młody Langer, z Akademii Górniczej, był hutnikiem, krakowianinem, gdzieś chyba z Plant, a wiadomo, w Krakowie na każdym zakręcie uliczki

jak nie ąblica historyczna, to kościół, jak nie figura świętego, to święty sklep z dewocjonaliami. Szczęściem, Nowa Huta wyprostuje tam karki młodzieży, którą chciano by wtłoczyć w tradycje cesarza i króla Franciszka Józefa. Rozmowa z księdzem była dla Langera pewną próbą: założylibyśmy się, że pierwszy raz mówi oko w oko z tym, co się nazywa „przeciwnikiem politycznym“ czy też wyraźniej — wrogiem, wrogiem klasowym. Basia siedziała grzecznie, zachowywała się jak w gość'ach, z ową mieszaniną uwagi i swobody cechującą dobrze wychowane panny. Ksiądz proboszcz tak samo nas, jak sędzę, oceniał, bo się odezwał lekceważąco:

— Nie mam najmniejszego obowiązku rozmawiania z państwem. Kościół jest matką dla wiernych. Moim obowiązkiem jest wspomaganie katolików, a nie dyskusje z ateistami.

— Ależ ja jestem katoliczką! — zawołała Basia. — Zresztą nie wydaje mi się, żeby moi koledzy popełnili coś niewłaściwego pytając księdza o to kazanie. Mogę księdza proboszcza zapewnić, że nasz obóz jest rzeczywiście urażony, i wydaje mi się, że winni jesteśmy naszemu turnusowi wyjaśnienia.

— Proszę państwa, pozwólcie więc, że wam wyjaśnię — powiedział spokojnie ksiądz odwracając się do nas bokiem i spoglądając na Basię. — Jestem pasterzem dusz tej parafii. Odpowiadam za nią przed ludźmi, przełożonymi, kościołem, Bogiem. Pilnie baczę na spokój tych dusz, na ich moralność, boleję wraz z nimi, upadam wraz z nimi, podnoszę się wraz z nimi. Pani, jako studentka, nie może mieć pojęcia, jak ciężka jest praca prostego, zwykłego, starego wiejskiego proboszcza. Pani przyjeżdża tu na wakacje, na zabawkę, zostawi niepokój w duszach ludzi i odjedzie! A kto będzie potem

za nie odpowiadał? Ja! Proboszcz! Ileż pracy trzeba, aby to zło wyplenić z korzeniami!

— Jakie znowu zło? — zaniepokoił się Langer. Odgarnął okropnie długie, kudłate włosy do tyłu palcami i patrzył wyzywająco na księdza. Postanowił być uprzejmy, ale, rzecz oczywista, diabli go brali.

— Ot, niech pani weźmie zagadnienia społeczne — ciągnął flegmatycznie ksiądz pociemniawszy nieco na twarzy. — Inne w mieście, inne na wsi. Co podoba się inteligentom, to lud odrzuca. Nasz zacofany, prymitywny, nieuczony lud trzeba znać jak własne palce! Wtedy dopiero można nim władać! Przebierać nim jak palcami! Powiedzmy: obyczaj. W mieście nie razi papieros w rękach kobiety, na wsi jest zgorszeniem. W mieście można się opalać i kościół nie ingeruje i nie wkracza, na wsi — sieje to zło i zamieszanie, zasadza niepokój w duszach. Albo, proszę pani, tak zwane przemiany społeczne. Nikt mi nie zarzuci, że jestem reakcjonistą. Jeden z pierwszych księży podpisałem Apel Sztokholmski. Nawet mówiłem z ambony o błogosławieństwie pokoju.

— A w praktyce jak to ksiądz realizuje? Przecież walka o pokój to nie tylko jedno kazanie, ale codzienna praca między ludźmi, wywalczenie innych, bliższych celów — powiedział Langer. — Choćby stosunek do młodzieży ludowej.

Ksiądz odchrząknął. Mówił cicho i spokojnie, intymnie, nieomal jak w konfesjonale, po ojcowsku, ale przebijaly się w jego głosie nuty to ostrzejsze, to znów słodsze, to głębsze, to jaśniejsze tony, grał na strunach głosowych jak na organach; co tu gadać — kaznodzieja urodzony! I to nie taki wulgarny, który przemawia z ambony jak kat z szafotu, ale ten subtelniejszy, co duszę pod włos bierze w rozmowie serdecznej, w cztery

oczy, w czterech ścianach. W ten sposób mówił dalej nasz ksiądz:

— Taka spółdzielnia w Czerniawie! Ileż to naród się namęczył, zanim ją założył! A teraz co? Myślicie, że nie wiem? Ze ślepy jestem? że głuchy? Ze nigdzie nie chodzię? Ludzie się męczą, pracować nie chcą, obleniwili się, patrzą tylko na pomoc. Przyjechali do nich robotnicy, wyremontowali im maszyny, a oni teraz czekają, kiedy znowu kto przyjedzie, aby im robił za darmo, za lud zapłać. A z polami co? Albo to obsiewają tak starannie jak prywatny gospodarz? Albo to jak na swoim? A plon? Proszę pani, gdyby pani to zobaczyła na własne oczy!

— Ale myśmy nie o spółdzielni przyszli z księdzem rozmawiać, tylko o księdza kazaniu.

— A co wam do mego kazania — rozeźlił się ksiądz. — Mnie będziecie na kazalnicę włożyć? Na ambonie rozkazywać? Mnie wolno głosić z ambony słowo Boże takie, jakie uznam za wskazane.

— Ale nie kłamstwo! — warknął Langer.

Ksiądz umilkł i patrzył zmrużonymi oczyma na długowłosego młodzieńca. Langer niefrasobliwie przecesał włosy dłonią.

— Mój kolega chciał powiedzieć, że ksiądz się mógł pomylić, nawet z ambony — rzekła Basia.

— Pan jest kierownikiem wychowania ideowego na waszym obozie? — zapytał ksiądz Langer. Langer kiwnął głową.

— To czemu pan, zamiast pilnować swoich podopiecznych, włóczy się po okolicy z tą malarką, studentką?

Langer zdziwił się niepomiernie.

— Coś podobnego! Czy to też należy do czynności duchowych księdza? A skąd ksiądz ma tak dokładne informacje?

— Mnie ludzie wszystko donoszą. Do kogo mają przyjść, jak nie do księdza proboszcza? Ja odpowiadam za stan parafii, za ich spokój sumienia, ja muszę wiedzieć, co się w parafii dzieje. Odpowiadam za to przed władzą zwierzchnią.

— Ludzie księdzu donoszą i ksiądz z tych podszeptów i donosów robi służbowy i publiczny użytek. A ksiądz wie, jak to się nazywa po polsku? — zapytałem prosto z mostu.

— Może pan będzie łaskaw powiedzieć. Pan filolog?

— To się nazywa szpiegostwo. Ksiądz zorganizował sobie coś w rodzaju amatorskiej siatki informatorów. A może w ten sposób ksiądz bada stan umysłów np. w cegielni? Albo w PGR-ze? Albo w tej spółdzielni, która tak leży mu na sercu? I posyła odpowiednie raporty? Czy ksiądz sobie zdaje sprawę z tego, co powiedział?

Ksiądz obrócił się frontem do mnie. Pomilczał, popatrzył, wreszcie rzekł:

— Nie bardzo rozumiem, z jaką intencją przyszlście państwo do mnie.

— Czy ksiądz uważa, że miał rację mówiąc o naszym obozie jak o bandzie niemoralnych ludzi? — zapytała Basia.

— No, może niewłaściwie oceniłem pracę waszą, państwo, ale przecie przyznacie, że tamte panie na moście nie zachowały się idealnie.

— To czemu ksiądz zaraz nie przyszedł ze skargą, tylko odczekał tyle czasu? — zapytała dalej Basia.

— Do kogo mam iść? Do was? — zdziwił się szerzej ksiądz.

— Wolał ksiądz wierzyć plotkom? Utwierdzać je z ambony?

— Mówię to, co mówił lud! Jestem jego pasterzem!

— Lud w trzydziestym ósmym strajki chłopskie tu

urządzał, marsze głodowe, bił się z policją. O ile wiem, ksiądz zajął wtedy nieco inne stanowisko. Ludem dla księdza wtedy była policja. Ale to stare dzieje i nie wracajmy do nich — powiedziałem. — Tradycja ruchów chłopskich żyła w tej okolicy bardzo silnie, ludzie są pamiętliwi!

— Jak pan śmie! — powiedział ksiądz i zacisnął usta. Po chwili milczenia: — Za młody pan lis na mnie, staro. Czego chcecie?

— Aby ksiądz z ambony opowiedział wiernym o naszej pracy społecznej, o roli młodzieży ludowej, o nowej inteligencji państwa ludowego.

— Ja nie mówię o zdarzeniach, tylko o tematach, problemach, zagadnieniach moralnych — rzekł wymijająco ksiądz. — Kto wie, może kiedy poruszę i wasz temat jeszcze raz. Na razie powiedziałem wszystko.

Basia uśmiechnęła się wdzięcznie, podziękowała księdzu za przychylną odpowiedź i ciągnęła dalej:

— Ale my, proszę kochanego księdza, wyjeżdżamy za półtora tygodnia i byłoby nam przykro, gdybyśmy tego nie słyszeli.

— To co? — zapytał ostro ksiądz. — Pani mi nie wierzy! Pani, katoliczka?

Był nieustępliwy. Otrzymał widać instrukcje od wikariusza generalnego w Tarnowie i nie mógł ich przekroczyć. Zresztą, prawdę powiedziawszy, nie kwapił się do tego.

— Słowem — ksiądz nie powie?

— Nie.

Basia wstała z krzeselka:

— Chodźcie, chłopaki. Zakomunikujemy obozowi, że nie umieliśmy przekonać księdza proboszcza, że woli opierać się na anonimowych informatorach i wbijać klina między nas a wiejską młodzież. Ale powiemy rów-

niez, że postaramy się, aby się to księdzu proboszczowi nie udało.

Ksiądz wstał ciężko z fotela i nogą powoli odsunął go pod ścianę. Patrzył chwilę na Basię, potem pociemniał nagle na twarzy i warknął:

— Wynosić mi się natychmiast! Za drzwi!

Basia odwróciła się i trzasnęła drzwiami. Za nią wyszedł Langer. Ostrożnie postawiłem fotel przed biurkiem, spojrzałem z przyjaźnią na księdza i rzekłem:

— Stare lisy nie tracą zimnej krwi. I po co ksiądz się przechwalał?

Zamknąłem za sobą cicho drzwi i zaczerpnąłem pełną piersią ciepłe, poranne, letnie powietrze.

IV

Oczekiwali przed ogrodem księżym opierając się o sztachety. Nie mówiliśmy wiele; Basia była czerwona ze zdenerwowania, Langer gwizdał ze złości. Pogoda była wspaniała i czas było iść nad rzekę. Przeszliśmy przez ocieniony, chłodny park, skomentowaliśmy po drodze dosadnie naszego rozmówcę, nie przejmując się zbyt jego wybuchem.

Basia miała tego dnia ćwiczenia sportowe, ale zamiast na siatkówkę wybrała się w pole w buraki, gdzie pracował do południa Roman z całą kolumną. Kontraktowe buraki były przez nas pieczołowicie doglądane. Ja byłem tego dnia wprawdzie wyznaczony do roboty w polu, lecz uważając, że spełniłem już swój obywatelski obowiązek wysławszy Basię do roboty, wziąłem *Szwejkę*, koc i olejek i powlokłem się nad wodę. Z czytania nic nie wyszło. Do południa słońce piekło niemiłosiernie i leżeliśmy na płytkim nurcie, budując na środku rzeki twierdzę z piasku i żwiru. Praca była cięż-

ka i niewdzięczna, zgody wśród architektów nie było; rwący nurt podgarniał nam i podkradał umocnione wały, trzeba było przeplatać je gałązkami. Warowny zamek trzymał się chyba ze trzy dni, podmywany niecierpliwie przez fale. Potem pracowali w tym miejscu piaskarze, zabrali zamek, forty, wały, jednym pociąganiem czerpaka zniszczyli feudalizm. *Sic transit gloria mundi!*

A rozmowę z księdzem opisaliśmy w specjalnym wydaniu gazetki ściennej. Opracowany przez zespół redakcyjny tekst brzmiał:

„Proszę kolegów, ksiądz jest uparty. Byliśmy u niego; po bardzo długiej i cierpliwie prowadzonej przez nas dyskusji stwierdziliśmy, że ksiądz niczego odwołać nie chce. O zajęciu kierownictwo obozu postanowiło zawiadomić zarząd wojewódzki ZMP.“

v

Niespodziewanie dostałem zaległe gazety. Akurat zaczynał się w Warszawie Polski Kongres Pokoju. Postanowiłem jechać. Pochłonęło mnie jako reportera wielkie widowisko w sali Politechniki Warszawskiej. Nieskalana biel architektury, barwne chusty delegatek, srebrne światła reflektorów i tłumy delegatów rozmawiające na korytarzach, porywisty wiatr jesienny i wiece warszawskie, owacje na cześć pokoju, Stalina, Korei — odczuwało się oddech narodu, ludzkości, świata. Miałem zaszczyt odczytywać z trybuny Kongresu rezolucję pokojową; był to wielki moment w moim życiu. Spotkałem się na Kongresie z wielu przyjaciółmi, między innymi z Ritą Schulz, bohaterską dziewczyną berlińską, która w kapitalistycznej dzielnicy miasta rozdała ulotki antywojenne i wsadzona do więzienia przez

policję francuską zachowywała się jak stary, doświadczony komunista. „Nienawidzę francuskich imperialistów — pisała w liście do komendanta więzienia — ale tym mocniej kocham naród francuski.“ Opowiadała mi swe dzieje, lecz to już inna historia. Trzeba ją będzie szerzej kiedyś opowiedzieć.

W jakiś czas potem objeżdżałem miasta wojewódzkie z relacjami o naszym Kongresie. Zahaczyłem również o Kraków. I właśnie w Krakowie spotkałem się z Romanem i Basią. Przepchali się do mnie po odczycie. Uścisnęliśmy się serdecznie.

— Na razie siedzę jeszcze w Krakowie — mówił Roman, kiedy weszliśmy w ciemne, kręte, ciche krakowskie uliczki — i zwiedzam zabytki, uczę się. Smutno tylko będzie człowiekowi, gdy przyjdzie wyjeżdżać do roboty, na polibudę.

— A jak przebiega walka o pokój w sercu waszym? — zapytałem poważnie. — Bo ja jestem delegowany do załatwienia tych spraw. Specyfika naszego frontu pokojowego wymaga, aby dwoje ludzi postępowych, tworzących kadry inteligencji ludowej...

— Po skończonej polonistyce — przerwała Basia potok mej wdzięcznej wymowy — przenoszę się do Gdańska. Bo on nie chce znad morza wyjeżdżać. Mówi, że się przyzwyczał.

— A długo do egzaminu?

— Dwa lata do magisterium — westchnęła ciężko Basia.

— Eh! Chodźmy coś zjeść — rzekł zrezygnowany Roman — długo czekać!

Więc poszliśmy coś zjeść. Restauracja hotelowa była ponurawa, zadymiona przez pokolenia emerytów, stoliki przykryte obrusami jeszcze z Młodej Polski.

— A książd? Odwołał? — przypomniałem sobie, gdy

usiedliśmy nad niespodziewanie smacznym befsztykiem.

— Ale! Czekaliśmy na próżno! Szkoda, co prawda, z tego wielka nie wyszła. Zrobiliśmy propagandę w kołach zetempowskich, opowiedzieliśmy w gminie co i jak, zdobyliśmy opinię ludzką. Szkoda, żeś wyjechał. Urządziliśmy dożynki. Zeszła się cała okolica. Uroczyście, z tańcami, śpiewem, recytacjami. Piwo, kanapki, kompoty. Park, bracie, wyglądał jak chiński ogród! No i właśnie tam doszliśmy z Basią do wniosku, że tak dalej nie ma sensu — referował Roman. — Nie wyobrażasz sobie!

Owszem, wyobrażam sobie. Rozświetlony lampionami park, chór naszych dziewcząt, zaimprovizowana kapela studencka z nieśmiertelnym akordeonem na czele, snop dojrzałego żyta na estradzie, wysoki, srebrny, czysty sierp księżycy, mieniące się w świetle lampionów i gwiazd ścieżki parku, dalekie odgłosy ciszy wiejskiej. I czekająca nas robota, szkoła, politechnika, akademia górnicza, stomatologia, uniwersytet, Warszawa, Kraków, Szczecin, Gdańsk, świat, życie...

Długo rozmawialiśmy o naszych wakacjach. Późno w noc wyszliśmy na ciemne, kręte, urocze, staroświeckie, przyprószone siwizną uliczki krakowskie. Ująłem Romana za ramię:

— A jak tam z twoim socjalizmem? Już się czujesz lepszym socjalistą?

Odpowiedział bardzo poważnie:

— Naprawdę zmieniłem się. Dużo mi się jeszcze przyjdzie uczyć. Ale to już nie nadaje się do opowiadania. Jak w ogóle cała ta historia. Jest zbyt blaha. Cóż kogo obchodzą nasze wakacyjne zmartwienia i radości, kiedy czeka nas codzienna, prawdziwa robota!

Pozwól, Romanie, że będę innego zdania. Uważam, że nasze wakacje były bardzo piękne. Kolumny sanitarne, agitacja wśród młodzieży wiejskiej, dyskusyjne wieczory o Planie, pokoju, nauce; praca w łubinie, burakach, kartoflach, urzędowanie w gminie, a nawet ta — tak charakterystyczna! — historia z księdzem ileż nas nauczyły! Odpoczęliśmy, nabraliśmy sił. Zakochaliście się; wierzę, że potrafiacie pamiętać o sobie, przedzieleni połową Polski. Cóż, życie rwie naprzód, nasze wspomnienia zblakną, o niejednym zapomnimy. Ale przyznaj, że przydała się nam robota obozowa. Bo fakt faktem: dojrzeliliśmy trochę w tej robocie.

CZERWONY MAJ

NOTATKI DO OPOWIADANIA

I

Oto zapiski do opowieści o majowych dniach 1905 roku. Ten warszawski czerwony maj był wielką bitwą klasową proletariatu. Gazety, ulotki, felietony, pamiętniki i relacje świadków tych historycznych wydarzeń malują przed nami barwny obraz owych dni. Z tych żywych, namiętnych opisów pisarzowi pozostaje tylko złożyć mozaikę. To także jest zadaniem pisarza: z kamieni przeżyć ludzkich, z losów wrogów i przyjaciół, z odłamków walki o wyzwolenie człowieka, z życia wielkich rewolucjonistów — układać fabułę, opowieść, historię.

II

Wypadki styczniowe! Początek rewolucji 1905 roku! Jak ogień przez step, tak wieść o Petersburgu niosła się przez carskie imperium, wzburzyła Moskwę, Baku i Rygę, Kazań, Odessę, Kijów i Saratow, ogarnęła Warszawę, Zagłębie Dąbrowskie, Łódź. Na wieść o masakrze robotników w Petersburgu stanęły w Warszawie wszystkie fabryki, warsztaty, szkoły. Pierwsi rzucili pracę robotnicy w fabryce Brünna na Krochmalnej. W piątek po południu, 28 stycznia 1905 roku wyszli

z fabryki i zagarnawszy robotników z sąsiedniej fabryki wag udali się do fabryki cerat na Karolkową. Robotnicy usłyszawszy sygnał do powszechnego strajku wypuścili parę z kotła i przyłączyli się do demonstracji. Grupy robotników szły od fabryki do fabryki rozdając ulotki SDKPiL i głosząc hasło strajku powszechnego. Stała zaraz odlewnia Ambroziewicza na Kolejowej, browary Machlejda, Haberbuscha i Schielego oraz Rajcha, następnie fabryki metalowe Norblina, Jarnuszkiewicza, Frageta, młyn parowy Michlera, piekarnia Głuchowskiego na Solcu, ogromne fabryki Lilpopa, Rohna i Zielińskiego. Zastrajkowała kolej, porzucili pracę rzemieślnicy wszystkich fachów, zmuszano do zamykania restauracje i sklepy, rozbijano większe sklepy z bronią. Pośpiesznie ściągnięte pułki huzarów i piechoty warszawskiego rejonu fortecznego krwawo stłumiły manifestacje i strajki robotnicze. Zmasakrowano wiec robotniczy na placu Witkowskim, skąd policjanci wywieźli dwie platformy załadowane trupami po wierzch. Podporucznik Pawłow z lejbgwardyjskiego pułku wołyńskiego rozkazał żołnierzom strzelać do pojedynczych osób. Wyjeżdżając z kazerny na patrole żołnierze mordowali ludzi dla wprawy. Policja znęcała się nad robotnikami, zapełniły się cele Pawiaka, pawilony Cytadeli, skrzypiały szubienice w więzieniu przy Gdańskiej.

W Warszawie zaległa groźna cisza. Dzielnice robotnicze, patrolowane przez ułanów, huzarów, Kozaków, oddziały policyjne, przez komisarzy i rewirowych, zacięły się w milczeniu. Tylko w fabrykach wybuchały raz po raz krótkie, gwałtowne strajki. Natomiast mieszczańskie śródmieście debatowało namiętnie, oburzało się na robotników i na policję, wyrażało wiernopoddańcze uczucia rządowi i generał-gubernatorowi, nasłuchiwało pilnie odgłosów bitwy w Mandżurii pod miastem Gun-

dżulin, czytało z przejęciem depesze lekarzy wysłanych na front z wojskiem, zajadało ciasteczka, słynne, smaczne, pulchne ciasteczka warszawskie, bogato się żeniło, spekulowało na gruntach, akcjach, wagonach, dostawach na Daleki Wschód, martwiło się o ojczyznę, której dopiekała konkurencja rosyjskiego przemysłu, słowem: otulone skrzydłami caratu, żyło, jak żyje burżuazja.

Tymczasem klasa robotnicza zbierała siły do nowej bitwy. Gęsta, sprężysta sieć organizacyjna łączyła robotników warszawskich z całym krajem, z wielkimi ośrodkami przemysłowymi Łodzi, Częstochowy, Zagłębia. Szlak rewolucyjny szedł przez Zagłębie Dąbrowskie na Śląsk, skąd przemycano do Królestwa broń; drugie jego odgałęzienie sięgało Krakowa, gdzie drukował się „Czerwony Sztandar“, działali niektórzy przywódcy SDKPiL, i tylko sobie wiadomymi drogami sięgał do Berlina, do Róży Luksemburg i Juliana Marchlewskiego, i szedł aż do Szwajcarii, gdzie polska socjaldemokracja miała żywe związki z rosyjską SDPRR.

Te wszystkie szlaki przecinały się w Warszawie. Warszawa, stolica „tutejszego kraju“, jak pisały carskie i burżuazyjne gadzinówki, była głową i sercem roboty rewolucyjnej. A warszawski ośrodek rewolucji żył Józefem¹.

Był to prawdziwy geniusz rewolucji. Ten młody, zaledwie dwudziestoosmioletni działacz już od dziesięciu lat niezmiernie energicznie organizował polską socjaldemokrację. Wsławił się w Wilnie, gdzie w młodości walczył z nacjonalistycznymi wpływami w młodej socjaldemokracji litewskiej. Żył wśród robotników, pracował razem z nimi, chociaż pochodził ze szlachty. Był na zesłaniu, uciekł z niego samotny, przedarł się do Wilna,

¹ Jeden z pseudonimów Feliksa Dzierżyńskiego.

a potem do Warszawy, gdzie niezmordowaną pracą doprowadził do zjednoczenia polskiej i litewskiej socjaldemokracji w jedną partię: SDKPiL. Po półrocznej pracy schwytyany i znów zesłany, uciekał łódką, piechotą, furmanką, pociągiem, siedemnaście dni i nocy przeprawił się do kraju. Wygłodzony, z płonącymi oczyma, w wytartym palcie i zabłoconych butach po pięć razy dziennie zjawiał się na zebraniach robotniczych. Sam agitował, rozdzielał zadania, nawiązywał łączność, jeździł po kraju, zapuszczał się do kopalni, przemawiał na dziedzińcach fabryk, redagował ulotki, odezwy, pisma. Przygotowywał rewolucję.

Zaciekle strajki styczniowe przyniosły robotnikom pewne zdobycze. Niektóre fabryki skróciły dzień roboczy z jedenastu godzin do dziewięciu, podnosząc o kilka kopiejek godzinny lon, zaprowadzając krankenkasy i zapomogi położnicze dla żon robotników. Ale dając lewą ręką, fabrykant prawą zaciskał w pięść; na ulicach szalały patrole, fabryki obsadzone były policją, szpicle wdzierali się do mieszkań. W mieście panował stan wzmożonej ochrony.

III

Jenerał-adiutant Czertkow udawał się wraz z małżonką na kurację do uzdrowiska Wiesbaden. Jenerał-gubernator Maksymowicz zęgnął chorego namiestnika uroczystym bankietem. Salony zamkowe zapełniły się dostojnikami z gubernatorstwa, jenerałami, obywatelami miasta Warszawy. Podczas gdy pomocnik jenerał-gubernatora, senator, radca tajny Podgorodnikow, z chytrą układnością przypijał zdrowie raz carskich jenerałów, raz warszawskich przemysłowców i wielce szanownych ziemian, Jego Ekscelencja jenerał Maksy-

mowicz zaprosił do gabinetu najbliższych urzędników na naradę. W przytulnym, obitym czerwonym adamszkim saloniku, gdzie na stoliku stały przygotowane wódeczki i zakąski, a na ścianie wisiała ogromna mapa warszawskiego rejonu, zgromadzili się: kamerjunkier Jaczewski, dyrektor kancelarii gubernatorskiej, gubernator warszawski, ochmistrz Martynow, który nikomu złego słowa nie powiedział, a podejrzanych milczk'em wieszał, zastępca oberpolicmajstra Zajfert. Naczelnik warszawskiego rejonu fortecznego generał Bogolubow był na urlopie, strudzony wypadkami styczniowymi. Zastępował go dowódca zbiorowej dywizji konnej, generał-lejtnant Nowosilcow. Jego Ekscelencja rozejrzył się po gabinecie i zmarszczywszy brwi wyszedł. Wrócił za chwilę prowadząc pod rękę młodego przybysza z Petersburga, kapitana lejbgwardii carskiej Antoniego hrabię Dolińskiego, który wraz z pułkiem zjechał w celu wzmocnienia tutejszego garnizonu. Hrabia, potomek wielkiego rodu (dziad walczył pod Somosierrą), był dziedzicem ogromnych dóbr na Ukrainie i w Królestwie, szczególnie zaś zainteresowany był w posiadłościach pod Warszawą. Akcyjne towarzystwo przemysłowe zamierzało przeprowadzić przez jego tereny kolej na wschód, co łączyło się z dostawami dla armii rosyjskiej. Przybywszy do Warszawy młody hrabia upoił się urodą warszawianek i nie myśląc długo ożenił się. Trafił dobrze. Związał się dozgonnymi węzłami z panną Teklą Szwede, siostrą znanego fabrykanta warszawskiego. Dzięki swoim stosunkom na dworze carskim wyjednał dla szwagra ogromne zamówienie dla armii dalekowschodniej. Generał uściskał go serdecznie w oczach wszystkich i powiedział:

— Panowie, sądzę, że pan hrabia powinien również wziąć udział w naszej konferencji. Pan hrabia dowodził

pułkiem huzarów, który uśmierzał styczniowe zamieszki w Petersburgu.

— Jak miło — mruknął gburowato generał Nowosilcow. Rozparł się w fotelu i zły, zaspany, zmęczony czekał instrukcji. Generał-gubernator mówił dalej:

— Nie śmiałybym pana, panie hrabio, odrywać od małżonki w tak słodkim miodowym miesiącu, ale obowiązek przede wszystkim! W pana ręce, hrabio!

Wypili duszkiem, po czym generał rzekł:

— Wiecie, panowie, na jutro, pierwszego maja, socjaldemokraci wyznaczili strajk. Można przewidywać, że w Warszawie zapanuje powszechne bezrobocie.

— Myślę, że im styczniowa nauka wlaźła za skórę — mruknął Martynow. Głośno zaś rzucił: — Cóż, agitacja duża, serdecznie. Nasza policja w rewizje się bawi, a socjaldemokratów wyłapać nie umie.

— Nie potrzebujemy się obawiać rozruchów. Siły warszawskiego rejonu fortecznego potrafią zdławić wszelką myśl o powstaniu. Mam trzydzieści cztery bataliony piechoty, dwanaście szwadronów jazdy, dziesięć secin Kozaków, artylerię forteczną oraz siły policyjne — powiedział Nowosilcow. — Z tych pewne są: lejbgwardyjski pułk petersburski, gwardyjski pułk wołyński, 183 grochowski, 184 warszawski, Kozacy i huzarzy. Natomiast pułk pułtuski nie spełnił swych obowiązków. W wypadkach styczniowych żołnierze tego pułku nie zabili ani jednego człowieka.

Hrabia Doliński uśmiechnął się kpiąco. Nowosilcow dostrzegł uśmiezek i powiedział sucho:

— Oficerowie w pułku zostali zmienieni. Nasi żołnierze wykazały wiele wierności i oddania Najjaśniejszemu Panu. Mógłbym już dziś powiedzieć, że niektórzy odznaczyli się przesadną gorliwością.

— Nie zauważyłem tego, Wasza Ekscelencjo — rzekł

grzecznie pan Zajfert. — Uśmierzenie buntu spoczywało głównie na barkach policji, komisarzy, rewirowych, przystawów, stójkowych. Uważam, że jutro wojsko musi być podporządkowane policji.

— Słusznie — dodał generał-gubernator Maksymowicz. — Powinno być tak, jak podczas wypadków styczniowych. Panowie oficerowie, odpowiedzialni za swe uczątki, winni dziś jeszcze porozumieć się z cyrkułami. Szczególnie zaś zwracam uwagę na cyrkuł jedenasty, gdzie przewidujemy manifestację socjaldemokratyczną.

— Wasza Ekscelencjo, śmiałybym prosić, aby mnie i mojemu szwagrowi przydzielono ten udziałek — rzekł pan hrabia.

Maksymowicz podniósł, zdziwiony, brwi. Hrabia mówił spokojnie, strzepując pył z mankietu:

— Moi huzarzy idą ślepo za mną. Jeśli coś się wydarzy, mogę być ich pewny jak samego siebie. I — jestem Polakiem.

— Bardzo miło — mruknął Nowosilcow. Wziął kieliszek wódki i wypił duszkiem. Obtarł wąsy i rzekł głośno:

— Hrabia ma ł a d c z y n a, nie ma co! Cóż, ja popieram!

Hrabia mówił dalej:

— Ośmielam się także wnieść, aby żołnierzy innych pułków zbiesić. Nie wolno im dać dziś odpoczynku, lecz trzeba wygnać za miasto. Rozgłosić, że nie mają wytchnienia przez buntowników. Urządzić forsowne marsze, alarmy, trochę postrzelać. Człowiek głodny i niewyspany jest zły.

— Bardzo słusznie — rzekł Nowosilcow. — Ćwiczenia zawsze się piechocie przydadzą.

— Była u mnie delegacja obywateli i przemysłow-

ców zaniepokojona wypadkami w mieście — oznajmił kamerjunkier Jaczewski. — Krażą pogłoski o rewolucji. Przemysłowcy, którzy otrzymali wielkie zamówienia, niepokoją się bardzo. Proszą o opiekę tronu. Spokój w tutejszym kraju powinien nastąpić jak najszybciej.

— Ale głupiego wydatku na dodatkowego stróża nie chcą ponieść — wtrącił zastępca oberpolicmajstra Zajfert. — Chcemy pozamykać bramy, aby robotnicy nie mieli schronienia. Panowie obywatele obliczyli, że to będzie ich kosztować półtora miliona rubli rocznie! Bojówki socjaldemokracji wymuszają na stróżach otwarcie bram.

— A propos, panie policmajstrze — zapytał generał-gubernator Maksymowicz — czy schwytano już zbiegłego katorżnika, szlachcica Dzierżyńskiego?

— Czynimy wszelkie wysiłki, Wasza Ekscelencjo — odparł czynownik. — On jest złym duchem robotników warszawskich. Ten prowodyr rządzi wszystkimi fabrykami w nadwiślańskim kraju.

— Mamy pewne poszlaki, które sięgają do komitetu warszawskiego socjaldemokracji, Ekscelencjo — rzekł Zajfert — ale wiadomo, że praca policjanta wymaga cierpliwości. To nie armia.

— Wiem — przeciął generał-gubernator. — Niech pan pozdrowi pana oberpolicmajstra. Mniemam, że z jego zdrowiem lepiej. Zamachowca na swe życie także nie schwycił?

— Czynimy starania, Ekscelencjo.

Maksymowicz uśmiechnął się szeroko.

— A czyńcie, czyńcie! Panowie, resztę dopowie wam instrukcja naczelnika sztabu, generała Herszelmana.

Po czym wstał, przeciągnął się i poprosił gości do salonu, gdzie niezmordowany senator Podgorodnikow

z chytrą układnością przypijał na przemian zdrowie raz warszawskich kupców, a raz carskich generałów.

IV

Pan baron Nolken powoli przychodził do zdrowia. Wprawdzie każdy krok kłuł go jak rozpaloną szpilą, prawe oko jątrzyło i pan baron zapadał na męczącą migrenę, wprawdzie lekarze zalecili mu zupełny spokój, wyjazd do wód, kto wie, przebąkiwali nawet o dłuższym urlopie, pan baron jednak nie zamierzał wcale w tych gorących dniach opuszczać służby u stóp tronu Najwyższego. Zamknięty w pałacyku, rządził policją despotycznie, żrąc się z komendantem miasta, z gubernatorem, z dowódcą rejonu fortecznego. Był zwolennikiem nagiej, twardej pięści, gdyby mógł, wygniótłby buntowników jak pluskwy. Pojękując łąził po gabinecie i stukał laską w posadzkę. Policmajster Zajfert referował usłużnie:

— Wojsko oddane pod naszą komendę. Patrole będą kierowane przez komisarzy i rewirowych. Nad ranem zbieram ich w VIII cyrkule. — Baron Nolken kiwał głową w milczeniu. Potem spytał:

— Cóż pan gubernator?

— Przesyła panu baronowi pozdrowienia. Pytał o zbiegłego katorżnika, Dzierżyńskiego.

— Zazdrości mi wpływu na dworze — warknął baron. — A tamtych czterech?

— Nie mówią nic.

— Od południa?

— Od południa, panie baronie. Drzewo, nie ludzie. Leliśmy wodę, stosowaliśmy rzemienie. Wiemy tylko, że esdecy.

— To wynika z ulotek, które mieli przy sobie —

skrzywił się baron. — A uśmierzenie manifestacji? Wspomniałeś o trasie pochodu?

— Ogólnikowo, panie baronie. Powiedziałem, że snujemy różne domysły. Zaproponowałem, aby szwadron huzarów chronił Dworzec Wiedeński, a piechota zamknęła ulicę Teodora. Ale prócz Alei nie wykluczyłem innych możliwości.

Baron poklepał go z uznaniem po ramieniu.

— Dobrze, bardzo dobrze! — powiedział. — Nie będą się mogli przyczepić do nas. Trzeba wciągnąć w to wojsko.

— Jenerał Maksymowicz ma ochotę zagrać fałszywą kartą. Ale ich instrukcje są jasne — powiedział Zajfert.

I zaczął zdawać drobiazgową relację z rozmowy u gubernatora. Pan baron chodził cicho po gabinecie postukując rzeźbioną laską. Lokaj wniósł wina i cygara i skłoniwszy się wycofał się za drzwi. Baron napełnił kieliszki i podniósł pod światło rubinowy płyn:

— Pijmy, panie radco. *In vino veritas*. Jeżeli im teraz nie złamiemy karku, to za rok ich nie spętamy. Bunt rodzi bunt, rozrasta się hydra. Czy pan, radco, wierzy w rewolucję?

— Ja się jej boję — rzekł sucho radca Zajfert.

Baron przyjrzał się ciekawie swemu zastępcy. Toż to też człowiek! Zdumiał się przez chwilę, potem parsknął śmiechem i powiedział ocierając łzę z kącika lewego oka:

— Rozweseliłeś mnie pan! Ja się jej też boję. Wszyscy się jej boimy! Przelewamy z próżnego w puste: tu bunt, tam bunt, zamieszki, strajki! Jakby się to kiedy miało skończyć! Eh, napijmy się wina! I dawaj pan tę instrukcję.

Radca Zajfert sięgnął do wewnętrznej kieszeni sur-

duta i wyjął ćwiartkę papieru. Baron spojrzał bystro:

— Widzę, pańska kopia?

— Ma się swoje źródła informacji, panie baronie — uśmiechnął się Zajfert.

— Nie lubię tego — warknął baron. Nałożył okulary na nos i przytrzymując je ręką, czytał lewym okiem:

„Instrukcja dla organizacji lotnych oddziałów ochronnych w guberni kraju nadwiślańskiego. W razie wybuchu w kraju nadwiślańskim rozruchów w formie ruchu chłopskiego (gdzież oni mają pojęcie! robotnicy się ruszą, a za nimi chłopci! robotników trzeba za gardło i won) lub innego rodzaju (aha! jest! — zmrużył do Zajferta porozumiewawczo to bystre, czujne, sowie oko, wyglądające ciekawie spod nastrzępionej brwi), ogarniającego całą gubernię lub znaczny okręg, nie będzie już można ograniczyć się do zawezwania wojska do określonych punktów, również nie będzie możebnym ochraniać każdą instytucję, każdą fabrykę (a po co ochraniać każdą fabrykę? — mruknął niechętnie baron — niech się Polacy pożrą z Polakami, to prędzej do nas przylecą)...

— Była już u mnie delegacja przemysłowców i kamieniczników warszawskich w sprawie przewidywanych zamieszek — rzekł Zajfert.

— Zaraz... zaraz... — mruknął Nolken. — Bo to ciekawe. Są ziemianie.

Czytał dalej:

„...lub posiadłość ziemską, ponieważ nie starczyłoby na to wojsk i wywołałoby to niepożądane ich rozproszenie na małe oddziały. W takich wypadkach trzeba będzie uciec się do ochrony lotnej w formie periodycznych rozjazdów oddziałów w danym okręgu.“

— Do każdego oddziału przydamy kilku policjantów,

komisarzy lub rewirowych — rzekł Zajfert. — Ci ludzie znają swój okręg, wiedzą, kogo trzeba...

— Słusznie — kiwnął głową Nolken. — Ale mówisz, że wojsko ma nie strzelać?

— Panie baronie, paragrafy jedenasty i dwunasty są bardzo wymowne.

— Paragraf jedenasty. Jest paragraf jedenasty: „Bez wskazówki władz cywilnych wojsko może uciec się do użycia broni bez żadnej odpowiedzialności za skutki, jeżeli ze strony tłumu jest jakikolwiek przejaw wrogiego wystąpienia przeciw wojsku, grożenie bronią, również, jeżeli okaże się koniecznym uratować przez szybkie użycie broni życie lub mienie osób uległych gwałtowi ze strony zbuntowanych. Przystępując w takich wypadkach do użycia broni, wojsko może nie dawać sygnałów trąbką lub bębniem.“ — Oho, oho! Rozumiesz, Zajfert?

— Rozumiem, panie baronie.

— My ich urządzimy! Tłum strzeli, prawda, Zajfert?

— Strzeli, panie baronie.

— W Alejach będą bramy pozamykane, prawda, Zajfert?

— Pozamykane, panie baronie.

— Wpuścisz ich w Aleje, Zajfert? Będziesz dla nich słodki?

— Będę, panie baronie.

— Paragraf dwunasty: „Przy każdej konieczności użycia broni, zarówno przez oddziały jak i przez oddzielnych żołnierzy, pod żadnym pozorem nie dopuszczać do strzelania ślepymi ładunkami lub w powietrze.“ Rozumiesz, Zajfert?

— Rozumiem, panie baronie.

— Huzarzy, mówisz, pójda od dworca?

— Od dworca, panie baronie.

— Taak. A Żelazną i Towarową zamkniesz?

— Postaram się, panie baronie.

— Ja ci się postaram! Och! — jęknął i przerwał spacer po pokoju. Padł na fotel, wyciągnął nogę i chwilę ciężko dyszał. Potem otarł czoło i wychylił kieliszek wina. Sapnął:

— Przekłęta hołota! Zdrowie człowiekowi odebrała! Spaliłbym to miasto!

Za szerokimi, francuskimi oknami w ogrodzie pałacowym rozlewała się ciężka wiosenna noc. Daleko, na skarpie wiślanej, migotały i mrugały gazowe latarnie. Gdzieś wśród drzew błyszcząły okna wysokich mieszczańskich kamienic. „Nie śpią — pomyślał Nolken chichocząc niemo. — Boją się jutra! Gadają o niepodległości, a gotowi są nas za kolana obejmować, byleby odpędzić to widmo. Mówią o wolności, a właściwie szukają możniejszych protektorów. Oglądają się na Prusaków, mami ich Austria! Ci głupcy z gubernatorskiego pałacu mają bielmo na oczach!”

Machnął ręką do swych smętnych i mściwych myśli i chwilę przysłuchiwał się brzdąkaniu na fortepianie. Córki pana barona powróciły z teatru i przegrywały sobie znajomą melodię operetki.

— Trzeba ich zagnać jak do saka i wygarnąć... Ot tak! Żeby zobaczyli siłę! Tak! — zamknął pięść, jakby trzymał w niej trzepocącą się rybę, a potem, zmierzwiwszy radcę zdrowym okiem, kazał mu iść precz.

V

Z przyjęcia u gubernatora hrabia, kapitan lejbgwardyjskiego pułku huzarów, wracał upojony. Powiało na niego oddechem wielkiego świata, padł nań cień dworu petersburskiego. Lubił pieniądze, gdyby mógł, jadł-

by złoto, ale jeszcze tkliwiej kochał władzę. Na koniu, z pałaszem w dłoni, na czele szwadronu huzarów czuł się wolny jak ptak. Z rozkoszą mrużył oczy, modre, duże oczy dziecka, przypominając sobie petersburską zimą, szarzę przed Pałacem Zimowym, gonitwy po szerokich bulwarach za tłumem. Tak dumając i wspominając wszedł do salonu i zdziwił się, że pan Benedykt Szwede, szanowny szwagier, jeszcze nie śpi. Wysoki, opalony postawny jak młody Anglik, pan Benedykt siedział wygodnie w fotelu i palił fajkę.

— No i cóż? — spytał flegmatycznie, nie przerywając ssania cybucha. — Pan generał wciąż się jeszcze waha?

Hrabia usiadł i także zapalił.

— Mój drogi, jeszcze nie zrobili kroku, a już zacierają ślady — powiedział. — Niby nie wolno strzelać w tłum, ale warto by to było zrobić. Nie ma rąk do tej roboty.

— O ile wiem, generał Czertkow przed odjazdem do wód kazał wzmocnić garnizon warszawski.

— Tak, ściągnięto do rejonu fortecznego pierwszą brygadę z Białej, brygadę rezerwową z Jabłonny i Nowomińska, pułk Kozaków. Razem mają z pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Ale on chce, żeby odium padło na policję.

— A policja? — spytał pan Benedykt.

— Liczy na wojsko — rzekł pan hrabia.

— Niedługo trzeba się będzie kłaniać socjaldemokratom. Całować ręce katorżników i zbrodniarzy! — rzekł gorzko Szwede. — Jedno dobre, mocne uderzenie — i kręgosłup złamany!

— Nie każde uderzenie łamie kręgosłup — rzekł hrabia. — Weź w Petersburgu, znowu wybuchają zamieszki. Uderzenie było mocne. Wiem. Sam uderzałem.

— Może nie łamie, ale rzuca postrach. Utrzymuje dyscyplinę. Nie masz pojęcia, ile nasza gospodarka traci na tych strajkach. Jak się obniża wartość i siła polskiego przemysłu. Jesteśmy jak kapitanowie na tonących okrętach.

Hrabia roześmiał się szeroko:

— Aleś utrafił, Benedykcie! Ty toniesz!

— Nie masz pojęcia, jak ciężko nam konkurować z przemysłowcami rosyjskimi! Dwie trzecie naszych wyrobów idzie na wywóz do Rosji! Z tego żyjemy. Myśleliśmy, że wojna dalekowschodnia poprawi naszą sytuację, mamy ogromne zamówienia, Lilpop — cztery tysiące wagonów, ja — setki kotłów i aparatów. I co? Pozaciągałem pożyczki na surowce w Banku Handlowym. Zaduszają mnie długi, jeśli nie zdławię tych strajków. Jak tak dalej pójdzie, przegramy sprawę dostaw na Daleki Wschód. Narodowa nasza sprawa dozna wielkiego uszczerbku. Postanowiłem, wiesz, nie wypuszczać jutro nocnej zmiany na manifestację — rzucił nagle, schodząc z górnych tonów.

— Będę stał z moimi huzarami przed dworcem. Prosiłem o to generał-gubernatora. Wytłumaczyłem mu przystępnie powody. Zgodził się łaskawie. Myślę nawet, że się ucieszył — powiedział hrabia.

Pan Benedykt pojaśniał na twarzy.

— Niechże cię uściskam! — rzekł serdecznie. — Takim cię lubię. Twardy, mocny — prawdziwy sahib! Wiesz, jak byłem w Indiach, jednego się nauczyłem: hołotę trzeba trzymać w karbach! Jestem zdania: dać trochę jeść, aby nie zdechła, ale wymagać! Biczem chłostać! Za druty zaganiać, niech się wyprażą na słońcu, wymokną na deszczu, niech ich wiatr przewieje, zaraz spokornieją! Bunt — rozstrzelać! Nie sądy, nie katorgi, nie cytadele! Strzelać! — mówił zapalając się

niezmiernie. — Rozumiesz, jak się robi: łapieś buntownika, przywiązujesz do armaty, zganasz całe miasto. Przytykasz lont i — fiut! To się nazywa: wyparować, nadać armatę. Anglicy — ci, bracie, umieją! Jeszcze dziś opowiadają tam o jenerale Sir Henry M. Havelocku, który uśmierzał wielkie powstanie w Indiach. Eh! A u nas? — Machnął ręką i życząc szwagrowi dobrej nocy udał się na swoje pokoje.

„Cóż on wie naprawdę? — pomyślał hrabia dopalając papierosa. — Gdyby widział Petersburg wtedy, gdy śnieg czerwienił się pod kopytami koni! Eh!“ — westchnął także i poszedł do sypialni. Uchylił drzwi: pani Tekla siedziała przy sekretarzyku i gorliwie pisała. Podszedł do niej na palcach i znienacka przykrył jej oczy, przypadając ustami do obnażonego karczku.

— Och, zlituj się, nie duś — krzyknęła pani Tekla i odchyliwszy się pocałowała męża w policzek. Zasiała ręką swoje pisanie, ale hrabia ze śmiechem odsunął jej dłoń i czytał wodząc ręką po jej ciele:

„Co to będzie? Co to będzie? I choćbyś sto razy na podstawie dokładnych informacji zapewniał ludzi, że nie ma powodu do strachu, choćbyś tłumaczył, że w tych nowych, niezwykłych objawach życia nie ma znamion katastrofy (tak mówi Ben, rozmawiałam z nim dzisiaj), choćbyś nie wiem jak starał się odżegnać mąjaki chorej wyobraźni, ludzie niby słuchają, niby wierzą, a jednak drżą jak listki osiny.“

— Czy ty też drżysz jak listek osiny? — zapytał czule, muskając ją dłonią po czole.

— Przy tobie, kochany, nie. — Uśmiechnęła się trochę dziecinnie, tak jak lubił. — Ale pokojówki mówią, że jutro będzie straszny dzień. Mówił im znajomy rewirowy, że nie daj Boże!

— Cóż im mówił?

— Przyszedł się pożegnać do Teosi. Wiesz, on się do niej miał... Mówił, że pewnie żywy nie wyjdzie. Musi jutro strzelać.

— Gdzie? — zapytał zmarszczywszy brwi pan hrabia.

— W Alejach, jak tłum będzie szedł. Miał łyzy w oczach.

„Liryczny prowokator!“ — pomyślał z humorem pan hrabia i roześmiał się do tej myśli.

— Nie bój się, niczego się nie bój, kochanie. Ja będę miał straż przed dworcem, będę lepiej wiedział niż on.

Zakrył jej usta pocałunkiem, następnie zaś rozochocony i podniecony usiadł na łóżku i zaczął ściągać szycowne oficerskie chromowe buty.

Spał krótkim, spokojnym snem, a skoro świt, zerwał się i pojechał do szwadronu.

VI

Była już późna noc, gdy zaczęli się schodzić do giełdy komitetu. Pierwszy przemknął się przez podworze i wymieniwszy osłonie hasło wszedł do lokalu Jan Pytłas, metalowiec z dzielnicy Powiśle. Ucisnął dłoń towarzysze Annie i tubalnym głosem zaczął rozpowiadać o wędrówce po fabrykach z ulotkami, spotkaniach z żandarmami, ucieczce przed patrolem przez ogrody Powiśla, aż go Anna uciszyła niecierpliwie.

— Pytłas, sumienia nie masz, przecież dzieciak śpi!

— Prawda! — mruknął olbrzym. — Kto to widział dziecko trzymać na giełdzie. Jak żandarmy tu wleżą, to dopiero będzie! — mówił przenikliwym szeptem, od którego trzęsły się mury. Patrzył wesoło zmrużonymi oczyma za Anną, która zostawiwszy go w kuchni, aby się umył, poszła do pokoju.

Drugi nadszedł Jurek Morski. Prowadził od dwóch lat związek młodzieży esdeckiej, organizował ochronę wiecu, miał kłopoty z bojówkami, które czasem poczyły sobie tak anarchistycznie, że tego i owego trzeba było wywalać na łeb i szyję z bojówki, partii, wykreślać z szeregów proletariatu. Był spocony i ledwie żywy ze zmęczenia: organizował na jutrzejszą demonstrację ochronę robotniczą.

Niebawem nadszedł także Józef. Chudy, zarośnięty, z rzadką, jasną bródką, miał śmiejące się oczy i ostre rumieńce na policzkach. Płowa czupryna chwiała się przy każdym jego ruchu i niesforne włosy opadały mu na czoło. Zrzucił płaszcz i prychnął się w miednicy. Opowiadał:

— Można powiedzieć, że odbyłem dziś wycieczkę po całej Warszawie. *Per pedes apostolorum*. Byłem u Lilpopa, u Szwedego, u Rudzkiego, mało mnie tam nie zamknęli strażnicy, niech ich licho weźmie, pojechałem sobie tramwajem konnym na Czerniaków; wiecie, byłem na tańcówce u krawców. Na Pradze zbili mi towarzysza z ochrony wiecovej. Ulotki rozdane?

— W sumie kilkanaście tysięcy — powiedział Pytłas. — To dobry pomysł, towarzyszu, drukować je czerwoną farbą. Działają jak płomień.

— Ochrona przygotowana?

— Będziemy mieli ludzi na całej trasie pochodu. Postaramy się otworzyć bramy na wszelki wypadek i ubezpieczyć tyły domów.

— Trzeba się liczyć z prowokacjami — powiedział Józef. — Niczego kapitaliści tak się teraz nie boją jak strajku powszechnego. To nasze „bezrobocie powszechne“ stoi im kością w gardle. Wyciągają chciwe łapy po dostawy dalekowschodnie, a łapy za krótkie. Jeśli poprzemy walkę proletariatu rosyjskiego, to carat po-

niesie klęskę w tej wojnie. Tak, towarzysze, wielkie sprawy spletają się z małymi. Taka to już jest ta — walka klas.

Pani Anna położyła palec na ustach i zaprowadziła ich do drugiego pokoju. Lampa była przyćmiona, świeciła łagodnym seledynowym światłem. W półmroku widać było półki z książkami, obrazy w misternych ramach, owalne fotografie. Okno wychodziło na ogród, który rozciągał się aż do Erywańskiej, gęsty, półdziki, bezpieczny. Mała Joasia spała w łóżeczku, zasłoniętym od lampy.

— No, jak się wam podoba, towarzyszu? — spytała z dumą Anna.

Wskazała dłonią na rozpostarty na tapczanie jedwabny, miękki w dotyku, czysty, czerwony, haftowany sztandar. Józef podniósł rozpromienioną twarz:

— Pierwszy raz wystąpimy w tym roku z tak wspaniałym sztandarem. Trzeba, towarzysze, na jego cześć wymyślić jakieś godne hasło! Pierwszomajowe, specjalnie na nasze powszechne bezrobocie!

Roześmiał się i dorzucił zgryźliwie:

— Im przez gardło nie może przejść słowo: strajk. Wolą mówić: bezrobocie. Ale my im wbijemy to słowo do łbów! Mówią u Szwedego, że pan Benedykt postanowił nie wypuścić ludzi na manifestację. Będę tam raniutko, gdy skończy robotę nocna zmiana. Już my go wyuczymy!

Stanął koło okna i zaczerpnął powietrza. Między chmurami błyskał księżyc, blady, zapóźniony, i zniknął wśród obłoków. Wschodnia połać nieba była czysta, spokojna, obojętna jak toń. Ciemne drzewa sterczały przed oknem. Daleko, na ulicy słychać było klaskanie podków. Po mieście jeździły kozackie patrole.

— Patrzcie, moi kochani, Warszawa... — powiedział cicho Józef. — Dymią kominy naszych fabryk — Woli, Jerozolimy, Mokotowa. Pracują zakłady Lilpopa, warsztaty kolejowe, warczą maszyny i stukają młoty. Kiedyż to miasto będzie naszą stolicą, robotników, narodu? Ciekawym, za ile to lat będziemy chodzili swobodnie po tym mieście, bez patroli kozackich, bez walki o każdy zakręt ulicy? — Zamilkł, a potem nagle odwrócił się od okna: — Wiecie co? — powiedział. — Ja uważam, że naszym hasłem majowym winno być: „Ulice muszą należeć do robotników!“ Będzie to nasze majowe hasło!

Towarzyszka Anna podniosła twarz. Zwinne jej palce migwały igłą. Kończyła obrębiać sztandar. Na prawej stronie sztandaru widniały słowa: „Warszawska organizacja SDKPiL.“ Na lewej zaś: „Niech żyje socjalizm.“

— Wyhaftować? — zapytała żartobliwie.

Józef roześmiał się i pogładził ją po włosach:

— Nie, będziemy je realizowali w praktyce! Na ulicach! A jeżeli policja poważy się powtórzyć masakrę styczniową, proletariat będzie jej umiał odpowiedzieć! — rzekł nienawistnie.

Przeszedł kilka razy przez pokój milcząc. Strudzeni towarzysze drzemali. Tylko Anna szyla niezmordowanie i obrębiała sztandar, a Józef miarowo przechadzał się po pokoju. Przyćmione światło rzucało łagodne cienie na pokój, na drzemających ludzi, na obrazy, książki i sprzęty, aż zaczęło szarzeć i niknąć. Dziecko niespokojnie poruszyło się w łóżeczku. Józef pochylił się nad nim.

— Wszystko dla nich — powiedział miękko. — Kiedy myślisz o przyszłości, przecież myślisz o nich. Będą żyć już w lepszym świecie. A ono śpi i nawet nie

wie, jaki jutro wielki dzień, jaka wielka bitwa nas czeka.

— Jak to nie wie? — obruszyła się Anna. — Musiałam zrobić jej małą chorągiewkę, „zupełnie taką, mamusiu, jak duża“. Pójdzie jutro ze mną na manifestację. Niech krzepnie od maleńkości, niech się jutro uczy.

— Nie jutro, dziś! — powiedział cicho Józef. — Trzeba budzić ludzi.

Anna zgasiła lampę. W pokoju było już widno. Na niebie zapalił się czerwony pas jutrzeńki i oświetlał nieśmiałym jeszcze blaskiem sztandar rozpostarty na kanapie. Sztandar jaśniał barwą świeżą jak ludzka krew.

VII

Dzień wstawał bezchmurny, słoneczny, cichy. Warszawa była pusta jak wymiółł. Milczały syreny fabryczne, nie klekotały dorożki i tramwaje konne, nie pokrzykiwali przekupnie i gazeciarze. Śródmieście było zrazu wyludnione, ale gdy słońce podniosło się trochę na porannym niebie, ten i ów załękły kancelista przemykał się do swego kantorku i naciągnawszy czarne satynowe narekawkę zasiadał do ksiąg pod okiem groźnego pryncypała. Za oknami kantorków, na ulicach, krążyły patrole kozackie, huzarskie, ułańskie i miarowo przechodziły oddziały piechoty ze sztykami na karabinach.

Fabryki i kantory w dzielnicach robotniczych były puste. Stanęły również warsztaty rzemieślnicze, nie przyszli na budowę murarze, nie zjawili się piekarze, nie stanęli do tramwajów stangreci i konduktorzy. Nawet w obozie pracy, organizowanym przez komitet

zatrudnienia robotników, nie zjawił się ani jeden bezrobotny. Komitet ten porządkował łacę wiślaną, zakładał Park Skaryszewski, przedłużał ulicę Moskiewską i budował rondo, wzorowane na paryskim — wszystko za grosze płacone bezrobotnym.

Przełknąwszy suchą bułkę, Józef wymknął się z lokalu giełdy i zaczął przedzierać się do fabryki Szwedego. Ze szczególną zaciętością walczył o tę fabrykę. Należała ona do spółki, ale faktycznie rządził w niej młody Szwede, który przed laty wrócił z Indii, gdzie pracował w przemyśle angielskim. Od razu wprowadził w swojej fabryce obyczaje hinduskie. Kazał robotnikom pracować po dwanaście i piętnaście godzin. Zrazu płacił stosunkowo dobrze, ale rozzuchwalił się i zaczął przykręcać śruby. Dobrał sobie do pomocy niejakiego Danczewicza, renegata z klasy robotniczej. Dawcewicz przyszedł do fabryki na praktykanta ślusarskiego, wpadł w oko majstrowi Bortnowskiemu, który zrobił sobie z niego pomagiera. Bortnowski zajmował się kontrolowaniem robotników, wypłacał im skape, okrojone dniówki i siedział w kantorze jako *alter ego* samego pana Bormana. Kiedyś przyszła do niego robotnica upominając się o zaległy zarobek chorego męża. Bortnowski wypchnął ją za drzwi na podwórze i zatrzasnął drzwi tak, że zmiażdżył kobiecie dwa palce. Robotnicy wzburzyli się i postanowili wywieźć go na taczkach za bramę fabryki. Uciekł sam, bojąc się kuli lub sztyletu. Wtedy Borman mianował młodego Dawcewicza naczelnym kontrolerem i szefem rozgałęzionej sieci dozoru nad robotnikami. Reszty nauczył go sam Szwede. Wzorując się na metodach angielskich w kolonii, zaprowadził system szpiegowania robotników, najawszy majstrów, kontrolerów, pomocników, podpomocników, którzy za groszową za-

płatę donosili o każdym kroku robotnika. Niewygodnych i hardych wydalali lub oddawali w ręce policji. Był znienawidzony. Okradał krankenkasę, na którą składały się robotnicze grosze. Zamiast rubla wpisywał robotnikom do księgi zarobków dwadzieścia pięć kopiejek, a jak się człowiek upomniał, dopisywał mu z łaski jeszcze pięć kopiejek; nieustępliwych wyrzucał za bramę.

Podczas stagnacji przemysłowej Szwede i Dawcewicz wyrzucili z fabryki wszystkie kaleki. Wypłacili im odszkodowanie z krankenkasy, okradłszy w ten sposób robotników. Na pokrycie ogromnego długu zlikwidowali podwójny lon za pracę nocną, lepiej płatnych robotników wyrzucili na bruk, aby ich przyjąć za dwa tygodnie na gorszych warunkach; robili machinacje oszukańcze, gdzie się tylko dało. Jednakże załoga Szwedego, Bormana i Spółki nie załamała się, była z twardego, Józefowego drzewa. Po powszechnym strajku styczniowym metalowcy ci wywalczyli dziewięciogodzinny dzień pracy, podwyżkę akordu i dniówki, zniesienie rewizji i usunięcie dozoru policyjnego z fabryki. Gdy w strajku styczniowym podkupieni przez Szwedego łamistrajkowie stanęli przy maszynach, strzały ochrony robotniczej spędziły ich z hal. Dawcewicza zaś znaleziono pewnego pięknego dnia na ulicy z okropną raną. Zasztyletowali go.

Tego dnia po nocnej zmianie robotnicy zatrzymali maszyny, wypuścili parę z kotłów i zgromadzili się na podwórzu. Na murach fabryki widniały czerwone odezwy esdeków. Nagle spod bramy przybiegli młodzi chłopcy, czeladnicy ślusarscy:

— Chłopaki! A to draka! — krzyknęli. — Szwede bramę zamknął i dwóch burych postawił na warcie.

— Towarzysze, pod bramę! — rozległ się jakiś mło-

dy głos. Pobiegli między halami, omijając puste wywrotki i stopy rur przeznaczonych do transportu. Ogromna, okratowana brama z kutym w żelazie napisem „Borman, Szwede i Ska“ — była zamknięta na głucho. Dwaj policjanci stali przed bramą i gapili się trwożliwie na tłum. Na ulicy było jeszcze cicho i spokojnie, jak okiem sięgnąć nie widziałeś nikogo. W małych oknach robotniczych kamienic czynszowych odbijało się czerwone światło wschodzącego słońca.

— Ej, wy, blustitieli poriadka! — krzyknęli chłopcy policjantom. — Idźcie do diaska i nie pokazujcie się więcej! Biedy chcecie sobie napytać?

Kilku wyrostków wdarło się na bramę, zwinnie jak koty, reszta napała na odrzwia. Nie ugięły się nawet. Nagle na pustej ulicy zadudniły czyjeś kroki.

— Chłopaki! — krzyknęli wyrostki z bramy. — A to ci heca! Józef do nas wali!

— Hura! — wrzasnął radośnie tłum na podwórzu.

Józef podbiegł do bramy i podsadzony rękoma towarzyszy przewinał się i znalazł się w podwórzu. Uściśnął im ręce, obejmował ich i całował, wreszcie wyrwał się i wbiegłszy na schodki wiodące do hali na półpiętrze, krzyknął:

— Nie pozwolimy się zamknąć w fabryce! Dziś nasz dzień, dzień robotników całego świata! Dziś ulice, dziś miasto do nas należy! A jutro naszym, robotniczym, będzie cały kraj! Wywalimy bramę, towarzysze!

Wyciągnął z kieszeni ulotki SDKPiL i rzucił je w tłum. W porannym słońcu zaczerwieniły się, zajaśniały i spadły na ziemię, w chciwe ręce robotników.

— Dziś proletariat całego świata manifestuje wraz z nami! Dziś robotnicy świętują razem z nami. Precz z samodzierzawiem!

— Nieprawda! Co oni nas obchodzą, te kacapy! —

ryknał ktoś; za chwilę zagłuszył go okrzyk tłumu. Krzyczał dalej: — My będziemy sami walczyć o nasze cele! Trzeba pamiętać o solidarności trójzaborowej!

— Milcz, proroku! Odejdź, fraku! Gadaj dalej, Józef! — krzyczał i wołał tłum. Z odległych oddziałów fabryki zbiegali się spóźnieni robotnicy. W kantorze, gdzie od świtu zwykł urzędować pan Szwede, było cicho, ale okno było otwarte i Józef widział bladą twarz pana Benedykta, który w głębi pokoju przyglądał się tłumowi.

— Tylko w przymierzu z rosyjską klasą robotniczą wywalczymy wolność. Kto nas uciska? Naród rosyjski? Nie! Nie uciska nas chłop rosyjski ani rosyjski robotnik! Może to chłop albo robotnik zamknął nam bramę i postawił pod nią policjantów? Rosyjski robotnik chodzi głodny i bosy jak my, bracia! On sam ginie tysiącami na ulicach Petersburga pod kulami carskich siepaczy. Jemu także zamykają bramę do wolności i chleba!

— Precz z kapitalistami! Niech żyje socjalizm! — przeszedł po tłumie krzyk, ale nim umilkli, Józef mówił dalej. Powiew wiatru rozwał mu włosy, słońce ozłociło mu twarz i paliło mu się w oczach jak żywe złoto.

— Wywalczymy w braterstwie z rosyjskim proletariatem wolność i znienawidzony carat legnie w gruzach wraz z kapitalizmem, wraz z nędzą i wyzyskiem! Otworzą się bramy do wolności i szczęścia naszych dzieci! Na bramy despotyzmu i nędzy, na bramy caratu i wyzysku, towarzysze! Do szturm!

Zeskoczył ze schodków i pierwszy ruszył na bramę.

— Do szturm!

Tysiące ramion, wspomaganych przez drągi i rury,

naparło na bramę. Jęknęła, zatrzeszczała, poczęła się wyginać.

— Hej, rób, społem! — pokrzykiwano sobie wesoło i kilofami, łomami, rurami podważano bramę.

Nagle na schodach wiodących do kantoru pojawił się młody pan Szwede. Był w rozpiętej koszuli, bez krawatki, w bryczesach angielskich, buty jego świeciły się buńczucznie, tylko oczy mrużył złośliwie i gniewnie.

— Precz, mówię! — ryknął, aby przekrzywić gwar. — Won od bramy!

Na chwilę zaprzestano prac przy bramie. Pan Szwede rozkraczył nogi i już spokojnie deklarował:

— Kazałem już zawołać policję. Kto naruszy moją własność, kto uszkodzi majątek fabryki, ten pójdzie do więzienia.

W ciszy, która na moment zapadła, rozległ się mocny, młodzieńczy, zaraźliwy śmiech. Józef oparł się o bramę i szeroko, swobodnie śmiał się z całego serca. Wtem cały tłum robotników wybuchnął gromkim, męskim śmiechem i znów wziął się za bramę. Pan Szwede coś wykrzyknął, wyjął rewolwer i strzelił w powietrze, a potem zniżył lufę. Ale teraz zabzykały koło niego kule i zaczęły łupać mur. W pierwszym szeregu robotników stała ochrona i uważnie patrzyła na pana Szwe-de. Fabrykant spuścił broń i poblady, zmalaty, zgarbiony cofał się powoli w głąb kantorka. Znalazłszy się za progiem, zatrzasnął za sobą drzwi.

— Towarzysze! — krzyknął Józef. — Cóż nam z tego, że zdechnie jeden pies, kiedy psiarnia carska mnoży się spokojnie! Na ulicę, towarzysze! Na manifestację pierwszomajową! Warszawa czeka na nas! Niech żyje socjaldemokracja!

Brama jęknęła raz jeszcze, zachrypiała jak duszony

człowiek i rozwarła się z przeraźliwym trzaskiem. Robotniczy tłum wywalił się na ulicę. W małych okienkach kamienic pojawiły się czerwone chorągiewki, błyskały czerwone powłoczki, zbiegali ze schodów robotnicy, wylegali przed bramy. Tłumy gromadziły się na Wroniej, Srebrnej, Krochmalnej, na placu Witkowskim, na Okopach, na Żelaznej. Nadciągali towarzysze z Woli.

Zaczął się piękny, pogodny, pierwszy majowy dzień.

VIII

Na Wronią, gdzie SD zarządziła zbiórkę jednej grupy manifestantów, napływały bez ustanku tłumy. Ludzie zbijali się w gromadki, słuchali przygodnych mówców wznoszonych na barkach towarzyszy, grupy skupiały się, gęstniały, zapełniały ulicę. Ze wszystkich bram, ze wszystkich ulic napływały wciąż nowe i nowe tłumy. Szli robotnicy od Gerlacha i Pulsa, od Lilpopa, Raua i Lewensztajna, od Rudzkiego, z fabryki wyrobów platerowych Frageta, z Wiedeńskiej Kolei Żelaznej, z warsztatów mechanicznych K. Bruss i Syn, z fabryki Augusta Rephana, z fabryki butów Baumflecka i jego konkurenta Brochisa. Schodzili się mularnicy, stangreci z tramwajów, robotnicy z fachu piekarskiego, zduńskiego, rzeźniczego, szczotkarskiego, lakierniczego, kotlarskiego. Szły robotnice z fabryk wstążek, tasiemek, wieńców, z Drezdeńskiej Fabryki Firanek, gdzie fabrykant stosował rewizję osobistą, z fabryki lam na Pawiej, gdzie kobiety pracowały dwaście godzin na dobę — i z wielu innych fabryk, warsztatów, sklepów, kantorów — twierdz, okopów i reduct socjalizmu w Warszawie. Gdzieniedzie wśród tłumy pojawiały się drobne patrole Kozaków, ale żołnie-

rze spiąwszy konie znikali w przyległych ulicach. Wronią wczesnym rankiem przeszedł patrol żołnierzy prowadzony przez komisarza z XI rewiru. Robotnicy krzyczeli do żołnierzy:

— Bracia! Chodźcie z nami! Chcemy chleba i wolności! Kogo wy bronicie! Cara-batiuszkę? Krwawego tyrana, Mikołaja Ostatniego? Nie strielajcie w swoich głodnych bratiew!

Żołnierze oglądali się bojaźliwie na robotników, przyspieszali kroku. Niektórzy uśmiechali się przyjaźnie, inni wrzuszali ramionami, jakby mówiąc: „My na to nic nie poradzim, taki jest rozkaz, taka nasza dola.“ Patrole przechodziły wąskim szpalerem i znikaly za rogiem ulicy. Konnicy w ogóle nie było widać. Stróże porządku publicznego, komisarze, rewirowi, policjanci, w asyście żołnierzy okrażali z daleka tłum wężąc podejrzliwie.

Uporawszy się z gospodarstwem, rozdawszy wszystkie ulotki, oddawszy sztandar w dobre ręce i nakarmiwszy gońców i łączników, towarzyska Anna wzięła małą Joasię i przedarła się z nią do dzielnicy robotniczej. Dziecko dreptało koło niej ze śmieszna powagą, śmigając opalonymi kolankami. Kiedy znaleźli się wśród towarzyszy, Anna dała jej czerwoną chorągiewkę z białym napisem SD. Takie czerwone chorągiewki, krawaty, chusty mieli inni demonstranci.

W sklepach (stwierdzali potem z zadowoleniem kupcy warszawscy, którym zysk był droższy niż socjalizm i ojczyzna) wyprzedano w przeddzień demonstracji wszystkie czerwone krawaty, biorąc dwa i pół rubla za towar, który nieraz był zleżały. A no! Każdy uczy się historii, jak umie, i tworzy ją, jak potrafi... Jedni przelewają krew, a drudzy sprzedają czerwone krawaty!

Anna przesuwiała się między kobietami, młodymi robotnikami, starymi robociarzami naznaczonymi przez więzienia i zsyłki. Bramy, które policja kazała zamykać, po przejściu patroli policyjnych otwierały się na nowo. Coraz nowe grupy robotników wychodziły i dołączały się do manifestantów. Przebijając się wśród tłumu na Wronią, Anna spotkała Pytlasa. Krzyknął do niej:

— Wszystką bibułę już rozdałem! Gnam po nową!

— Czy demonstracja już się rozpoczęła? — zapytała zaniepokojona Anna. — Przez to, że wyprawiałam łączników, to się spóźniłam.

— Ale! — roześmiał się Pytlas. — Masz jeszcze furę czasu. Zdasz na pochód. Na razie według planu przejdziemy po ulicach naszej dzielnicy — dopiero koło południa, jak przyjdą wszystkie dzielnice, pójdziemy do śródmieścia.

— Pochód ruszył! Formuj się! — przebiegło po tłumie wołanie. Pytlas machnął jej ręką i pośpiesznie pobiegł chodnikiem. Anna podążyła naprzód, podnosząc małą Joannę na rękach.

— Mamusiu! Nasz sztandar! — krzyknęła dziewczynka i zaśmiała się radośnie.

— Twój sztandar? — roześmiali się robotnicy, którzy szli koło Anny.

— Pewnie, że mój! Tylko mamusia nie kazała mówić — rzekła rezolutnie mała.

Poszły przodem. Stary, siwy robociarz popatrzył na małą i rzekł:

— Ty już będziesz, siostrzyczko, sztandar w wolnej Polsce nosiła, nie?

Na rogach ulic policjanci ustawili samotnych żołnierzy. Na widok sztandaru żołnierze milcząc zaczęli

zdejmować czapki. Oczy ich były martwe i nieme. Wi-
dać, że są nieludzko zmęczeni.

Tymczasem pochód przeszedł z placu Witkowskiego — Wronią, Towarową, Pańską, Twardą, Miedzianą, Słiską, Złotą, Żelazną — i znowu zawrócił śpiewając rewolucyjne pieśni, wznosząc okrzyki przeciw carowi. Przy Krochmalnej na barkach towarzyszy wznosił się mówca z dzielnicy Jeruzolima. Słowa jego zginęły w gwarze, tylko tłum pochwycił okrzyk: Niech żyje walka z caratem! Niech żyje braterstwo polskich i rosyjskich robotników! Niech żyje konstytucja!“ Nagle Anna poczuła, że towarzysze dźwigają ją w górę. Usłyszała wesołe wołanie:

— A no, głos mają kobiety! Cisza! Głos mają ko-
biety!

Anna rozejrzała się: morze głów, tysiące oczu wpa-
trzonych w nią. Z daleka, z innych ulic schodziły się
gromady robotników. Rozwijaly się czerwone sztandary.
Anna popatrzyła na wiosenny, radosny tłum, na
trzepczące się sztandary, na czyste, pogodne niebo
i zaczęła mówić, mocno w ramionach trzymając có-
reczkę:

— Towarzysze! Jestem z Drezdeńskiej Fabryki Fi-
ranek. Pracujemy na ulicy Górczewskiej. Mój mąż
pracował u Jarnuszkiewicza. Aresztowali go carscy
oprawcy i zamordowali na stokach Cytadeli. Pracuje
u nas czterysta kobiet. Nie ma chyba nigdzie takiego
wyzysku jak w naszej fabryce. Pracujemy dziesięć
godzin, a czasem dwanaście.

— Hańba! — odezwały się głosy. — Precz z kapi-
talistami!

— Ale to jeszcze nie wszystko! — podjęła Anna. —
U nas byle majster, byle podmajstrzy robi z robotni-
cami, co chce. Jak długo jeszcze będziemy niewolnica-

mi? Jak długo jeszcze będziemy znosić rewizję osobistą? U nas jeszcze dziś fabrykant po fajerancie staje w kantorze i każda robotnica musi podnieść sukienkę, aby zobaczyć, czy czego nie ukradła!

— Hańba! Wstyd! Precz z niewolą!

— Towarzysze! Popatrzcie! Oto moja mała córeczka! Nie chcę, aby ona, gdy dorośnie, tak musiała cierpieć, jak my cierpimy! Chcę, aby cała klasa robotnicza, cały świat wiedział o naszych cierpieniach! Chcę wywalczyć lepsze jutro dla mego dziecka! Kobiety! Do szeregów socjaldemokracji! Do walki o osiem godzin dnia roboczego! Do walki o szczęście naszych dzieci! Precz z caratem! Niech żyje braterstwo wszystkich robotników! Niech żyją kobiety!

— Niech żyją nasze robotnice! — krzyczał tłum. — Zdjęto Annę z ramion towarzyszy, ściskano jej dłonie, kobiety całowały ją serdecznie. Mała Joanna uśmiechała się także i krzyczała razem ze wszystkimi:

— Niech żyją kobiety! Niech żyją robotnice!

IX

Grupa towarzyszy na rogu Złotej otoczyła młodego agitatora z dzielnicy staromiejskiej. Był to wysoki blondyn o zwichrzonych włosach i rzadkiej, jasnej bródce, wychudły, smagły, wesoły. Żywe, płonące oczy spoglądały na słuchaczy bystro, pogodnie. Inteligent! Mówił nieco zacinając się, a oczy mu płonęły.

— O co walczymy, towarzysze? O co przelewają krew nasi towarzysze rosyjscy w Petersburgu? Gdzie sprawiedliwość dla narodu, dla robotnika? Nie ma jej w książęcych pałacach, w bankach pańskich na carskich pokojach! Nie ma jej w zamkach gubernatorów i kazarmach żołdackich rot! Sprawiedliwość sami wy-

walczyliśmy! Socjalizm, bracia, to nie pojęcie wyrozumowane. To także pochodnia, która zapala w sercach naszych wiarę i energię niezwalczoną. To krew z naszej krwi i kość naszej kości. To nasze życie! Wiedzą, kto waszym wrogiem, a kto waszym bratem! Wrogiem waszym — absolutyzm carski i polsko-rosyjska klasa kapitalistyczna. Bratem waszym — rewolucyjna rosyjska klasa robotnicza! I jak zawsze tak i w tym roku idziemy manifestować Pierwszego Maja pamiętając, że wspólny wróg, wspólne hasło: Niech żyje konstytucja! Niech żyje ośmiogodzinny dzień pracy! Niech żyje socjalizm! Precz z wojną, wyzyskiem, caratem! Do pochodu, towarzysze!

Podniosły się sztandary i pochód z wolna ruszył ulicami robotniczej dzielnicy. Na czele pochodu szedł chorąży powiewając nowym, jedwabnym sztandarem SDKPiL, chroniony przez młodych robotników. Za nim przez całą jezdnię walił rozśpiewany tłum. Z sąsiednich ulic dołączały się dalsze demonstracje, pochód rósł i potężniał. Z okien sypały się kwiaty, powiewano chustami. Tak pochód doszedł do Alei Jerozolimskich i zaczął iść Alejami. Nagle od czoła ktoś przenikliwie krzyknął: „Wojsko jedzie!“ Tłum zawahał się, zafalował i wiedziony przez chorążego, poszedł ze śpiewem naprzód.

X

Istotnie byli to huzarzy. Nie śpiesząc się podjeżdżali truchtem od Dworca Wiedeńskiego. Wiódł ich strojny oficer na siwym koniku. Aleje były puste, bramy przymknięte, przypadkowi przechodnie, przyjezdni, stróże snuli się po chodnikach. Okna magazynów były

zasłonięte okiennicami. Tylko w składach drzewa, wapna, cementu pracowali kantorzyści. Stanęli teraz w otwartych drzwiach i ciekawie gapili się na ulicę.

XI

Na swe nieszczęście, pani Tekla, z domu Szwedówna z męża hrabini, także dała się uwieść ciekawości. Pragnęła zobaczyć swego pana na koniu, na czele huzarów. Wymówiwszy się, że idzie do kościoła tuż, tuż, wymknęła się z domu i podreptała w Aleje. Ujrzała go: stali na rogu Marszałkowskiej i Alei, ósemkami, konie jednej maści, cisawe, aż się oczy radują, szabelki w dłoniach. Pani Tekla była rozgrzana nowym swym stanem, jeszcze ciepła jak bułeczka prosto od piekarza, nie przyrumieniona jeszcze, ale już dobrze wypieczona. Patrzyła na hrabiego i serce jej tajało jak sopelek lodu na wiosnę, taki śliczny był w tym mundurze, z błyszczącym srebrnym pałaszem w dłoni, na czele barwnych, surowych, marsowych huzarów carskiej lejbgwardii. Słońce złociło jego bakenbardy, igrało na epoletach, złotych guzach munduru, białych wyłogach. Wydawał się promienny jak bóg wojny. Pomysłała w zachwyceniu: „Mój ty książę! Mój ty książę Józefie! Pepi najdroższy!“

Wtem hrabia Toleczek machnął szablą i pierwszy półszwadron ruszył naprzód. Szeregi się przełamały, rozciągnęły się na całą szerokość jezdni, konie szły powoli, ściągane wprawną ręką. Za pierwszym półszwadronem ruszył drugi.

Pani Tekla przewinęła się między przypadkowymi przechodniami i poszła w górę Alei, aż do ulicy Teodora. Tutaj, pod młodymi drzewami, które ledwo puszczają pąki, ujrzała rotę piechurów. Z głębi ulicy

nadchodziły nowe patrole i ustawiały się w szeregach. Panią Teklę zdziwiła taka ilość stróżującego wojska, ale pragnąc jeszcze zobaczyć Toleczka wysunęła się ciekawie naprzód i przykucnęła przy na wpół uchylonej bramie w Alejach. Huzarzy zaś zwolna dojeżdżali do ulicy Teodora.

Kiedy ukazał się tłum demonstrantów, huzarzy ściągnęli uzdy koni, hrabia machnął szablą i konie ruszyły lekkim truchtem. Słońce stało w zenicie. Było duszno i parno. Zerwał się krótki wiatr, załopotał czerwonym sztandarem i ucichł. W nagłej ciszy słychać było miarowe, spokojne kroki tłumu, który w milczeniu szedł na spotkanie wojska. Po obu stronach Alei na chodnikach wychylali się z bram komisarze i rewirowi, szpicle i tajniacy. Węszyli.

Hrabiątko obróciło się na siodle i podniósłszy szablę krzyknął:

— Naprzód marsz!

Huzarzy ruszyli szybciej. Tłum zakołysał się, zawałał, chorągiew powiała jeszcze wyżej. Nagle idący na czele pochodu robotnik odwrócił się i huknął:

— Rozstąpić się na chodnikach! Miejsce dla wojska na jezdni!

— Miejsce dla wojska na jezdni! Na chodniki! — powtórzyli porządkowi i tłum posłusznie rozszczepił się na dwie połowy. Szczęściem chodniki były szerokie, wszyscy się zmieścili.

Huzarzy wjechali w tłum. Po prawej szły kobiety i robotnicy, po lewej — powiewał jedwabny, czerwony, haftowany sztandar. Hrabiątko zdecydował, że zgodnie z rozkazem uderzy na chorągiew. Zwlekał, ale się niecierpliwił. I właśnie, gdy podnosił szablę, z tłumu rozległ się strzał.

— Prowokacja! — krzyknięto. — Zakotłowało się

na chodniku. Rewirowy nie zdążył skryć się w uchy-
lonej bramie. Wyrwali mu rewolwer, rzucili na zie-
mię. Wtedy hrabiątko zakomenderował:

— Prosto w tłum! Szarża!

Szwadron cofnął się do prawego chodnika, przypie-
rając końskimi zadami ludzi do płotów i domów. Roz-
legł się krzyk dzieci, przekleństwa mężczyzn, rzucono
się do bramy. Była zamknięta. Nagle szwadron ruszył
z kopyta na lewy chodnik. Podniósł się straszny krzyk
ludzki, zatrząskwały browningi ochrony robotniczej.

Wtem od czoła pochodu załomotała salwa. Pierwsze
szeregi demonstrantów skłębily się, zwinęły, padły na
ziemię. Wielka jedwabna chorągiew przeszyta kulami
zachwiała się, ale zanim dopadli jej huzarzy, czyjeś
ręce oderwały ją od drzewca, zwinęły, uniosły. Z uli-
cy Teodora wychodziły rotty, ustawiały się w poprzek
Alei i strzelały ogniem ciągłym w tłum usiłujący
uciec od szarży huzarów. Przerażony tłum runął czę-
ścią na bagnety piechoty, przedarł się do Teodora,
gdzie przyjęty ogniem innej półroty, przełamał parka-
ny i zasławszy ulicę trupami, wdarł się do miejskich
ogrodów. Straszliwe jęki rannych mieszały się z su-
chymi słowami komendy. Oficerowie z obojętnymi,
ogłupiałymi twarzami komenderowali:

— Ognia pojedynczo! Prosto w tłum!

Otępiali żołnierze, zasnucci dymem salw, mechanicz-
nie repetowali karabiny i strzelali już bez komendy
jak automaty, odcinając tłumowi drogę na Marszał-
kowską.

Tymczasem hrabiątko pławil się w ludzkiej krwi.
Rozbiwszy pochód na lewym chodniku, rzucił część
szwadronu na prawy. Stały tu drewniane płoty firm
budowlanych. Firmy te zajmowały się sprzedażą wa-
pna, cementu, drzewa. Drewniane, solidne płoty

ochraniały składy desek, doły z wapnem, góry piasku wiślanego, grysiku, trzciniowych mat, przezornie zamkniętych w szopach. Taki dobry towar, jak każdy inny, tyle tylko, że sezonowy. Zimą nie ma na niego wielkiego targu. Wiedzą o tym murarze, którzy zimową porą strugają podstawki pod choinki lub chodzą na wiejski zarobek, aby do wiosny. Tłum naparł w przeobrażeniu na te płoty, rozwalił je i rozbiegł się po podwórzu. Huzarzy wpadli za nim. Konie deptały zabitych i rannych, świstały szable i trzaskały nagany. Hrabiaćko szalał, ale był wybredny. Nie tracił z oczu chorążego, który trzymając zwinięty sztandar ostrzeliwał się huzarom, coraz to zsadzając kogoś z konia. Hrabiaćko wdarł się na podwórze, pognął za człowiekiem aż między szopy, ale tamten odwinął się i strzelił. Chybił, lecz drasnął hrabiaćku twarz i zanim tamten się opamiętał, wspiął się na płot po tamtej, bezpiecznej, stronie. Hrabiaćko charknął z upokorzenia i wstydu, chwycił mocniej rękojeść szabli i rzucił się w kąt podwórza, gdzie schroniła się garstka kobiet. Rozpędził ją jednym zawrotem konia, rozegnał jednym cięciem. Pod samym płotem dojrzał skuloną postać kobiecą w szerokim kapeluszu: „Aha! Panna z dobrego domu! — przemknęło mu przez głowę. — Dam ja ci ten twój socjalizm!“ Przyparł do płotu. Podniósł szablę. Nagle kobieta opuściła dłonie i hrabiaćko z rozpędu, całym ciałem, niezawodną, ćwiczoną, słynną między kolegami ułańską ręką dziedzica spod Somo-sierry chlasnął szablą w skrzywioną, dziecinną, osłupiałą twarz pani Tekli.

XII

Gdy huzarzy wpadli na pochód, Anna schwyciwszy córkę pobiegła wraz z ludźmi naprzód. Pierwsza sal-

wa oszczędziła ją. Dobiegała już prawie do Teodora, gdy zagrzmiała druga salwa. Joasia jęknęła przejmująco, Anna zatrzymała się jak skamieniała. Koło niej przebiegał tłum, padali z jękiem ludzie, słychać było chrapliwe głosy komendy. Dziewczynka zwiśla jej bezwładnie w rękach. Anna czuła na dłoniach ciepłą, żywą krew. Dźwignęła dziecko w ramionach i wolnym krokiem ruszyła prosto na żołnierskie bagnety. Szła samotna ulicą zasłaną trupami i rannymi. Pijany przystaw, stojący przy oddziale, zakomenderował chrapliwie:

— Ognia w tę kobietę!

Ani jeden karabin nie szczęknął. Prystaw popatrzył mętnym wzrokiem na żołnierzy. Była to rota grochowskiego pułku piechoty.

— Bunt! — krzyknął i wyszarpnął z kabury rewolwer. Strzelił, ale nie trafił. Podbił mu dłoń żołnierz z roty. Był czerwony i ścisnął w rękę kurczowo karabin.

— T y n i e s t r i e l a j , a t o u b i j u k a k s w o ł o c z ! — powiedział zduszonym głosem.

Kobieta postąpiła jeszcze krok naprzód i nagle salwa, dana z boku, podcięła jej kolana. Upadła zasłaniając swym ciałem ciało dziecka. Leżały tuż przed szeregiem żołnierzy na pustej ulicy, na spieczonej od słońca jezdni. Krew ich czerniała na słońcu i wsiąkała w czerwoną chorągiewkę, którą jeszcze po śmierci trzymała w ręku mała Joasia.

XIII

Zasadzka działała sprawnie. Ale dzięki dyscyplinie robotników nie doszło do otwartej rzezi, chociaż ofiary były duże. Część demonstrantów wycofała się w To-

warową, część przedarła się ostrzeliwując przez Żelazną, gdzie żołnierze z koszar, pozbawieni broni, rzucali w demonstrantów kamieniami, aż przepędzeni strzałami straży, uciekli między budynki. Część wreszcie przedarła się do ogrodów miejskich i szpitalnych, gdzie usiłowano robotników łapać, ale i tu strzały ochrony robotniczej zmusiły rewirowych i stójkowych do odwrotu. Tym zacieklej za to szaleli żołdacy w Alejach. Po rzezi na placu budowlanym huzarzy zeszli z koni i zaczęli dobijać rannych. Chodzili od rannego do rannego i szablami przygważdżali go do ziemi. Nieszczęśliwcy rzucali się chwilę jak ryby na piasku i zaraz tężeli. Komisarze i rewirowi uprawiali ten sam proceder po drugiej stronie ulicy. Przemocą wdzierano się do mieszkań mordując Bogu ducha winnych ludzi, gwałcąc dziewczęta, niszcząc sprzęty. W kantorze budowlanym rozbestwiony policjant zastrzelił urzędniczkę, która sporządzała bilans. W warsztacie szewskim, którego okna wychodziły na Aleje, policjant wsadziwszy karabin przez okienko, zabił staro szewca przykucniętego w rogu pokoju. Niektórzy ranni ratowali życie udając martwych. Świadek i uczestnik manifestacji opowiadał, że padłszy na ziemię udał martwego. Ale policjanci poznali się na fortelu i strzelali do wszystkich leżących na jezdni. Wtedy zaczął naśladować śmiertelne drgawki konających towarzyszy i tak uszedł pewnej śmierci. Ktoś znów opowiadał, że uratował go żołnierz rosyjski. Podbił on bagnet innego, który chciał go przebić. Wyprowadził poza linię strzału i rzekł mu:

— У ч о д и т и е , а т о и в а с ж е с з ч о
у б и ј у т .

Co znaczy: Idźcie, bo i was jeszcze zabiją.

XIV

Na pobojuwisku, na jezdni, na chodnikach, podwórzach, placach zostały trupy, jęczeli ranni, kamienie zasłane były skrwawionymi kapeluszami, chustkami, strzępami koszul, laskami, dziecinnymi zabawkami. Kałuże krwi krzepły i wysychały w słońcu. Wojsko spieszenie odeszło z miejsca masakry i otoczyło pobojuwisko kordonem. Ale n'ım jeszcze zdołano zebrać trupy i zanieść je do kostnicy szpitalnej Dzieciątka Jezus, już ogromne tłumy z płaczem i krzykiem zebrały się pod murem szpitala, oplakując bliskich, poszukując krewnych i znajomych.

XV

Jeszcze nie przebrzmiały strzały, jeszcze żołdactwo pastwiło się nad bezbronnymi, jeszcze patrole nerwowo przebiegały ulice robotnicze strzelając do przypadkowych przechodniów, a już Józef, który, osłaniając odwrót robotników, przez ogrody miejskie przedarł się do dzielnicy robotniczej, zebrał kilku towarzyszy i udał się do drukarni SDKPiL. Chodził nerwowo po ciemnym pokoju, stawał pod oknem zabitym deskami, wyglądał przez szpary na ogród, kwitnący ogród, przysłuchiwał się szczebiotowi ptaków i dyktował łamiącym się głosem odezwę do robotników i inteligentów:

„Dziś podział zrobiony, kości padły. Dziś wam tylko wybór zostaje: albo z nami, z walczącym proletariatem, albo z nimi, pacholkami kapitału i knuta. W obozie rewolucji albo w obozie reakcji. Po stronie bagnatów albo po stronie ulicy.“

Zatrzymał się na środku pokoju i dodał z zaciętością w głosie:

— Głupcy! Czyż można utopić historię we krwi? Te ulice, to miasto, ten kraj — będą nasze! Kto z nas życia za to nie odda?

Dyktował dalej:

„Obywatele! Dziś, po mordach majowych, milczenie nie jest już biernością. Dziś, gdy krew ludzi na bruku ulicznym woła o pomstę, milczenie jest poklaskiem dla zbirów. Dziś, kto nie z nami, ten przeciw nam!

Wybierajcie:

Oto my, dzieci nędzy i pracy, podnoszący do góry poszarpane trupy naszych braci, naszych żon i dzieci, my, idący ze śpiewem rewolucyjnym na ustach i czerwonym sztandarem nad głowami na śmierć za waszą i naszą wolność.

A tam, w ciemnej, zwartej ciżbie dzikie, ponure postacie absolutyzmu, a przy nich zgięte lokajskie plecy polskich panów i syczące gadziny prasy wsteczniczej.

Obywatele! Wybierajcie! Kto żyw, niech śpieszy do nas żywych!

Śmierć zbójeckiemu absolutyzmowi!

Niech żyje rewolucja!“

Towarzysze zecerzy złożyli pospiesznie tę odezwę i maszyna zaczęła tłuc. Nim zapadł mrok, tysiąc sztuk odezwy było gotowych. Kolporterzy część wzięli na miasto. Część wziął sam Józef. Zdecydował krótko:

— Idę na szpital na demonstrację!

— To szaleństwo. Tam roi się od szpiclów.

— Tam cierpią i walczą ludzie! — rzekł twardo Józef. — Tam jest moje miejsce.

I poszedł pociągając za sobą towarzyszy.

XVI

Wysoki, ponury, czarny mur otaczał szpital. Szerokie korony kasztanów, pachnących jeszcze przedwiośniem, świeżo rozkwitłych, wychylały się na ulicę. Pod kasztanami, pod murem stał milczący tłum. Podwórze szpitalne zatłoczone było ludźmi. Tłum gorączkował się, przeklinał, pchał się do kostnicy. Jakiś student w rozchełstanym mundurze trzymał u wejścia do trupiarni straż i szeptał ochryplym głosem:

— Ludzie, nie pchajcie się! Ludzie, miejcie zlitowanie nad sobą! Wejdziecie, zobaczycie wszyscy, wszyscy!

Ale tłum napierał, wdzierał się siłą do trupiarni. W mdłym świetle kaganków widać było straszne trupy porąbanych i rozstrzelanych ludzi: starca z siwą brodą unurzaną w czarnej krwi, kobietę z rozchlastaną twarzą, dziecko z chorągiewką w martwej dłoni, młodego chłopca z rozdartą piersią; szeregi, rzędy ludzi rozciągniętych na ziemi, posiekanych szablami, pokaleczonych straszliwie bagnetami, zatłuczonych kolbami. Lud przechodził przed umarłymi i niemo szlochał. Józef szybkim krokiem wyszedł przed kostnicę.

— Ludzie! — krzyknął. — Bracia! Robotnicy!

Przekrzyczał gwar i krzyk. Uciszyło się. W mroku, w zrywającym się niespokojnym, wieczornym wietrze włosy jego rozwiewały się jak płomień. Twarz miał zaciętą, bez jednej kropli krwi. Wargi mu drżały, gdy zaczął mówić:

— Krew naszych braci, krew niewinnych dzieci, ko-

biet, starców, te straszne, niewinne trupy, zamordowane na rozkaz cara, wołają nas do walki, do zemsty! Rząd chce zdławić rewolucję robotników strachem, terrorem, prowokacją. Odpowiadajcie mu walką, która rzuci na nich postrach śmiertelny!

— Śmierć oprawcom! — rozległy się głosy robotników. Ciemniało coraz bardziej i ciężkie chmury gromadziły się na niebie.

— Do walki, bracia! Do walki! na pomstę za zamordowanych braci, do walki za szczęście i wolność całego ludu! Patrzcie na tę przelaną krew! Niech natchnie nas ona bohaterstwem i siłą!

Sięgnął w zanadrze i wyrzucił w górę plik odezów. Rozleciały się smagnięte wichrem i spadły na tłum.

— Rozprawimy się z carem!

— Dajcie nam lepiej broń! — krzyknął tłum.

— Będziecie mieli broń! — odpowiedział Józef. — Naszą bronią są mauzery i bomby! Naszą bronią jest strajk powszechny! Naszą bronią jest rewolucja!

XVII

Nazajutrz miasto wymarło. Ofiary masakry chowano chyłkiem, nocą wywożąc je na Bródno platformami jak wory z piaskiem. Jenerał-gubernator zwoływał ciągle narady. Obywatelstwo stołeczne, ziemianie i przemysłowcy wyrazili ubolewanie z powodu wypadków i zapewnili o wiernopoddańczych uczuciach dla Najjaśniejszego. Generał Nowosilcow cieszył się, że złamał stos pacierzowy rewolucji. Oberpolicmajster baron Nolken szybko wracał do zdrowia. Hrabia Doliński przywdział żałobę, otrzymał awans i order. Z Petersburga przyszła depesza z gratulacjami za uśmierzenie buntu.

XVIII

Czwartego maja w Warszawie wybuchł strajk powszechny. Piątego maja „Warszawskij Dniownik“, gazdzinówka jenerał-gubernatora, pisał lakonicznie:

Poddając się rozkazowi członków partii socjalno-demokratycznej, którzy postanowili uczcić powszechnym bezrobociem pamięć ofiar wypadku Pierwszego Maja, fabryki, zakłady, warsztaty, sklepy i magazyny, redakcje pism miejscowych, restauracje i cukiernie — wczoraj od rana były nieczynne.

W całej Warszawie, w całym „tutejszym“, nadwiślańskim kraju, w całym carskim imperium — oko za oko, ząb za ząb, krew za krew — trwała zacięta, bezlitosna, nieprześlągana walka: walka klas.

DO MŁODYCH AGITATORÓW POKOJU

Pokój zostanie utrzymany i utrwalony, jeżeli narody ujmą w swe ręce sprawę utrzymania pokoju i będą broniły jej do końca.

Stalin.

Razem, młodzi przyjaciele!
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele!

Mickiewicz.

I

Młodzi przyjaciele — zetempowcy, junacy z brygad „Służby Polsce“, chłopcy i dziewczęta ze szkół i uniwersytetów, z miast, miasteczek i wsi, z PGR, kopalń i fabryk — wielkie zadania stoją przed nami, czeka nas ogromna praca. Jesteśmy nieodrodną częścią narodu. Drogie jest nam szczęście ojczyzny i świata. My także musimy ująć w swe ręce sprawę utrzymania pokoju. Także my: górnicy, metalowcy i chłopci, brygadziści i przodownicy nauki, gdziekolwiek jesteśmy, pracujemy, uczymy się, odpoczywamy — także my musimy stanąć do szeregów agitatorów pokoju. Czekają nas walka o zwycięstwo Narodowego Plebiscytu Pokoju. Czekają nas szlachetne współzawodnictwo o tytuł najlepszego młodego agitatora pokoju. Czekają nas nowa bitwa o pokój.

Koszmar trzeciej wojny krąży po świecie. Zmora ta ciąży ludziom potwornym brzemieniem. Niepewność jutra niweczy spokój pracy, mąci radość nauki, zatrąwa szczęście rodzinne. Zmora ta grozi bytowi naszego narodu, pomyślności naszej ojczyzny, dorobkowi poko-

leń, naszemu domowi, naszej przyszłości, naszemu życiu. Woła nas ojczyzna, nasz kraj potrzebuje naszych serc, naszych umysłów, naszej woli i wytrwałości. Polska Ludowa wzywa nas do nowej bitwy o pokój. W tej walce — z nami jest ludzkość, my jesteśmy ludzkością. Namiętny, twardy głos narodów podnosi się w obronie pokoju. Setki milionów ludzi zasłaniają własną pierś, sercem i rozumem spokojne jutro. Pragnienie trwałego pokoju stało się marzeniem narodów. Stanowimy realną, historyczną siłę. Po raz pierwszy w dziejach nie podnosimy błagań o obronę przed głodem, zarazą i wojną, nie prosimy o pokój, nie czekamy bezczynnie na pokój. Ujęliśmy sprawę pokoju w swe ręce. Potrafimy wywalczyć i utrzymać pokój.

Nigdy jeszcze przed żadnym pokoleniem Polaków nie stało równie zaszczytne zadanie. Nigdy jeszcze patriotyzm Polaków nie płonął dla równie wzniosłej sprawy. Jesteśmy najszczęśliwszym pokoleniem Polaków. Możemy uczyć się i pracować w wolnej, niepodległej, sprawiedliwej ojczyźnie. Młodość w kraju budującego się socjalizmu daje nam wspaniałe przywileje nauki i odpoczynku, pracy i twórczości. Przed nami jest trud tworzenia, piękno miłości, ciepło domu rodzinnego, dumna spełnianych zamiarów i pragnień. Potrzeba nam lat pokoju, aby zapracować na spełnienie nadziei i marzeń, zaznać radości kochania i tworzenia, zdobyć szacunek narodu i ludzkości, opanować metal i książkę, węgiel i traktor, hodować krzaczastą pszenicę, budować huty-giganty, cementownie, kombinaty włókiennicze, wznosić socjalistyczne miasta, zespolic w jedną pracę rąk i mózgu, wyzwolić w człowieku twórcze, niepożyte siły.

Któż z nas w dzieciństwie nie marzył o lepszym świecie jutra, gdzie maszyna i rozum człowieka zastą-

pią wysiłek zgrubiałych rąk? Któż z nas nie marzy o świecie bez wyzysku i chorób, bez nędzy, głodu i wojen? Któż z nas, świadków jutrzeńki komunizmu, podziwiających sztuczne morza, pasy leśne, ogromne elektrownie wodne na Wołdze, Dnieprze i Amu Darii, kanały zmieniające stepy i pustynie w winnice i sady, nie marzy o bujnym plonie polskich, rodzimych pól, o elektrowniach, kanałach i drogach, słonecznych domach i kwitnących sadach? Któż z nas nie zasadzał parków na zadymionym Śląsku, nie użyźniał piasków Mazowsza, nie budował szklanych domów na gruzach warszawskiego getta, nie zakładał nowych osiedli, nie kopał kanałów? Któż z nas nie marzy o konstrukcji dźwigów wydajniejszych niż tysiące ludzkich rąk? Któż nie pragnie tak opanować maszynę jak Czutkich? Przemieniać gatunki roślin jak Łysenko? Wyprzedzać pracą czas jak górnik Markiewka? Być tak uczonym jak Joliot-Curie? Poetą narodu jak Pablo Neruda, Nazim Hikmet, Władysław Broniewski? Leży przed nami całe życie. W zasięgu naszych serc, naszych umysłów, naszych rąk leży wszystko, co najlepszego stworzyła ludzkość w ciągu wieków: nauka, kultura, sztuka. Wzbogacają nas bezcenne skarby naszej wielkiej tradycji narodowej. W każdej maszynie leży trud pokoleń. W każdej książce skupia się doświadczenie wieków. Przez pokolenia woła nas głos najlepszych synów narodu: Kopernika i Sniadeckich, Kochanowskiego i Mickiewicza, Staszica i Kołłątaja, Prusa i Żeromskiego. Pytają nas oni: jak korzystacie z naszego dorobku, jak wzbogacie tradycję narodową, jak walczyście o postęp, sprawiedliwość i pokój?

Młodość nasza jest młodością trudnych, lecz pięknych lat. Dokonywa się za naszej młodości historyczna przemiana narodu. Znika wyzysk człowieka przez człowie-

ka, otwierają się bramy kultury zazdrośnie strzeżone przez wieki. Nasz naród staje się narodem socjalistycznym. Lata męskie, wiek dojrzały przeżyjemy w narodzie socjalistycznym, wolnym od przeciwieństw klasowych, nie znającym narodowego ucisku ani nacjonalizmu, w przyjaźni ze wszystkimi narodami. Nasz wiek dojrzały będzie wiekiem braterstwa ludów. Nasze dzieci nauczą się kochać dalekie narody. Uszanują inny kolor skóry, inną mowę, inne obyczaje. Spełni się wezwanie, które przed wiekiem Mickiewicz rzucił młodości:

Hej! ramię do ramienia! spólnymi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
I w jedno ognisko duchy!
Dalej, bryło, z posad świata!
Nowymi cię pchniemy tory!

O takiej Polsce marzyli najdzielniejsi, najbardziej niezłomni Polacy, którzy ginęli w więzieniach i obozach faszystowskich.

O takiej ojczyźnie marzyły pokolenia reformatorów i rewolucjonistów: Modrzewski, Kościuszek i Lelewel, Dembowski, Dąbrowski i Waryński, Dzierżyński i Buczek. Szklane domy z *Przedwiośnią* w naszych oczach wcieliły się w kształt Mariensztatu, trasy W—Z, nowej, socjalistycznej Warszawy. Stanowimy przykład dla świata. Nasze pokojowe budownictwo zdumiewa narody, budzi szlachetny podziw u przyjaciół, jest zachętą dla uciemionych narodów, zawiścią i niedowierzaniem dla wrogów.

Zmora ciąży nad światem. Zmora trzeciej wojny zaprawia goryczą nasze plany, marzenia, nadzieje, wiska się w nasz codzienny byt. Ta zmora musi zniknąć sprzed naszych oczu. Nie domagamy się rzeczy nad-

zwyczajnej: upominamy się o podstawowe prawo człowieka. Chcemy pokoju, a nie wojny, chcemy być nadzieją ludzkości, chcemy przyszłemu pokoleniu zostawić nie gruzy, lecz kwitnące miasta, spławne rzeki, urodzajne pola, ożywcze lasy, pomniki kultury, sztuki i cywilizacji.

Jest to nasz dług wobec ludzkości i narodu, wobec przeszłych i przyszłych pokoleń.

II

Jestem młodym pisarzem, agitatorek pokoju. Staram się, aby wszystko, co piszę, mówiło o pokoju. Myślę często o jutrzejszym dniu. Jak miliony ludzi trwożę się i zaciskam gniewnie pięści na myśl o trzeciej wojnie. Jak miliony ludzi pamiętam straszliwe doświadczenia drugiej wojny światowej. Chciałem mówić za tych, co umarli. Byłem z nimi przez te lata. Przeszedłem kilka krajów, widziałem wiele zburzonych miast, żyłem w wielu obozach wśród wielu narodów, gnieździłem się wraz z towarzyszami w głuchej celi więziennej, dusiłem się w wagonie towarowym, leżałem w polu ryjąc palcami ziemię w strachu przed bombami. Widziałem ogromne, milionowe tłumy ludzkie pędzone do krematoriów Oświęcimia, byłem sprzedany faszystowskiej firmie jako niewolnik, mam na rękę wytatuowany numer 119198 — moją legitymację z okresu hitleryzmu, zaznałem głodu, bólu i pragnienia; gnieździłem się w „wyzwolonych“ amerykańskich obozach po wojnie, żyłem, jak żyły miliony ludzi, jak żyło wielu z Was. Taka była moja młodość.

Nauczyłem się wiele. Wiele zapamiętałem. Pamiętam także twarze, ruchy, mowę oprawców z Pawiaka, podpalaczy z Oświęcimia, katów z Dachau, opasłych przed-

siębiorców, którzy nas kupowali jak bydło. Ilu z nich siedzi w przekupnym rządzie w Bonn. Ilu z nich rozkazuje w sztabach wygrzebanej z błota armii hitlerowskiej. To oni — i im podobni, zawierają pakt atlantycki, układają plany wojenne, służą Kruppom, Morganom, Vickersom. Znaleźli naśladowców. Znaleźli mistrzów, znaleźli nowych panów. Ridgway prześciga Himmlera na Korei. Eisenhower chce być gubernatorem Frankiem dla zachodniej Europy. Amerykańscy imperialiści, wzorem Hitlera, grożą światu zniszczeniem. Nie oszukają milionów ludzi. Poznamy ich wszędzie. Wlecze się za nimi odór spalonych ciał, swąd zburzonych miast, przekleństwa matek, skarga i płacz dzieci. Są napiętnowani.

Nie wstydzę się tego, że kiedyś płakałem z radości ujrzawszy po raz pierwszy w życiu żołnierza amerykańskiego. Było to w Dachau, w ostatni dzień wojny, pierwszy dzień pokoju. Wraz z wielu tysiącami towarzyszy stałem pod drutami obozu i kiedy spod mostu, rzuconego nad rowem, który otaczał obóz, wyszły pierwsze patrole piechoty, śpiewałem przez łyzy nasze pieśni. Śpiewali wszyscy. Przerwaliśmy druty i bieглиśmy do żołnierzy jak do braci. Całowaliśmy ich, głaskaliśmy po szorstkich, zarośniętych policzkach, dotykaliśmy brudnych mundurów polowych i prowadziliśmy ich między bloki, gdzie leżały stosy trupów, poukładane na dębowych palach, straszne w swej nagości. Pokazywaliśmy tym żołnierzom okropności faszyzmu jako coś bezpowrotnie minionego. Patrzyliśmy w twarze tych żołnierzy i poznawaliśmy w nich twarze warszawskich szoferów, francuskich dokerów, walijskich górników, włoskich chłopów, belgijskich kantorzystów. Rozmawiałem później z nimi. Chciałem ich zrozumieć. Siedzieli przy ogniskach naokoło obozu i pilnowali nas cierpli-

wie przez długie letnie dnie i noce, chłodne, podalpejskie. Dziesiątkował nas brud i tyfus, ale bramy obozu były zamknięte. Byliśmy niebezpiecznym elementem. Chcieliśmy szukać hitlerowców, aby pomścić śmierć naszych towarzyszy. Szukaliśmy właścicieli firm budowlanych, fabryk, koncernów, którzy tuczili się naszą krwią. Chcieliśmy się upomnieć o śmierć milionów naszych braci. Więc nie puszczano nas na wolność; dawano do syta zupy i grube, esesowskie cygara do palenia — powinniśmy byli być szczęśliwi. Buntowaliśmy się; żołnierze wjeżdżali na Willisach do obozu, strzelali w powietrze, bili kolbami, klęli. Robili to mechanicznie, tępo, bezmyślnie, na rozkaz; w istocie marzyli, aby powrócić do domu, do szkoły, do zagrody, do fabryki, do warsztatu. Bali się, że utracą posady, które zajmowali przed pójściem na front. Pokazywali mi fotografie swych ukochanych dziewcząt, chcieli mieć dom, pracę, dzieci. Nienawidzili wojny, brzydzyli się oficerami i ich musztrą, tęsknili do zwyczajnego, pokojowego życia. Nie znali konszachtów amerykańskich bankierów z faszystami, nie wiedzieli, że staną się narzędziem szaleńców i morderców, którzy planują podbój i zagładę świata.

Nie wiem, co robi dziś żołnierz, który oswobadzał mnie z Dachau. Jego przełożeni umieli go deprawować. Pozwalali mu rozbijać się, gwałcić i mordować. Uczyli go, że jest nadczłowiekiem. Może ten żołnierz jest dziś instruktorem neohitlerowskiej armii Niemiec zachodnich? Może „ochrania“ on porty przed narodem francuskim? Może okupuje słoneczną Italię i bezmyślnie zaśmieca plac Świętego Marka skórkami bananów i gumą do żucia? A może żołnierza tego wysłali na Koreę i kazali mu mordować mieszkańców Seulu i Pusanu? Może jest wartownikiem strasznych

obozów amerykańskich na Korei, stoi na warcie i zagryza obojętnie rozmiękłą czekoladę, głuchy na jęk katowanych ludzi?

A może jednak ten żołnierz nie zapomniał łez radości w oczach narodów, gdy otwierały się bramy faszystowskich obozów? Może pamięta zdjęcia zbrodniarzy hitlerowskich powieszonych w Norymberdze? Może nie zapomniał nadziei, które budziły się w ludach? Nadziei zdradzonych przez jego rząd, jego bankierów, jego generałów? Może spełniły się jego nadzieje i zdołał się wyrwać z armii okupacyjnej, wrócił do domu? Może stracił pracę, jest bezrobotny, jak miliony jego kolegów z rękoma w kieszeni włóczy się wokół biur pracy Nowego Jorku, Chicago, Bostonu?

Nie wiem. Chcę wierzyć, że poznał on oblicze faszyzmu. Myślę, że był on odważnym i uczciwym człowiekiem, że umiał myśleć. Są Amerykanie, którzy wiedzą, że faszyzm nie jest monopolem niemieckim. Są Amerykanie, którzy rozumieją niebezpieczeństwo imperialistycznej polityki kartelów i koncernów, kliki generałów i bankierów. Są Amerykanie, którzy ze wstrętem i grozą przyglądają się okrucieństwu imperialistów w Korei. Są Amerykanie, którzy za postępowe przekonania idą do więzienia i obozu. Są Amerykanie, którzy nieugięcie walczą o pokój.

Są tacy Amerykanie. Są tacy Anglicy. Są tacy Hiszpanie, Turcy, Niemcy, Hindusi. Są rządy imperialistyczne, ale są także narody. Ponad głowami rządów faszystowskich, ponad planami podlegaczy, obłąkanymi wizjami morderców, ponad kordonami i granicami — wyciągamy ręce do narodu amerykańskiego, angielskiego, do ludzi pracy wszystkich ras, kolorów skóry, wierzeń, obyczajów i ustrojów. Nie znam narodu, który by chciał wojny. To nie naród amerykań-

ski szykuje wojnę. To nie naród angielski uciska kolonie. Masy pracujące Ameryki i Anglii, Francji i Niemiec zachodnich żyją w ucisku, spętane przez burżuazję, dławione przez tajną policję, męczone przez maszynę wyzysku i ucisku, wplecione w straszliwe koło kryzysów, inflacji, bezrobocia, zwodzone przez zdrajców ruchu robotniczego, okłamywane przez przekupionych agentów, płatnych kaznodziejów, sprzedających dziennikarzy i pisarzy. Burżuazja opętała prasę, radio, film, wszystkie sposoby propagandy. Miliardy dolarów, funtów szterlingów, franków, marek płyną na ogłupianie narodów. Poezja i sztuka stała się w ustroju imperialistycznym gumą do żucia i pałką policyjną; zamiast dźwigać i podnosić człowieka, depce go i upadła. Jeszcze dzieci koreańskie giną od bomb zrzuconych przez amerykańskie fortece latające, a już dzieciom amerykańskim podaje się zabawki-samoloty, które za pociśnięciem guziczka zrzucają drewniane bombki na papierowe wsie i miasteczka. Kiedy Himmler budował krematoria i komory gazowe, Goebbels wymyślał sztuczny język, który mgłą kłamstwa miał zasłonić zbrodnie ludobójstwa. Na komorę gazową hitlerowcy mówili łaźnia, na krematoria — piece, na likwidację ludności — wysiedlenie, na śmierć w gazie — specjalne traktowanie. Kiedy opadła mgła, ukazały się potworne kształty zbrodni. Uczciwi ludzie mieli nadzieję, że już nigdy żadna mgła nie osłoni morderców. Zdawało się, że Goebbels sięgnął dna. Ale okazało się, że można ludobójstwo wprowadzać do pokoju dziecinnego, dawać do rąk dzieciom.

Przeciw tej propagandzie podnosimy głos pokoju, piętnujemy sprzedajnych artystów. Odwołujemy się do codziennego doświadczenia narodów. Jeszcze nieraz przekonają się organizatorzy nowej wojny, że

przeciw woli i doświadczeniu narodów trudno działać.

Młodzi agitatorzy pokoju! Wy także jesteście odpowiedzialni za świat. Wy także musicie zdawać sprawę ze swych doświadczeń, czynów i marzeń. Jestem starszy od was o lata doświadczeń — o kilka lat twórczej pracy. Piszę o pokoju. Piszę z wytrwałą pasją człowieka, który poznał na sobie wojnę. Nienawidzę wojny, nienawidzę faszyzmu, nienawidzę imperializmu, kocham świat, ludzi, przyrodę. Marzę o wielkich powieściach, o dziesiątkach opowiadań. Chcę opowiadać o brygadach traktorowych, spółdzielniach, fabrykach, nauczycielach i górnikach; o zakochanych, o dzieciach, o nas, o naszych marzeniach. Ale wiem, że słowa moje nic nie będą warte, jeśli ustanę w walce o pokój. Może już jutro zapomnimy książkę, którą dziś czytaliśmy, ale przez długie pokolenia brzmieć będzie rota Narodowego Plebiscytu Pokoju:

„W imię niepodległości Polski,
w imię pokoju między narodami,
w obliczu knozań imperialistów i odbudowy przez
nich militarystyki hitlerowskiej —

popieram i podpisuję apel Światowej Rady Pokoju!
Żądamy zawarcia Paktu Pokoju między pięciu
wielkimi mocarstwami: Związkiem Radzieckim, Stanami
Zjednoczonymi, Chińską Republiką Ludową,
Wielką Brytanią i Francją.

Gdyby rząd któregośkolwiek z wielkich mocarstw odmówił spotkania w celu zawarcia tego paktu, będziemy uważali tę odmowę za dowód napastniczych zamierzeń tego rządu.“

Nauczcie się tej rotę na pamięć. Nauczcie się wyjaśniać jej sens każdemu, kto potrzebuje wyjaśnienia.

Walczcie o wyższy poziom politycznego uświadomienia narodu. Jest to nasz dług wobec wszystkich zmarłych we wszystkich wojnach, wobec wszystkich matek i dzieci, wobec przeszłych i przyszłych pokoleń.

III

Zwracam się do was, młodzi agitatorzy pokoju. Nasza sprawa jest święta. Narodowy Plebiscyt Pokoju jest sprawą naszego honoru, naszej miłości ojczyzny i świata. Kiedy piszę te słowa, gazety przynoszą meldunki o zobowiązaniach Pierwszomajowych. Elektrownie, fabryki odzieży, cementownie, porty, uczelnie podejmują ku czci święta robotniczego nowe zobowiązania. Przewodzący robotnicy Polski Ludowej pracują już na rachunek trzeciego roku Planu Sześcioletniego. Wszystko, czym jesteśmy, czym się szczycimy, zawdzięczamy wysiłkowi rąk ludzkich, naszej codziennej, niezmordowanej, twórczej, pokojowej pracy. Świadectwem tej pracy będzie Narodowy Plebiscyt Pokoju.

Kiedy będziecie agitować za Narodowym Plebiscytem Pokoju, mówcie, młodzi agitatorzy, o potędze i rozmachu Światowego Ruchu Pokoju. Nigdy jeszcze nie znała ludzkość takiego ruchu. Jak płomień przeszedł on przez wszystkie narody. Pod apelem o zakaz bomby atomowej złożyły podpisy setki milionów ludzi wszystkich ras i poglądów politycznych. Osiemnaście milionów Polaków podpisało Apel Sztokholmski. Cały naród polski potępił ohydną broń masowego zniszczenia. Cały naród protestował przeciw nowym krematoriom, komorom gazowym. Akcja obrońców pokoju uniemożliwiła agresorom użycia, mimo gróźb, bomby atomowej na Korei. Akcja obrony pokoju, mobilizuje

jąc najlepsze, najbardziej postępowe warstwy społeczeństwa amerykańskiego i angielskiego, zespała całą ludzkość jedną myślą i jednym uczuciem.

Kiedy będziecie agitowali za Narodowym Plebiscytem Pokoju, mówcie o groźbie wojny, która wisi nad światem. Ale mówcie także o karzącej ręce narodów, która dosięgła, dosięga i dosięgnie zbrodniarzy wojennych.

Kiedy będziecie agitować za Narodowym Plebiscytem Pokoju, mówcie, że wojna nie jest nieunikniona, że pokój będzie obroniony.

Kłamie cynicznie, kto twierdzi, że wojna jest nieunikniona.

Jest to obelga ciśnięta w twarz wszystkim uczciwym ludziom, którzy walczą o pokój.

Wojny można i należy uniknąć. Pokój leży w rękach narodów. Osiemset milionów ludzi podpisało Apel Sztokholmski. Jeszcze więcej podpisze wezwanie o Pakt Pokoju. Nigdy jeszcze w dziejach człowieka nie dokonała się tak potężna mobilizacja opinii ludzkiej.

Sprzeczne ustroje, ideologie, poglądy mogą współżyć obok siebie. Wojna nie jest argumentem w dyskusji. Pałką można zabić przeciwnika, ale się go nie przekona. Bomby mogą zburzyć miasta, ale nie zburzą idei. Dwa światy, dwie ideologie stoją twarzą w twarz: socjalizm i imperializm. Jedna chce zniszczyć świat, druga chce go zachować w pokoju dla przyszłych pokoleń, dla nas. Jedna chce świata ucisku, druga chce świata pokoju i sprawiedliwości. Symbolem jednej jest bomba atomowa. Symbolem drugiej jest elektrownia wodna na Wołdze. Bombą atomową można szantażować ludzi. Można grozić spalaniem miast, epidemią, trucizną. Można siać nienawiść, można próbować ujarzmić narody. Ale bomba atomowa nie wy-

produkuje ani jednego kilograma chleba, nie nakarmi ani jednego człowieka, nie podniesie nawet szpilki z ziemi. Bomba atomowa może zburzyć miasto, ale nie zagrzeje nawet żelazka elektrycznego. Może wzbudzić pogardę i strach, ale nie wzbudzi szacunku i miłości. Elektrownia wodna ujarzmi energię natury, zmusza ją do służenia człowiekowi, zamienia suchy step w żyzny czarnoziem, daje setki ton chleba, rozjaśnia wieczory w chatach wiejskich, przywozi człowiekowi kino i książkę, rzuca reflektor światła w przyszłość, w świat ogrodów, wiecznej wiosny, młodości.

Pokój będzie utrzymany. Ludzkość potrafi poznać, kto jest jej przyjacielem, a kto wrogiem, kto buduje drogę w przyszłość, a kto kopie masowy, wspólny grób.

Kiedy będziecie agitować za Narodowym Plebiscytem Pokoju, mówcie o zagrożeniu niepodległości Polski przez knowania imperialistów. Sytuacja jest jasna: imperialiści amerykańscy i ich satelici chcą sprowokować trzecią wojnę. Wiedzą oni, że wojna jest niemożliwa bez odbudowania armii hitlerowskiej. Armia ta musi się opierać na najbardziej szowinistycznych, reakcyjnych, wyzutych z człowieczeństwa elementach narodu niemieckiego. Imperialiści łudzą ich i nęcą mirażem wojny odwetowej, wyprawy antypolskiej, rozbudzają w nich apetyty na nowy *Drang nach Osten*.

Armią tą dowodzić mają generałowie hitlerowscy, podpalacze i burzyciele Warszawy. Za niemieckie mięso armatnie imperialiści chcą zapłacić naszymi Ziemiami Zachodnimi. Ale apetyty faszystów niemieckich idą dalej. Schumacher marzy o przeniesieniu wojny nad Wisłę. Inny polityk żąda dla Niemiec całej Europy wschodniej. Imperialiści są gotowi zapła-

cić faszystom niemieckim każdą cenę. Mamy dobrą pamięć i pamiętamy, że przeciw granicom na Odrze i Nysie występowali Byrnes i Churchill, Marshall i Bevin. Okupanci Niemiec zachodnich sztucznie utrzymują nastroje antypolskie wśród milionów uchodźców i przesiedleńców, którzy kocując w barakach i bunkrach stanowią rezerwę taniej siły roboczej i zapas bezpłatnego mięsa armatniego. Wódz neohitlerowskiej partii oświadczył niedawno, że Amerykanie byłiby szczęśliwi, gdyby mieli niemieckie dywizje SS. Odbudowa hitlerowskiego potencjału wojennego, stworzenie europejskiego kartelu węglowo-stalowego dla produkcji broni, musztra hitlerowskich batalionów i pułków, organizowanie lotnictwa i dywizji pancernych, nieprzytomna kampania przeciw granicy na Odrze i Nysie, cyniczne groźby zburzenia naszych miast i wymordowania naszego narodu — oto ponury, sępi cień, który trzecia wojna imperialistyczna rzuca na naszą ojczyznę; oto czemu wzywa nas ojczyzna, nasz kraj woła o nasze serca, umysły i siły.

Kiedy będziecie agitować za Narodowym Pleb'scytem Pokoju, mówcie, młodzi agitatorzy, o stalinowskiej przyjaźni narodów, o solidarności ludów, o braterstwie demokratycznej młodzieży. Imperialiści chcą rozdzielić narody, skłócić je między sobą, wzmóc, rozdmuchać nienawiści narodowe i rasowe, aby tym łatwiej rozpętać pożar wojny.

Ale my nie żyjemy od wczoraj. Mamy dobrą pamięć. Umiemy porównywać. Widzimy podobieństwo imperializmu amerykańskiego i hitleryzmu. Rozumujemy, że jedynie w przymierzu z całą ludzkością ocalimy pokój.

Uczmy się z wczorajszych doświadczeń. Walka o pokój i przyjaźń wszystkich ludów to ciężkie, codzienne

zmaganie. Doznajemy klęsk, odnosimy zwycięstwa. Ze wszystkich zwycięstw zaś najcenniejszym jest zapal młodzieży, awangardy pokoju i solidarności ludzkiej. Wychowujemy młodzież w duchu braterstwa ludów, o którym marzył Mickiewicz, o które bili się nasi działowicze na barykadach Wiosny Ludów i Komuny Paryskiej.

Drogi jest nam ów braterski szofer z Vietnamu, który tydzień przekradał się przez dżungle swej ojczyzny, pięć tygodni szmuglował się na statku, aby na Festiwal Młodzieży przywieźć pozdrowienia od walczącego narodu. Drogi jest nam Mieresjew, prawdziwy człowiek radziecki, który zwyciężył kalectwo i śmierć, i młody górnik z Westfalii, który 37 razy siedział w więzieniu za akcję pokojową, i młoda dziewczyna z Magdeburga, organizatorka nowych metod produkcji obuwia. Widziałem w życiu różnych Niemców. Takich, co palili getta i mordowali dzieci. Ale widziałem także naród niemiecki: przy gruzach, w fabrykach, na traktorach, w szkołach. Długie noce rozmawiałem z młodymi Niemcami. Zaprzyjaźniłem się z nimi. Nic nas nie dzieli, wszystko łączy: walka z imperializmem, z remilitaryzacją, z grozą wojny. Nasza przyjaźń umacnia braterstwo narodów. Jeszcze dziś pamiętam młodego, roześmianego chłopca z Afryki środkowej, czarnego jak heban, z prostymi rytualnymi nacięciami na twarzy. Stał wśród nas: Niemców i Polaków, i splótszy dłonie wykrzykiwał wraz z nami to trudne, obce, ale tak bliskie słowo: pokój, pokój!

Kiedy będziecie agitować za Narodowym Plebiscytem Pokoju, mówcie, młodzi agitatorzy, o naszym Planie Sześćioletnim. Ten Plan, źródło naszej dumy narodowej — to ambitne, wspaniałe zadanie na miarę naszej młodości, naszego świata socjalistycznego. Wie-

le trudu leży przed nami. Walczyć będziemy o każdą minutę, o każdy metr materiału, o każdy kilogram węgla i żelaza. W każdym najdrobniejszym zadaniu Planu Sześcioletniego zawiera się problem walki o pokój. Przypominajcie słowa Prezydenta Bieruta:

„Aktywność w walce o pokój oznacza codzienną pracę każdego z nas nad umacnianiem sił Polski Ludowej, nad umacnianiem jej bazy ekonomicznej, nad umacnianiem jak najszybszego wzrostu jej sił wytwórczych, tzn. jej przemysłu, transportu, żeglugi, jej rolnictwa, a wraz z tym wszystkim jej kultury, która jest niewątpliwie ważnym czynnikiem siły narodu.“

Walka o pokój więc — to wzmożenie produkcji fabryk, spółdzielni produkcyjnych, warsztatów, to walka o wyższą wydajność pracy, o nową technikę, o lepszą organizację, o wyższą dyscyplinę, o przyśpieszenie tempa pracy naukowej i artystycznej. To walka z truczną nacjonalizmem, to praca pedagogiczna i organizacyjna nad wzrostem świadomości politycznej milionów młodych Polaków. To większa czujność i odpowiedzialność za powierzoną pracę. Mówcie o tym wszystkim, młodzi agitatorzy pokoju.

Kiedy będziecie agitowali za Narodowym Plebiscytem Pokoju, łączcie imię pokoju z imieniem Związku Radzieckiego. Spojrzenia całej ludzkości kierują się ku ojczyźnie zwycięskiego socjalizmu. Cały świat z zapartym oddechem śledzi zakładanie stalinowskich fundamentów komunizmu. Ogromne ekskawatery zastępujące pięć tysięcy robotników przeorują nie tylko stepy. Ekskawatery te przeorują świadomość całej ludzkości. Niezłomna, pokojowa woła Związku Radzieckiego napawa otuchą ludzkość, jest natchnieniem narodów. Niezmierna potęga Armii Radzieckiej powstrzymuje imperialistycznych szaleńców. Przykład

ZSRR, przyjaźń ZSRR. pomoc ZSRR — pomaga budować socjalizm i w naszej ojczyźnie.

Kiedy będziecie agitowali za Narodowym Plebiscytem Pokoju łączcie imię pokoju z imieniem Stalina. Żyjemy w jego epoce. Jego geniusz wytycza drogi ludzkości. On jest pierwszym chorążym pokoju. Jego głos krzepi narody w ciężkiej, nieustannej walce. — O nim mówi wielki poeta polski:

Któż, jak On, przez dziesiątki lat
wiodł ludzkość na krańce dziejów?
Jego imię — walczący świat:
nadzieja.

IV

Zwracam się do Was, młodzi przyjaciele: zetempowcy, junacy z brygad Służby Polsce, chłopcy i dziewczęta ze szkół i uniwersytetów, z miast, miasteczek i wsi, z PGR, POM, kopalń i fabryk. Zwracam się do Was, młodzi agitatorzy pokoju. Ogarniajcie płomienią agitacją całą młodzież, porwijcie ją przykładem, przelejcie w nią swój zapal, nauczcie ją wytrwałości. Przekonajcie ją, że Narodowy Plebiscyt Pokoju to nie mechaniczne wypełnienie formularza z gołąbkim. Przekonajcie ją, że agitacja pokojowa to nie biurokratyczne odwołanie obowiązku, lecz walka o wyższy poziom świadomości politycznej narodu, zacieśnienie solidarności z radzieckim hutnikiem i chińskim chłopem, francuskim portowcem i angielskim tragarzem, z inteligencją pracującą, uczonymi, artystami, z całą postępową ludzkością.

Ogromna odpowiedzialność ciąży na naszych barkach. Odpowiadamy za dorobek wszystkich przeszłych pokoleń, które pracowały, tworzyły, kochały ludzkość, wierzyły w nas. Odpowiadamy za wielką puści-

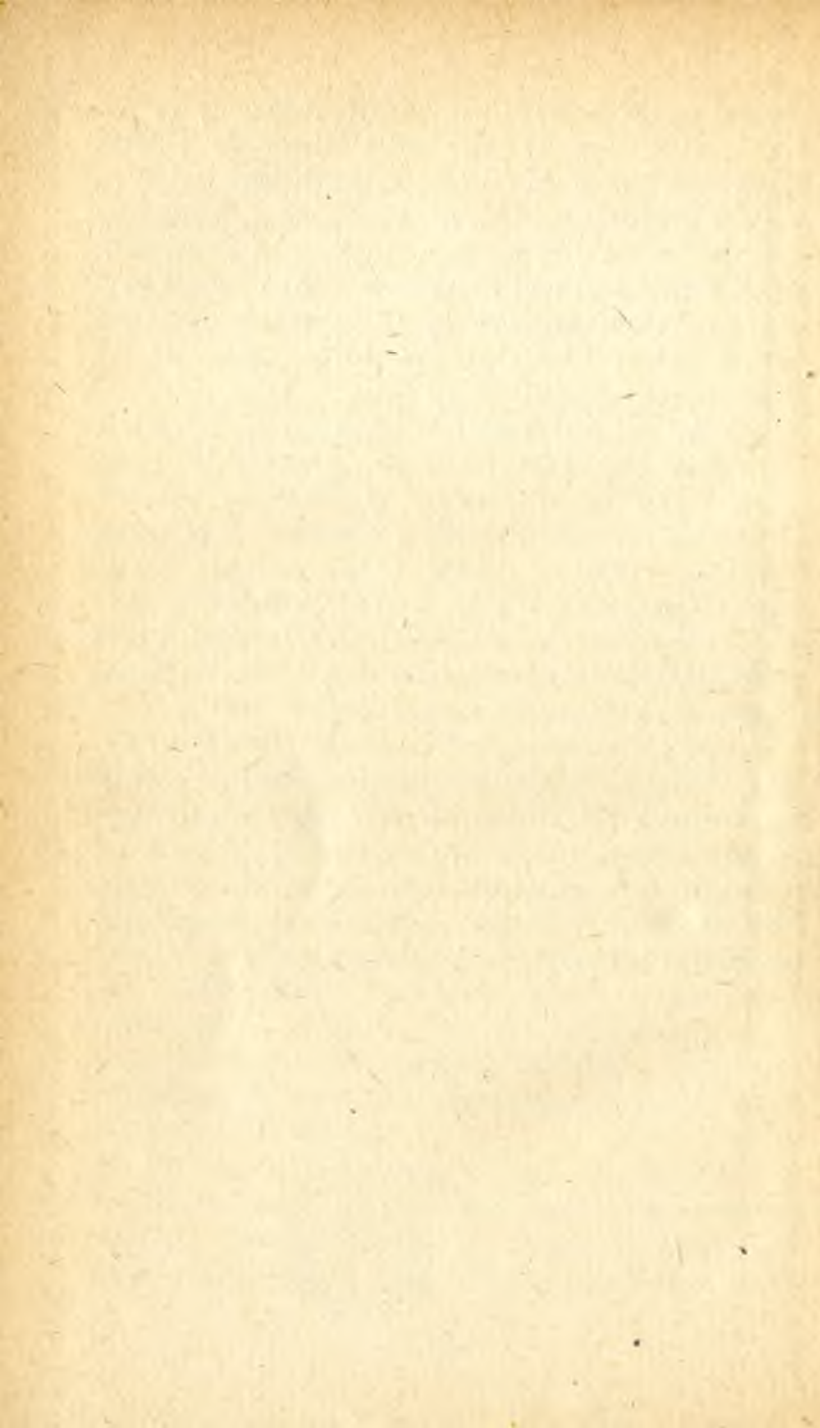
zną kulturalną naszego narodu. Odpowiadamy za domy, w których spędziliśmy dzieciństwo. Za kołyski naszych małych braci i siostr. Odpowiadamy także za naszych rówieśników, których zapędzono do imperialistycznych armii. Nie pozwolimy, aby cień amerykańskiego sępa zaległ nad naszą ziemią. Aby zaćmił nam słońce pokoju. Odpowiadamy za łzy matek na całym świecie. Odpowiadamy za nasz naród. Odpowiadamy za przyszłość, za ludzkość, za świat.

Za kilka dni umają się sale plebiscytowe, zajaśnieją czerwienią flag hale fabryczne, przystroimy nasze szkoły i uczelnie. Pójdziemy głosować za pokojem z rozwiniętymi sztandarami, z wierszem i piosenką. Narodowy Plebiscyt Pokoju będzie świętem całego narodu. Ogarnie on w pełni wszystkich Polaków, skupi nas wszystkich jeszcze silniej wokół zadań Planu Sześcioletniego i ogólnoludzkiej walki o pokój. Będzie on świętem całej młodzieży polskiej.

W walce o zwycięstwo Narodowego Plebiscytu Pokoju, w walce o Plan Sześcioletni, o pokój — porwijmy młodzież przykładem, skupmy siłę i wiedzę, wyostrzmy umysły i wolę. We współzawodnictwie o tytuł najlepszego, najzarliwszego agitatora — rozplomieńmy serca, rozwińmy inicjatywę, zakaszmy rękawy, przyjaciele, młodzi agitatorzy pokoju!

KONIEC





SPIS TREŚCI

Wstęp	5
Kłopoty pani Doroty	13
Dysputy księdza dobrodzieja	59
Zabawa z wódką	114
Muzyka w Herzenburgu	123
Lokomotywa	146
Międzynarodówka	154
Budowniczy stadionu	159
Piękne wakacje	165
Czerwony Maj	185
Do młodych agitatorów pokoju	228

KT
8

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

Int. W. (3)

3.50

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14



37996